

Kastet

z dębowym listkiem

DMITRIJ TARASIENKOW

## 1. NOWE ZNAJOMOŚCI

Na rogu, koło sklepu dla marynarzy, stała kodziarka. Już zamierzałem do niej podejść — lody w waflu świetnie pasowałyby do mojej obecnej roli — kiedy zniechęciła mnie myśl o lepkich palcach. Podeszwy przyklejały się do asfaltu. Ogromny termometr przy wejściu wskazywał 31 stopni.

Hotel „Pordus” — przeczytałem, dając nura do środka.

Hall był mroczny i chłodny. Obok każdej zdobiącej go kolumny stała donica z palmą. W odległym kącie paliła się lampa osłonięta zielonym abażurem, wskazując, że tam właśnie dyżuruje recepcjonistka. Stukając głośno obcasami, przeszedłem hall na ukos, postawiłem walizkę i oparłem łokcie o barierkę.

— Wszystko zajęte — znudzonym głosem powiedziała recepcjonistka.

Podąłem jej otwarty dowód osobisty.

— W mojej sprawie telefonowano z miejskiego komitetu Komsomółu.

•— Nazwisko? — spytała, zaglądając do dowodu.

— Moje?

— A niby czyje?

— O ile wiem, Waraksin. Przecież jest tam napisane. \_

Obejrzała mnie uważnie, ale docinek połknęła bez słowa.

Pogrzebała w papierkach na biurku i rzuciła niechętnie:

55

— Owszem, mam tu Waraksina.

Doskonale. Póki recepcjonistka wypełniała kartę meldunkową, rozejrzałem się po hallu. Jakiś facet, rozwalony na krytej skórą kanapce, kręcił gałką tranzystora. „I am fond of you, ta-tarara — ryczał ochryply głos. — I am fond of you, ta-tara". Na ścianie wisiała reprodukcja „Dziewiątej fali" Iwana Kon-stantinowicza Ajwazowskiego. Rozszalałe morze nieodparcie kojarzyło się z sałatką jarzynową w salaterce.

?— Jak długo zamierza pan u nas pozostać?

— Najchętniej do końca życia, ale sama pani rozumie, jestem człowiekiem zajęтым...

— Pytam poważnie — nadęła się. — Niech pan stroi sobie żarty w domu, tutaj jest miejsce urzędowe.

— Proszę o wybaczenie. Ja zawsze żartuję. Niech pani wpisze orientacyjnie dwa tygodnie. Mam nadzieję, że mi to wystarczy. »

„Gołabeczku — powiedziałem sobie w myśli — musi ci wystarczyć kilka dni. Inaczej nic nie jesteś wart. Zresztą nawet nie o ciebie chodzi".

Wszedłem na drugie piętro, znalazłem drzwi z numerem „305".

Otworzyłem. Cieniutkie firanki poderwały się i wionęły prcstopadle do okna. W pokoju stały trzy łóżka. Na jednym z nich leżał człowiek cały spowity w prześcieradło.

Zamknąłem drzwi.

— Hej, przyjacielu! — rzuciłem półgłosem.

— Czego chcesz?

— Wstawaj, musimy się zapoznać! Po coś wlaź w to prześcieradło?

— Bo muchy gryzą — odparł stłumiony głos.

— Powinieneś zawiesić lep i miałbyś spokój.

— Jeszcze czego!

— Nó to wygoń muchy ręcznikiem.

— Jeszcze czego!

— A leż tak sobie, pal cię lichu!

Przysiadłem na łóżku, zakołysałem się na sprężynach. Za

55

oknem dzwoniły tramwaje. Pokój zalany był słońcem. Zapaliłem papierosa i po ścianie popłynął cień dymu. ?— Ładne to miasteczko?

Spod prześcieradła wycelowowało we mnie jedno oko

— Do kitu. I nie żadne miasteczko, tylko miasto — ostatecznie mieszka tu dwadzieścia tysięcy ludzi.

?— Czyżby? — mruknąłem z powątpiewaniem.

— Mówię ci.

— Mitjscowy jesteś, że tak dobrze wiesz? ?— Byłem miejscowy przed wojną. „Zdaje się, że to on” — pomyślałem

— A teraz?

— Co cię to obchodzi?

— Zwykła ludzka ciekawość.

— No to siedź ze swoją ciekawością cicho.

— Siedzę. Zapadło milczenie.

— Może w kinie idzie coś fajnego? — spytałem.

— Jeszcze czego! Ja tam do kina nie chodzę!

Pod łóżkiem mego współlokatora stały puste butelki z etykietkami

„Pieprzówka”, „Starka”, „Owocowe”. Oj, źle, bo moim zdaniem jeśli już pić, to jeden gatunek, choć osobiście jestem w tej kwestii raczej dyletantem. Kino mojemu współ-lokatorowi istotnie nie było potrzebne, to jasne.

Nim dotarłem z lotniska do hotelu, spociałem się jak mysz. Wodę w karafce nagrzało słońce. Warstwy osadu na szkle świadczyły wymownie, że wyparowywała stopniowo przez cały tydzień. To ci historia!

•— Przechodzimy na samoobsługę — oświadczyłem.

W łazience wylałem wodę do umywalki i odkręciłem kran do samego końca. Stałem paląc papierosa, woda na mnie pryskała, ale nie myłem się, bo zamierzałem jak najszybciej wleźć pod prysznic. Napęliłem karafkę i wróciłem do pokoju.

7

— Popij sobie wody? — zaproponowałem współlokatorowi — Zimna, aż zęby bołą.

Potem zakrzętnąłem się koło walizki.

Wyjąłem z niej portfel i ostentacyjnie przeliczyłem pieniądze. Płaszcz sprzedałem w Moskwie, teraz czekał na swą kolej aparat fotograficzny. Wysłałem pieniądze matce, tutaj z fasonem przyleciałem samolotem, jeszcze to, sio — i zostało dziewiętnaście rubli. Przy oszczędnej gospodarce starczy na tydzień. Potem trzeba będzie wziąć się do ładowania beczek w porcie. Wszystko to starannie obmyśliliśmy z Łarionowem. Za każdym razem, kiedy dochodziliśmy do tych beczek, pękał ze śmiechu. „Nie gniewaj się, stary, ale mam bujną wyobraźnię. Ogromnie ci do twarzy z tymi beczkami”.

— Może wypijemy? — spytał głos spod prześcieradła i znów łypnęło

samotne oko.

— Rano nie pijam — uciałem kategorycznie, doszedłszy do wniosku, że taktyka rzeczowych replik może być bardziej owocna.

— Niech ci będzie. A walizkę oddaj lepiej do przechowalni, bo ukradną.

— Nie ma obawy. Zresztą co tu kraść?

Koszule przełożyłem do szafki, żeby się nie gnioły. - Ale upał! — jęknął współlokator.

— Jak w Afryce — podtrzymałem rozmowę.

— Amerykanie popsuli klimat swoimi bombami wodorowymi. Doиграли się, cholery!

— Ohydni imperialiści — powiedziałem. — Jeszcze tylko brakuje, żeby zaraz zaczął padać śnieg.

— Chciałbyś pewnie pojeździć teraz na łyżwach z białymi niedźwiedziami na Antarktydzie, co?

— Oczywiście. Gdzie tu jest prysznic?

— Piętro niżej.

Wszystko się zgadzało. Moi tutejsi koledzy przysłali szczegółowy opis miejsca i ewentualnych osób dramatu. Z ręcznikiem przerzuconym przez ramię wyszedłem na korytarz

1

i ruszyłem schodami w dół. Na półpiętrach wisiały zakurzone lustra w wymyślnych metalowych ramach ozdobionych u góry wianuszkami, które podtrzymywały złożone pulchne amorki. Hotel zbudowany był dawno i niewątpliwie należał w przeszłości do jakiegoś pruskiego junkra.

Wyobraziłem go sobie ze wspaniałymi wąsami, w sztywnym wysokim kołnierzyku, a jego żonę — w surowej, prostej sukni z krótkimi rękawami-

-bufkami. Kiedyś spędziłem dwa tygodnie w pewnym mieszkaniu, nie wychodząc stamtąd ani na chwilę. Staroświecka szafa z książkami kryła wieloletnie komplety „Niwy” i od tej pory wszystko, co dotyczyło początków naszego wieku, wyobrażałem sobie według tamtych ilustracji. Piętro niżej korytarz zagrodzony był drabinami, na podłodze widniały ślady farby. Pachniało wapnem. Pod ścianą leżał stos jasnych, nie heblowanych desek. „Zdumiewające — pomyślałem. — Dlaczego remont hotelu odbywa się właśnie latem, w pełni sezonu?”

Spojrzałem na zegarek. Do przerwy obiadowej było jeszcze daleko, a malarzy ani śladu. „Pewnie poszli na papierosa” — przemknęło mi przez myśl.

Dyżurna z tego piętra (a ściślej z dwu, bo z mojego też) siedziała przy biurku i przeglądała „Ogoniok”. Przysiadłem obok na brzeжку skórzanej kanapki — bliźniaczki tych, które zdobiły hall — odkaszlnąłem i spytałem tonem staruszka:

— Jak tam z prysznicem, kochanieńka? Funkcjonuje?

— Aha! Trzydzieści kopiejek — odparła, nie odrywając oczu od pisma

— Mam 'wielkie zmartwienie — oświadczyłem ponuro, robiąc przy tym nieszczęśliwą minę. — Zgubiłem portfel, pieniądze, wszystko-wszyściuteńko.

Oderwała w końcu wzrok od lektury.

Nie była ładna, ale miała w sobie coś takiego... Zauważyłem to jeszcze w wydziale, zapoznając się z materiałami sprawy. Duże, bardzo duże oczy. Pięknie osadzona głowa. Lśniące włosy do ramion.

55

— Co te-e-eż pan? — przeciągnęła kokieteryjnie, mrużąc swe wielkie

oczy, ponieważ słońce świeciło przez szyby prosto w jej twarz.

— Naprawdę. W dodatku upał dziś jest nie do zniesienia. Wszystko składa się jak na złość.

— Dużo było tych pieniędzy?

— Akurat trzydzieści kopiejek — powiedziałem szybko. — Ale ja jestem czarodziejem i jeśli dostanę, klucz od pryszniców, pokocha panią królewicz.

— Skoro pan jest czarodziejem, wejdzie pan po prostu przez dziurkę od klucza. — I wróciła do „Ogonka”.

„A jednak dasz mi ten klucz — pomyślałem z wesołą przekorą — musisz go dać”.

— Wyleciało mi z głowy zaklęcie i stąd cały kłopot. Pamiętam wszystkie inne: przeciw bólowi zębów, przeciw niewiernemu sercu, tylko to jedno zapomniałem.

Roześmiała się. To już była połowa zwycięstwa.

— Mieszkał tu u nas taki jeden, te-eż żartowniś. Tylko stary. I... — urwała.

— Co i?

— Nic.

— Gdzie on się teraz podziewa?

— A... — zamilkła na dobre.

Tylko spokojnie... Ten temat był zbyt frapujący, bym mógł pozwolić sobie na zbytnią dociekliwość, bo wtedy wszystko skończy się na paru zdawkowych zdaniach.

Zainteresowałem się ołówkami, które miała na biurku.

— Bóg z nim. Ale gorąco! — westchnąłem. — Moją koszulę można wyżymać.

— No to co?

— Kluczyk — wyciągnąłem dłoń.

— Gdybym wszystkim ot, tak sobie dawała klucz, mielibyśmy śliczne porządki, nie uważa pan?

— Kochanieńka — powiedziałem żarliwie — inni to zwykli śmiertelnicy, a ja jestem czarodziejem. Cza-ro-dzie-jem!

10

Wysunęła szufladę biurka i dała mi klucz.

— Tylko proszę mi oddać.

— Co?

— Klucz.

— A-a-a, klucz...

Nazywała się Bystrycka, tak samo jak znana aktorka. I podobna była do jakiejś aktorki, ale Tiie do tej swojej imienniczki, tylko do innej, chyba polskiej. Zawsze myliłem nazwiska aktorów. Sama Bystrycka na pewno wie, o kogo chodzi. Ma dwadzieścia trzy lata. Do Komsomołu nie należy. Na ręce dziewczyny spostrzegłem bliznę, której pochodzenie także znałem. Był to ślad wypadku samochodowego podczas przejażdżki po bulwarze z przyjezdnym inżynierem. Wiedziałem o By-stryckiej wszystko, poza najważniejszym.

— Naturalnie, że oddam — powiedziałem. — Królewicz będzie zmiatał pył sprzed pani stóp.

Foześmiała się znowu. Kokieteryjnym gestem poprawiła włosy. Obejrzała mnie z zainteresowaniem, skłoniwszy głowę na ramię.

— Jaki będzie ten pański królewicz? Brunet czy blondyn?

— Jasny blondyn jak ja. Przypomina pani w tej chwili koguta wpatzonego

w perłę. Nawiasem mówiąc, kiedy kończy pani dyżur?

?— Jeśli dobrze rozumiem, tą pc.-łą ma być pan?

— Tak jest. A więc kiedy? — O ósmej. Bo co?

— Spotkamy się?

— Ale pan jest bezcze-e-elny — przeciągnęła znów leniwie.

— Przeciwnie, jestem niesłychanie wstydlivy i nieśmiały i żeby to ukryć udaję tylko bezczelnego. Na zasadzie samoobrony. Wie pani, jak w tym dowcipie... — urwałem.

— W jakim dowcipie?

— Opowiem go wieczorem. Znam dwieście pięć dowcipów znakomitych i sto dobrych. Wątpliwych nie opowiadam. Nie będzie się pani dzisiaj nudziła, nie dopuszczę do tego.

55

•— Wszyscy mężczyźni sypią obietnicami jak z rękawa — odparła. — Ale proszę się strzec, jeśli oszukuje pan biedną, nieszczęśliwą dziewczynę.

„O rany — pomyślałem z przerażeniem. ?— O rany, będę się musiał zwijać jak karaś na patelni. Czeka mnie niełatwy wieczór”.

Posłałem jej najbard/iej ujmujący uśmiech, na jaki było mnie stać, i pomknąłem pod prysznic.

Z miejsca rozkręciłem kran z zimną wodą i wskoczyłem w jej smagające bryzgi. Parskałem, przytupywałem, unosiłem ramiona, żeby woda biła pod pachy, zdmuchiwałem z twarzy pianę i w ogóle czułem się jak w raj.

Dopiero po kwadransie ?zdecydowałem, że starczy. Uczesałem mokre włosy, dmuchnąłem na grzebień i zrobiłem do odbicia w lustrze perskie oko. Potem przybrałem kolejno minę katorżnika, dostojnika państwowego i wreszcie zatrzepotałem rżęsami, udając niewinnego młodzieńca. „Tak,

Borysku — pomyślałem. — Robótka się zaczęła, i to chyba nawet nie najgorzej".

?— Przez tę nieśmiałość zapomniałem nawet spytać, jak pani ma na imię -  
— powiedziałem, zwracając Bystryckiej klucz. — I to mnie nazwano tutaj bezczelnym!

— Raja.

— A ja jestem Boria. Tak się rozglądam, Rajeczko, i widzę, że remont przebiega u was w niebywałym tempie. — Skinąłem w kierunku widocznych w załomie korytarza porzuconych malarskich drabin. Malarzy nadal nie było.

— Ach, o to panu chodzi! Wie pan, popracowali z tydzień i zniknęli.

Kiedy... no tak, zniknęli piątego. Po prostu skandal! — Bystrycka znów zaczęła kryć twarz przed oślepiającym słońcem.

O żadnym remoncie towarzysze z tutejszego oddziału nie wspominali.

Piątego? Oczywiście, to zwykły zbieg okoliczności, ale właśnie piątego rano, trzy dni temu, został zamordowany obywatel Iszczenko Taras Michajłowicz, lat pięćdziesiąt osiem,

12

który przyjechał tu jakoby na urlop i który zajmował w hotelu łóżko należące obecnie do mnie. — Gdzie ci malarze się podzieli?

?— W domu naprzeciwko zdarzyła się jakaś awaria, podobno wszystko zalało. No i wie pan, jak to bywa — na pewno ich tam przerzucono...

— Taka wielka szara czteropiętrowa kamienica? — spytałem. —

Widziałem ją idąc do hotelu.

— Ależ nie, maleńki domek. Ma Czernyszewskiego 8. Jeszcze jeden zbieg okoliczności, ponieważ znałem już ten

adres. Dalsze wypytywanie byłoby jednak ryzykowne, bo cóż mogła mnie obchodzić awaria przewodów wodociagowych? Wątpliwe zresztą, aby Bystrycka знаła bliższe szczegóły.

?— Nieważne, wszystko będzie dobrze — powiedziałem. ?— Proszę trzydzieści kopiejek za prysznic. Lubię sobie pożartować. Ale spotkanie proponowałem serio.

## 2. CZŁOWIEK Z FOTOGRAFII

Mężczyzna w pokoju leżał nadal w tej samej pozycji, owinięty prześcieradłem. Na oknie brzęczała zaplątana w firankę mucha.

— Słuchaj, nie można przecież spać cały dzień. Jest już po dziesiątej.

— A jeśli wróciłem z nocnej zmiany?

— Chyba że tak...

Wyjąłem z walizki nożyczki, usiadłem przy stole, obciąłem paznokcie u lewej ręki i delectowałem się chwilę efektem.

— Sąsiedzie, hej, sąsiedzie! — rzuciłem.

— Czego chcesz? — mruknął, ale ani drgnął pod prześcieradłem.

Trzeba go było jakoś wywabić z tego kokona. Na stole stało pudełko-szachownica. Trąciłem je umyślnie łokciem; spadając,

55

szczęśliwie nie otworzyło się, ale grzmotnęło z hukiem o podłogę.

Mężczyzna usiadł gwałtownie na łóżku. Na oko miał z pięćdziesiątkę.

— Przepraszam — powiedziałem.

To był on, choć na zrobionej ukradkiem fotografii wyglądał na starszego — zastępca kapitana rybackiego trawlera dyscyplinarnie przeniesiony na brzeg za pijaństwo. Czoło jego przecinały zmarszczki, twarz pokrywał niechlujny zarost, włosy na głowie sterczały niby pióra.

— Czego chcesz? Nie lubię, kiedy mnie przepraszają. Podniosłem szachownicę.

— Niczego nie chcę. Jeszcze raz przepraszam. I wziąłem nożyczki w lewą rękę.

— Bezczelny jesteś — orzekł. — I włosy masz krótko ostrzyżone — pogmerał rozcapierzonymi palcami nad głową. — Też bezczelne. Z którego jesteś roku?

— Z czterdziestego trzeciego — ująłem sobie sześć lat, zgodnie z dokumentami. Akurat wyglądam na ten wiek.

— No oczywiście. "Wy wszyscy jesteście bezczelni — oświadczył.

— Zdarza się.

— Nawiasem mówiąc, mógłbym być twoim ojcem.

— Tatusiu — pisnąłem — kup mi czekoladkę. Roześmiał się.

— Jesteś studentem?

— Tak.

Gra toczyła się prawidłowo. Według dokumentów byłem studentem.

Przedterminowo zdałem egzaminy letniej sesji i przyjechałem tu zarobić na zimę jako malarz na kutrze rybackim. Taki ze mnie student-romantyk.

Ponieważ nie tak dawno rzeczywiście studiowałem, gra była dla mnie łatwa. A więc szukam pracy, czekam na pozwolenie wyjścia w morze, słowem — dużo czasu mogę spędzać w hotelu, włóczyć się po mieście i z nudów nawiązywać znajomości.

14

— Nie mogę na to patrzeć! — krzyknął nagle zastępca kapitana. ?— Jak trzymasz te nożyczki? Palec sobie obetniesz!

— Sztuka wymaga ofiar. Przy okazji: gdzie tu jest zarząd rybołówstwa

morskiego?

— Szprotkowy kantor? Niedaleko rynku, na ulicy Prudisa. Nie wybierasz się przypadkiem w morze?

— Owszem.

— A mnie wyrzucili — powiedział z nieoczekiwanym smutkiem.

— W celach wychowawczych? — wskazałem gestem puste butelki, wrzuciłem nożyczki do walizki i wepchnąłem ją pod łóżko.

— Wychowawczych? Głupi jesteś! — wybuchnął. Skóra na jego czole drgała w nerwowym tiku. Okręcił się prześcieradłem, opadł na łóżko, ale nie wytrzymał i poderwał się znowu. — A dlaczegoż to rybak z dziada pradziada, Wojtyn, pije od rana i wali się na łóżko? Dlaczego, pytam? Chcesz, to ci odpowiem!

— No, no — zachęciłem go. Wcale mnie nie słuchał.

— Leżę sobie i widzę taki obrazek: dziesięciostopniowy sztorm, a kierownik działu kadr mocuje ładunek ra pokładzie i w ogóle robi wszystko, co należy do marynarza w takiej sytuacji. Pieniąca się fala zalewa go i zalewa, a on sobie myśli, jak tu szczęśliwie doprowadzić statek do portu, bo to on za niego odpowiada. Kapujesz?

— Kapuję.

— Naprawdę zaś siedzi taki w gabineciku •— różowiuttd, na nosie okulary — i powiada: pijecie za dużo, hańbicie dobre imię marynarza. I jazda spisywać mnie na brzeg. Za stary jestem, teraz liczą się młodzi. Oni nie piją. Oni są cacani, kulturalni. Wesoło?

„Diabelnie wesoło — pomyślałem. — Ale sam też jesteś winny. Nigdy tak nie jest, żeby nie można było znaleźć wyjścia”.

— Grasz w szachy? — spytał rybak.

— Gram. Proszę — podsunąłem mu papierosy.

— Takich nie lubię. Palę tylko z ustnikiem.

Czyli „Bielomory” — odnotowałem machinalnie w pamięci. Gdyby był zwykłym marynarzem, paliłby „Siewier” albo „Priboj”.

Wysypałem figury na jego łóżko i zaczęliśmy je rozstawiać. Brakowało czarnej wieży. Wiedziałem, że znaleziono ją w kieszeni marynarki zabitego. Można to było wyjaśnić stosunkowo łatwo: zapewne Iszczenko podczas gry automatycznie włożył wieżę do kieszeni i zapomniał o niej. Nawiasem mówiąc, w kieszeniach było niewiele: chustka do nosa, banknot rublowy, 23 kopiejki drobnymi i ta figura szachowa. Jego dokumenty i pieniądze zostały w hotelowym sejfie.

Wojtyn rozglądał się, czym zastąpić brakującą wieżę.

— To tutejsze szachy?

— Nie, moje.

— Gdzie pan zaprzepaścił wieżę?

— Kiedy grałem trzy dni temu — było to piątego rano, mniej więcej od ósmej pięćdziesiąt do dziewiętej trzydzieści — wieża jeszcze była. Pojęcia nie mam, gdzie się podziała. Ob-szukałem całutki pokój.

— Co za precyzja! Zawsze pamięta pan tak dokładnie daty i godziny partii szachowych?

— Spróbuj w takiej sytuacji zapomnieć — odparł Wojtyn, rozglądając się nadal z roztargnieniem. — Kapitan z milicji dwa razy przepytывał mnie niczym na spowiedzi, o której godzinie grałem, jak nasz współlokator — spał akurat na twoim łóżku, zwali go Taras Michajłowicz — jak więc on wyglądał, czy nie był tego ranka zdenerwowany, a to znów, co mówił, a to,

co robiłem po jego wyjściu...

— Coś się stało?

— To, że Tarasa Michajłowicza zabili.

— Jak to zabili?

16

— Zwyczajnie. Stuknęli czymś po głowie w przechodnim podwórku i tyle. Nie czymś, tylko kastetem. Kastet znalazł w pobliżu miejsca przestępstwa, pod murem, staruszek wywożący śmiecie. Słyszał o morderstwie, odniósł go więc na milicję. Kastet był niemiecki, takich samych używali podczas wojny esesowcy.

— Morderstwo rabunkowe? ?— spytałem.

— Jakie tam rabunkowe! Namawiałem go ciągle, żeby wypił ze mną. A on na to, że zamierza tu pobyć dłużej, pieniądze ma wy liczone i nie za dużo. Może zresztą łgał, może to ze skąpstwa. Ale myślę, że większej forsy nie miał.

Wojtyn wyjął z kieszeni klucz dziwaczного kształtu, podrzucił go na dłoni, przyjrzał mu się i położył na miejsce brakującej wieży.<sup>1</sup>

?— Cofać się nie wolno?

— Aha.

?— No to jazda. e2, e4.

— Mistrzowski ruch. A ja tak. Ale jeśli to nie rabunek, to cóż innego?

— Widać komuś zawadzał.

— Komu?

•— Miał ze sześćdziesiątkę. Chorowity. Ciągle brał kropelki. Ja, powiada, przyjechałem tu odpocząć, zdrowie podreperować. No i podreperowałem! Ale kiedyś — rybak obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem — przyszedł w

nocy, tak o drugiej, i ciągle wzdychał, przewracał się na łóżku. Potem wstał, zapalił lampę; długo coś pisał, w końcu podarł i rzucił do popielniczki. Rankiem wychodziliśmy razem, zatrzymał się w drzwiach, zawrócił i te strzępki z popielniczki wyjął. Tacy to bywają dziwni starszycy. I co ty na to, studencie?

Odniosłem wrażenie, że Wojtyn opowiada tę historię z pozorną tylko obojętnością i że w gruncie rzeczy ten „starszy” interesuje go znacznie bardziej, niż chce to okazać.

— Opowiedział pan o tym kapitanowi w czasie przesłuchania?

i — Kastet...

55

— Nie, jakoś zapomniałem.

Rzeczywiście pominął to w czasie rozmowy z kapitanem Siparisem.

— Dziwny jakiś człowiek ten pański Taras Michajłowicz — powiedziałem. — Może to szpieg?

?— Sam jesteś szpieg! Napijesz się?

— Powiedziałem już, że rano nie piję. Szach!

— Szach? — zastanowił się chwilę, zrobił ruch i wstał. — Wobec tego wypiję sam.

Zagłębił dłonie w nocnym stoliku, brzęknął szklanką, nasłuchując z przechyloną głową. Nawykły widać do tej manipulacji, wykonywał ją po omacku. Wyjął napełnioną do połowy szklankę. Wlał jej zawartość do gardła niczym nie zagryzając.

Otrząsnął się, westchnął.

?— Jaki ładny klucz — powiedziałem, biorąc go do ręki.

— Precz z łapami!

— Dlaczego?

—? Połóż, mówię, na miejsce.

— Dziwny z pana człowiek! Przecież to wieża. Jeśli ją pobiję, to i tak muszę go dotknąć. Coś tu z logiką nie w porządku.

?— Nie szkodzi!

— Ciekawy klucz — nie dawałem za wygraną. — Zajmowałem się kiedyś ślusarką i trochę znam się na zamkach.

— Robiony na zamówienie — burknął opryskliwie Wojtyn. ?— A gdzie jest zamek do niego?

— Gdzie, gdzie !.> Czegoś się do mnie przyczepił? Graj i siedź cicho!

— Przepraszam. Nie sądziłem, że moje pytanie pana dotknie. Wcale nie mam zamiaru wdzierać się w pańskie tajemnice i zadawać pytań, które sprawiają panu przykrość.

— Już dobra, dobra, znów zaczął ze swoimi pizeprosinami! Może jednak wypijesz?

— Nie.

18

— Wiesz, całkiem do rzeczy z ciebie chłopak, boś uparty. Nawet zaczynasz mi się podobać.

Milczałem.

— No, bez obrazy! Widzisz, chodzi o to, że... a-a-a, i tak nie zrozumiesz!

— Jeśli sprawia to panu przykrość, proszę nie opowiadać — uprzedziłem.

— Nie... — głośno wciągnął nosem powietrze, pomilczał chwilę i zaczął prawie spokojnie: — To jest klucz od domu, który nie istnieje. Przed wojną miałem tu, w tym mieście, domek,' wiesz? Kupiłem meble, wymyśliłem różne dodatkowe drobiazgi i zrobiłem je sam. Założyłem ten

zamek, specjalny, wykonany na zamówienie, rozumiesz? Tak przyjemnie było robić to wszystko. Wiłem własne gniazdko. Chodziliśmy z żoną do sklepów, wybieraliśmy firanki, ona miała dobry gust. Do diabła, gdzie są zapałki?

Zapaliłem mu papierosa.

?— No i... — zaciągnął się głęboko. — No i tak. 23 czerwca poszedłem na wojnę, a ona zginęła.

— Bombardowanie? — spytałem ostrożnie.

?— Była łączniczką oddziału partyzanckiego. Potem mi opowiadano, że w czterdziestym czwartym ktoś na nią doniósł. Gestapo trzymało ją sześć tygodni. Niczego im nie powiedziała, rozumiesz? Niczego! Kto by tak potrafił? Ty byś potrafił?

— Mojego ojca rozstrzelała Abwehra. Był partyzanckim zwiadowcą — powiedziałem.

To była prawda.

— Tak? — Wojtyn ze znużeniem potarł czoło. — Gdzie?

— Na Białorusi. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero kilka lat po wojnie.

— Tak? — powtórzył Wojtyn. — Gdybym znalazł tego, kto na nią doniósł, zabiłbym go sam. Tymi rękami. — Spojrzał na swoje dłonie. — Najpierw bym z nim pogadał, a potem ... r-raz! — Powiedział to normalnym głosem i zupełnie

55

trzeźwy popatrzył na mnie uważnie. — Myślisz, że to tylko słowa? Co? Całymi latami myślałem o tym po nocach.

„Moją rzeczą jest ustalić — pomyślałem — czy on w ogóle zdolny jest do morderstwa...”

— Próbował pan czegoś się dowiedzieć? — Owszem. Pisałem, gdzie trzeba.

— I co?

— I nic! Oni sami niczego nie wiedzą. Niezupełnie, coś niecoś jednak wiedzieliśmy.

W latach 1942—1944 działał w okolicznych lasach oddział partyzancki, powiązany z miejską organizacją podziemną, która kierowała walką w całym rejonie. Pod koniec 1944 roku oddział ten został otoczony na postoju przez jednostki SS i całkowicie zniszczony, ocalało jedynie dwu zwiadowców, którzy wypełniali akurat pewne zadanie specjalne, znane wyłącznie dowódcy oddziału. Jeden z nich zmarł w 1958 roku na raka płuc, drugi zaś — Korniejew Władimir Isajewicz — mieszkał obecnie w Leningradzie i pracował jako dyrektor szkoły. Oddział zmienił miejsce postoju na dwa dni przed tragedią.

Równocześnie spadł precyzyjnie wymierzony cios na organizację w mieście. Gestapo aresztowało 38 osób. Cudem uratowała się tylko Jewgienia Augustowna Stankene, która później przez kilka miesięcy ukrywała się w szopie u rodziny. Stankene osiwiła podczas oczekiwania na wkroczenie naszych wojsk. Pozostałych najpierw poddano torturom, a następnie zamordowano.

U schyłku 1944 roku wśród dokumentów, których gestapo nie zdążyło zniszczyć, znaleziono opatrzone datami pokwitowania na znaczną sumę marek, i to nawet nie okupacyjnych, lecz niemieckich. Pieniądze te wypłacono w trzy dni po likwidacji oddziału partyzanckiego i aresztowaniach w mieście człowiekowi kryjącemu się pod pseudonimem „Centaur”. Znalaziono także kartkę z kopii raportu szefa miejscowego

oddziału gestapo o „akcji likwidacyjnej oddziału leśnego i miej

20

skiej organizacji podziemnej". We fragmencie tym „Centaur” figurował jako „bardzo utalentowany agent”. Wspominano tam również, że jest silny fizycznie, pełen inicjatywy oraz że znakomicie zna języki rosyjski i niemiecki. Jego jedyną wadę stanowi skłonność do alkoholu, a podпиты — staje się niebezpiecznie gadatliwy. Niczego więcej w tej sprawie nie dało się odnaleźć, ponieważ najważniejsze dokumenty Niemcy zdążyli spalić. Podjęto kroki, by odnaleźć „Centaura” i ustalić jego tożsamość, ale zakończyły się one niepowodzeniem.

Wszystkie te dokumenty wydobyto z naszych archiwów w związku z wydarzeniem sprzed trzech dni, to znaczy z piątego czerwca. Tego właśnie dnia o 11.20 zgłosiła się do miejscowych władz bezpieczeństwa Jewgienia Augustowna Stankene — po wojnie mieszkała nadal w tym nadmorskim mieście, gdzie dawniej pracowała jako pielęgniarka w szpitalu, a obecnie była już na rencie? — i oświadczyła, że jakieś pół godziny wcześniej (około jedenastej) spotkała na ulicy byłego partyzanta ze zlikwidowanego przez hitlerowców oddziału, którego niejednokrotnie widywała w lesie, przychodząc tam jako łączniczka. Pojawił się on w oddziale kilka miesięcy przed jego likwidacją. Przez cały czas sądzono, iż ocalało tylko troje ludzi, tymczasem okazuje się, że żyje także czwarty. Stankene zatrzymała go, wymieniła swoje nazwisko i spytała: „Taras, poznajesz mnie?” Mężczyzna był całkowicie zaskoczony tym spotkaniem i wyraźnie zmieszany.

„Pomyliła mnie pani z kimś innym” — odparł i pospiesznie się oddalił.

„Widziałam jednak, że mnie poznał” — pisała w swym oświadczeniu

Stankene. Już po kwadransie ustalono, iż Taras Michajłowicz Iszczenko

zameldowany jest w hotelu, a o 14.10 znaleziono jego zwłoki w przechodnim podwórku, na które nie wychodzi ani jedno okno stojących wokół domów. Trup leżał za śmietnikiem. Sekcja wykazała, że Iszczenko został zamordowany mniej więcej w dziesięć minut potem, jak spotkał na ulicy Jewgienię Augustownę (czyli o jedenastej z minutami). Korniejew, któremu pokazano w Leningradzie foto

55

grafie zamordowanego, rozpoznał w nim jednego z partyzantów, ale nie mógł dostarczyć żadnych szczegółów, ponieważ często oddalał się z oddziału, wypełniając różne zadania i prawie w nim nie był.

Cała ta sprawa wchodziła w zakres działalności naszego wydziału, do którego należało tropienie byłych przestępców wojennych. Postanowiono, że organa terenowe zajmą się innymi możliwymi wersjami zabójstwa (mogło ono nie mieć nic wspólnego z wydarzeniami sprzed ponad dwudziestu lat) i pomogą funkcjonariuszowi z centrali, to znaczy mnie, w rozpracowaniu zasadniczego wariantu dochodzenia. W grę wchodziły cztery osoby, o których wiadomo było, że kontaktowały się z zamordowanym i w ten lub inny sposób mogły być związane ze zbrodnią. Jedną z nich był Wojtyn. Miejscowe organa wyłączały go raczej z kręgu podejrzanych, aczkolwiek wiedziały o nim nie wszystko. Nie wiedziały choćby tego, co mi dzisiaj opowiedział. Wojtyn miał alibi: w krytycznym dniu spędził rano w hotelu, gdzie widziało go wiele osób. Oddalił się tylko na dwadzieścia minut po papierosy — jak wyjaśnił to kapitanowi Siparisowi — mniej więcej w tym samym czasie, kiedy popełniono morderstwo. Dyżurna (nie Bystrycka, która miała ten dzień wolny) przypadkowo zapamiętała godzinę, kiedy Wojtyn wychodził i wracał.

Gdyby dysponował samochodem, mógłby oczywiście dojechać nim do miejsca zbrodni, spędzić tam kilka minut i wrócić, ale było to mało prawdopodobne.

— Żona nosiła nazwisko Wojtyn? — spytałem.

— Skąd wiesz, jak się nazywam? — "Rybak nagle wziął się w garść i spojrzał na mnie nieufnie.

Uśmiechnąłem się.

— Pół godziny temu sam pan przecież powiedział: rybak z dziada pradziada Wojtyn

— Słusznie — odparł pochylając nisko głowę. — Mam teraz pamięć do niczego. Nie, w tej sprawie żona poczynała

22

sobie samodzielnie. Używała nazwiska Krugłowa. Pisała wiersze i marzyła, że kiedyś będą drukowane.

Przypomniałem sobie, że widziałem to nazwisko na liście zamordowanych przez Niemców.

— Wiesz co, poddaję się — powiedział Wojtyn. — Jesteś dla mnie zbyt silnym przeciwnikiem Za dobrze grasz w szachy.

— Zu kampfem habe ich seit Kindheit gelernt. Jeszcze jedną partyjkę?

— Jakoś nie mam chęci. Coś powiedział?

— To po niemiecku. Pan nie zna niemieckiego? Uśmiechnął się.

— „Halt”, „Hande hoch”. A jeszcze „Schnaps”.

— No dobra. Pójdę szukać tego szprotkowego kantoru, bo forsy mam akurat tyle, co ten Taras Michajłowicz. A on grał w szachy?

— Nawet nie wiedział, jak nazywają się figury.

To ci heca! Coś zupełnie nowego. Jak wobec tego zawędrowała do

kieszeni jego marynarki czarna wieża?

— Ale pewnie lubił kibicować? Może uczył się grać?

?— W ogóle nie cierpiał szachów. Nawet nie podchodził do szachownicy.

— A nasz trzeci lokator? — skinąłem w stronę pustego, starannie zasłanego łóżka.

— Ooo! To jest tygrys! Z nim właśnie grywam. Pewnie nawet tobie da radę.

Tym trzecim był pracownik wytwórni mebli z Saratowa. Przyjechał do tutejszej fabryki zapoznać się z jej doświadczeniami czy też może przekazać własne. Spokojny, niepozorny, czterdziestojednoletni mężczyzna nazwiskiem Puchalski.

— Do diabła! — Wojtyn poderwał się i zaczął pospiesznie wkładać ubranie. — Autobus... Muszę być punktualnie... — mamrotał.

— Wyjeżdża pan?

— Nie! — krzyknął z rozdrażnieniem, wybiegając z pokoju. Wzruszyłem ramionami i zacząłem zbierać figury.

55

Może czekał na kogoś? Przypomniałem sobie, że wśród rzeczy Tarasa Michajłowicza znaleziono przepisany przez niego rozkład jazdy kursujących na wybrzeżu autobusów. „I co z tego? — pomyślałem niechętnie. — Nic to nie ma do rzeczy”.

### 3. POZDROWIENIA OD KOLI

Znów szedłem schodami w dół, mijając swe odbicia w zakurzonych, popstrzonych przez muchy lustrach. Na parterze było ciemnowo i chłodno. Pachniała umyta podłoga. Stojąca na drabinie sprzątaczką czyściła żyrandol. Jakaś ciotka Masza, Kłasha czy Jadwiga, bo tak się do nich

zazwyczaj wszyscy zwracają. Owe kobiety bywają bardzo spostrzegawcze i z nimi zawsze warto pogadać. Niekiedy podpatrzą jakiś szczegół, „drobiażdżek”, który może okazać się dla śledztwa prawdziwym skarbem. Co prawda tutejsi funkcjonariusze na pewno wszystkich przesłuchiwali, ale chyba nie wadziło pójść po ich śladach — nie dlatego, bym nie miał do nich zaufania, po prostu lubiłem wszystko robić sam.

Rozejrzałem się. Obok opartej o ścianę szczotki stał kosz pełen śmieci.

Przeszedłem tamtędy i zawadziłem o kosz nogą.

— Oj, przepraszam!

Sprzątaczką opuściła wzrok i natychmiast zaczęła pyskować.

— Coś takiego! Trzeba patrzeć, gdzie się stawia nogi! Człowiek sprząta, wylizuje każdy kąt, a ci łażą i łażą!

— Niech się pani nie gniewa, zaraz zrobię porządek. Podniosłem kosz, przykucnąłem obok i wolniutko, jeden po drugim zbierałem rozsypane papierki.

— Często pani tak wszystko pucuje?

— A coś ty myślał?

— I tak zaraz znowu naleci kurzu — zauważyłem filozoficznie.

— Święta racja! —? Trafiłem widać w bolesne miejsce, bo

24

aż przestała wycierać żyrandol. — I skąd tego paskudztwa tyle się bierze?

— Ale pod słońcem nie ma nic wiecznego — posterowałem w inną stronę

— a ludzkie życie to i kopiejki nie jest warte.

— Że niby co? — Sprzątaczką nie miała nic przeciwko pogawędce.

— Przyjechałem dziś do waszego hotelu i od razu dowiedziałem się, że zamordowano człowieka.

— Tego" Bóg go pokarał!

— Czyżby? — zainteresowałem się.

— Tak, tak — potwierdziła. ?— To był rozpustnik — oświadczyła z przekonaniem. — Łajdaczyna!

— Niemożliwe.

— Świętą prawdę mówię.

— Skąd pani o tym wie?

— Ano, myłam kiedyś podłogę — zaczęła ochoczo. — I stałam tak. — O mało nie zwała się z drabiny. — Przechodził obok, taki przyzwoicie ubrany, nawet by człowiek nie pomyślał, a uszczypnął mnie, o tutaj. Słowo daję, mało go nie zamalowałam ścierką! Powiadam do niego, że nie jestem pierwsza lepsza! A on śmieje się i powiada: ciszej dziewczynko. Ja mu na to, że już od dwudziestu lat nie jestem dziewczynką i lepiej by nie urządzał śmichów-chichów, stary przyk! Tak mu właśnie powiedziałam. Zauważył, że ktoś idzie korytarzem, machnął ręką i tak jakoś boczkim szybko odszedł. Po prostu uciekł.

„Ostrożny był człowiek z tego Tarasa Michajłowicza" — pomyślałem i podtrzymałem rozmowę.

— Nieboszczyk lubił sobie pobrykać?

— Jeszcze jak!

— Ciekawe, za co go wykończyli.

— Na pewno z powodu baby!

— Jakiej baby?

— Wiadomo jakiej... Jasne, że to miłosna historia!

55

— Zdaje się, nie był już taki młody? Wiek mu chyba nie pozwalał.

— A tam, wszyscy jesteście dobrzy.

Ta-ak. Skarbu raczej nie odkryłem, chociaż wszystko, co dotyczyło Iszczenki, mocno mnie interesowało.

— Mamy nową sprzątaczkę? — rozległ się za moimi plecami ironiczny męski głos. — Jakoś dawniej pana nie zauważyłem.

Moja rozmówczyni natychmiast zajęła się żyrandolem.

Zerknąłem spod oka i zobaczyłem stopy obute w filcowe ranne pantofle.

Nie słyszałem, kiedy ich właściciel podchodził. Ciekawe, czy dawno tu stoi. Chyba nie, bo sprzątaczką cały czas odwrócona twarzą do mnie, na pewno by go zauważyła.

— Pracuję dorywczo — odparłem i bez szczególnego entuzjazmu uniosłem wzrok.

Był niezbyt wysoki, siwy, miał wesołe oczy. Ręce trzymał w kieszeniach.

— Ach tak! Mcgę pana wziąć na etat.

— Lepiej niech pan weźmie Ajwazowskiego.

— Jakiego Ajwazowskiego? — Na twarzy mężczyzny odmalowało się zdumienie.

Skinąłem na reprodukcję „Dziewiątej fali”.

— Iwana Konstantynowicza.

— Nie widzę tu nic śmiesznego. — W jego głosie zabrzmiała uraza. — To wielki malarz.

— Wielki bo wielki, ale wstyd wieszać taką reprodukcję. Uważnie popatrzył na obraz. Cofnął się parę kroków i znów popatrzył. Chyba jednak nie doszedł do żadnych wniosków i zadarł głowę.

— Mocniej trzyj, Pierfiłowł, ten żyrandol wciąż jest matowy.

— Staram się, jak mogę, Iwanie Siergiejewiczu — odparła sprzątaczką.

To był dyrektor. Ze względu na letni sezon w hotelu pano

55

wał ścisk, kapitan Siparis zaś nikogo nie pozwolił ulokować na miejsce zamordowanego. Dzisiaj cofnął ten zakaz, a zaraz potem zadzwoniono do dyrektora z miejskiego komitetu Kom-sombłu i poproszono, żeby mnie przyjął. W razie czego mogłem służyć piękną historyjką, jak to ja, moskiewski student, przyszedłem do Komsomołu z prośbą o pomoc w znalezieniu lokum — jeden z pracowników komitetu został o tym uprzedzony. Doszliśmy w Centrali do wniosku, że tą drogą od razu i w najbardziej naturalny sposób trafię do środowiska ludzi, którzy nas interesują. Poza tym coś jeszcze przemawiało za hotelem...

— Przyjechałeś dzisiaj? — spytał dyrektor.

— Tak.

— Dostałeś miejsce w trzysta piątym?

— Owszem.

Ledwie dostrzegalnie zmrużył oko.

— Doskonale sprzątasz. I tak starannie.

— Ku chwale mas pracujących.

Z rękami w kieszeniach obserwował pracę sprzątaczk, jednocześnie nie wypuszczając mnie z pola widzenia. Ciekawość jest, oczywicie, cechą godną pochwały, ale., Rzuciłem spojrzenie na zegarek, skląłem w duchu dyrektora i wyprostowałem się.

— Wszystko już zebrałem — powiedziałem do sprzątaczk. — Moje uszanowanie — zwróciłem się do dyrektora.

— Reprodukacja obrazu Ajwazowskiego „Dziewiątą falą” jest jednak piękną reprodukcją — rzucił za mną.

Udałem, że nie słyszę.

Kiedy wyszedłem z mrocznego hallu, słońce oślepiło mnie tak, aż zmrużyłem oczy. Upał był jeszcze większy. Asfalt ugiął się miękko pod stopami niczym puszysty dywan. Skręciłem za węgiel hotelu „Pordus”, odczekałem chwilę i wszedłem do budki telefonicznej. W środku pachniał rozgrzany metal. „Pozdrowienia od Koli” — mruknąłem po wykręceniu numeru, który otrzymałem przed wyjazdem. „Przy telefonie

27

siódmy — usłyszałem w odpowiedzi. — Serdecznie witamy”. „Dziękuję. Wszystko gotowe?” „On tu już jest”. „W porządku. Jadę” — odparłem.

#### 4. PRZESŁUCHANIE W SĄSIEDNIM POKOJU

Na czwartym przystanku wysiadłem z tramwaju i zawróciłem. Zaraz za bramą, na której wisiało mnóstwo różnych tabliczek, skręciłem pod łukowate sklepienie. Przy tylnym wejściu stał mężczyzna w modnej nylonowej koszuli i palił. Na mój widok odrzucił papierosa, wyprostował się odruchowo i speszony uśmiechnął się przepaszająco samymi oczami. W milczeniu ruszył do frontowego wejścia, poszedłem za nim. Na pierwszym piętrze otworzył drzwi własnym kluczem i przepuścił mnie przodem.

— Młodszy lejtnant Krasuchin — przedstawił się, kiedy weszliśmy do pokoju.

Przedstawiłem się również. Potem uścisnąłem dłoń Wilen-kina (przyleciał tu jeszcze wczoraj), który na mój widok wstał. Rozejrzałem się. Pokój miał sklepiony półokrągło sufit; przypominało to dekoracje teatralne do sztuk z życia przedrewolucyjnego kupiectwa. Spostrzegłem dwoje drzwi: te, którymi weszliśmy, i drugie — obite imitacją skóry.

— Przesłuchanie odbywa się tam? — kiwnąłem w ich kierunku.

— Tak jest.

— Będzie je prowadził kapitan Siparis?

— Tak, zgodnie z naszą umową.

Kapitan Siparis był szefem miejskiej milicji kryminalnej i prowadził oficjalne dochodzenie, chodziło bowiem o to, by w mieście panowało przekonanie, że śledztwo dotyczy pospolitego morderstwa.

— To pierwsze przesłuchanie?

28

— W dniu przestępstwa wzywał go zastępca kapitana i zadał mu tylko parę formalnych pytań.

— Jeśli można, warto by już zacząć, bo czas ucieka.

Młodszy lejtnant wziął słuchawkę i powiedział do niej:

•— W porządku, towarzyszu Siparis. Wszyscy już są.

Potem nacisnął guziczek białego aparatu, który stał na stole. Usłyszeliśmy:

KAPITAN: Poproście Buscha.

(Odgłos otwieranych drzwi).

BUSCH. Dzień dobry. Jeśli się nie mylę, kapitan Siparis? Prawda? Tak tu jest napisane w wezwaniu, o tu, w drugiej linijce.

KAPITAN. Tak.

BUSCH. Aha, aha!

KAPITAN. Siadajcie, obywatelu. Proszę wybaczyć, że mu-, sielście poczekać.

BUSCH. Ależ nie szkodzi, nie szkodzi, to przecież zrozumiałe. Taką już macie robótkę, ciągły ruch. Mąż mojej kuzynki też pracował w milicji, obecnie jest pułkownikiem na emeryturze, mieszka w Rydze, ma rozległe

stosunki, całe miasto go zna.

KAPITAN. Wezwaliśmy was nie po to...

BUSCH. Rozumiem, rozumiem, ja tylko tak, przy okazji. Pan przecież wie, żona Tarasa Michajłowicza przeżywa to tak ciężko, biedulka, jest teraz na mojej głowie i od chwili przyjazdu płacze i płacze bez ustanku. (Przymknąłem oczy i wyobraziłem sobie Buscha: przysadzisty, z ciężkimi powiekami, przypominający małego hipopotama).

KAPITAN. Jak zawarliście znajomość z Tarasem Michajłowiczem Iszczenko?

BUSCH. W łódce, panie kapitanie. KAPITAN. W łódce?

BUSCH. Tak. Byłem prywatnie w Eupatorii, siedziałem właśnie na plaży — tam są dwie, może wie pan o tym: jedna

55

prawie w mieście, na drugą trzeba jechać tramwajem. Bywał pan w Eupatorii? KAPITAN. Nie.

BUSCH. Ach, jaka szkoda! Niech pan koniecznie pojedzie, tam jest wspaniały piasek. Wszędzie na wybrzeżu żwir, kamienie, a w Eupatorii wchodzisz do wody z prawdziwą rozkoszą, jak u nas, nad Bałtykiem, tylko tam od razu jest głębia.

KAPITAN. Zaczęliście mówić o łódce.

BUSCH. O łódce? Ach tak, rzeczywiście!

(Młodszy lejtnant pokręcił głową i coś powiedział.

— Co? — nie dosłyszałem i ściszyłem dźwięk

?— Facet udaje głupiego. Cwaniak — powtórzył).

BUSCH. No więc siedziałem na piasku, to znaczy nie na gołym piasku, oczywiście, lecz na kocu. Podpłynęła łódka, taka wielka, wie pan, raczej

szalupa niż łódka, i ratownik, który wiosłował, zaproponował przejażdżkę po morzu. Za dwadzieścia kopiejek od łebka, jeśli Uczyć na nowe pieniądze. Zgłosiło się nas ośmioro, głównie niemłodych już ludzi. Między innymi był tam Taras Michajłowicz. Od razu przypadliśmy sobie do gustu.

KAPITAN. A potem?

BUSCH. Jak to na urlopie: wieczorem pograliśmy w pre-feransika, trochę wypiliśmy. KAPITAN. Iszczenko był sam?

BUSCH. Sam, sam! Jego małżonka spędzała urlop oddzielnie. Oni mieli taką zasadę: wypoczywamy od pracy i od siebie nawzajem.

KAPITAN. Byli dobrym małżeństwem?

BUSCH. Normalnym, jak to bywa po pięćdziesiątce, kiedy nie ma dzieci. Co prawda, ona jest od niego młodsza. Znacznie młodsza. -

KAPITAN. Zatrzymała się obecnie u was? BUSCH. Tak, bo jakże, sama w obcym mieście... Żyła sobie spokojnie, niczego się nie spodziewała, a tu nagle jak grom

30

z jasnego nieba depesza: mąż zamordowany, proszę natychmiast przyjechać... Sam pan rozumie...

KAPITAN. To wy posłaliście depeszę?

BUSCH. Ja, tak, ja.

KAPITAN. Znaliście ją przedtem?

BUSCH. Przelotnie. Wstąpiła po męża do Eupatorii, spędziła tam trzy dni. Piękna kobieta!.. Cudownie spędziliśmy ten czas w trójkę, kapaliśmy się, łaziliśmy po knajpkach.

KAPITAN. A ona spędzała urlop gdzieś niedaleko?

BUSCH. Sześćdziesiąt kilometrów dalej. Zapomniałem, jak ta

miejscowość się nazywa... I tak musiała wracać przez Eupatorię, bo stamtąd mieli pociąg.

KAPITAN. Dziwne panowały między nimi stosunki.

BUSCH. Nie wydaje mi się.

KAPITAN. Tak, zatem wypiliście po preferansiku... Iszczenko lubił popić?

BUSCH. O, nawet bardzo, często oddawał się Bachusowi, był taki bóg, uczono o nim kiedyś w gimnazjach.

(Sięgnąłem po kartkę papieru ze stosiku leżącego na stole i zapisałem szybko: „Sprawdzić u żony, jak było z tym piciem. Wojtyn twierdzi coś przeciwnego”.)

KAPITAN. A wy dotrzymywaliście mu kroku? Wybaczcie, że pytam.

EUSCH. W miarę moich sił i możliwości.

KAPITAN. Kiedy zawarliście tę znajomość w Eupatorii?

BUSCH. Zaraz, zaraz. Ano tak... w sześćdziesiątym trzecim.,,

KAPITAN. I nie widywaliście się od tego czasu?

BUSCH. Jak to? Oczywiście, że się widywaliśmy. Pisywaliśmy do siebie, potem znów spotkaliśmy się na południu podczas sezonu. Później nie mógł przyjechać, a w tym roku na swoje nieszczęście postanowił pokapać się w naszym Bałtyku. No i...

KAPITAN. Iszczenko bywał dawniej w tym mieście? Mówił wam coś na ten temat?

BUSCH. Wspomniał, że przed wojną tu mieszkał. Ogrom-

55

nie ucieszył się wiadomością, że stąd pochodzę. Natychmiast spytał, kiedy tu się osiedliłem. Odpowiedziałem, że po wojnie, On na to: wobec tego zastąpiłeś mnie, bo mieszkałem tam jakiś czas przed wojną. Wypytywał o

dzisiejsze nazwy ulic, wszelkie zmiany i w ogóle bardzo był wszystkiego ciekawy.

KAPITAN. Nie pytał o wspólnych znajomych? Nie dowiadywał się o nikogo?

BUSCH. Nie pamiętam.

KAPITAN. Pamiętacie taki szczegół, że w sześćdziesiątym trzecim zażądano od was dwadzieścia kopiejek za przejazdkę po morzu, a tego nie? Szkoda. To bardzo ważne dla śledztwa.

(Zanotowałem: „Spytać żonę, czy Iszczenko był tu już po wojnie, czy teraz dopiero po raz pierwszy”. Iszczenko ożenił się w czterdziestym siódmym powtórnie, uprzednio był już żonaty, ale się rozwiódł. Jego pierwsza żona, która mieszkała w Nowosybirsku, niedawno umarła. Sam Iszczenko również tam mieszkał. „Spytać wdowę — pomyślałem. — Nie żonę”. I poprawiłem to miejsce w notatce).

BUSCH. Zapomniałem.

KAPITAN. Czy Iszczenko spotykał się z kimś?

BUSCH. Tak, tak... Wie pan, wspomniał coś o jakimś Siemionie, ale szczerze mówiąc, niezbyt uważnie słuchałem. Chyba zamierzał się z nim spotkać albo już się spotkał.

KAPITAN. Siemion? Nie pamiętacie przypadkiem, gdzie ten Siemion pracuje lub w ogóle czegośkolwiek na jego temat?

BUSCH. Niczego o nim nie wiem.

KAPITAN. Postarajcie się przypomnieć sobie.

BUSCH. Nie-e-e... Taras Michajłowicz nic więcej o nim nie mówił.

KAPITAN. Co sądzą o tym zabójstwie? Czy Iszczenko mógł mieć wrogów?

BUSCH. Nie mam pojęcia, był to człowiek niesłychanej pra-•wości, nie dlatego tak twierdzę, że o zmarłych nie mówi się źle, nie, bynajmniej. Po prostu naprawdę był serdeczny i delikatny.

55

KAPITAN. Jak to się przejawiało?

BUSCH. To trudno powiedzieć... No, na przykład tu, w hotelu, pracuje pewna dziewczyna, Raja Wspomniał mi kiedyś mimochodem, że Raja ma jakieś kłopoty, współczuł jej. Któregoś dnia wstąpiłem po niego, dziewczyna akurat miała dyżur, a on stał koło jej biurka i tak serdecznie z nią rozmawiał..

KAPITAN. Nie słyszeliście, o czym? BUSCH. Kiedy podszedłem, umilkli.

KAPITAN. Może nic chcieli, żeby ktoś tę rozmowę słyszał? BUSCH.

Owszem, odniosłem takie wrażenie. KAPITAN. No, a jakie jest wasze zdanie na temat tego zabójstwa?

BUSCH. Wiele o tym myślałem, ale nie doszedłem do żadnych wniosków. Może chodziło o rabunek?

KAPITAN. Czy Iszczenko miał przy sobie większą sumę pieniędzy?

BUSCH. Nie zwierzał mi się. Powiedziałem to tak, hipotetycznie.

KAPITAN. Długo zamierzał tu zabawić? BUSCH. Nie wiem.

KAPITAN. Dziwne. Wygląda na to, że byliście przyjaciółmi. Mógł być z wami bardziej szczery. BUSCH. Chyba cały urlop...

KAPITAN. Czy wiele czasu spędzaliście wspólnie?

BUSCH. Właściwie widywaliśmy się codziennie. Po pracy spotykałem się z nim na plaży, poza tym przychodził do mojego domu. Nawiasem mówiąc, proponowałem, by zatrzymał się u mnie, ale odmówił.

KAPITAN. Czy załatwiał tu jakieś sprawy?

BUSCH. Nie wiem,

KAPITAN. Widzieliście się z nim wieczorem w przeddzień zabójstwa?

BUSCH. Tak. KAPITAN. Gdzie?

3 — Kaste-t...

33

BTJSCH. W restajracji „Bałtyk”.

KAFITAN. Jak się zachowywał? Był przygnębiony? BUSCH. Raczej nie.

Może tyJko bardziej małomówny niż zazwyczaj, bo na ogół bywał

pogodny, lubił sobie pożartować. KAPITAN. Długo tam byliście?

BUSCH. Do zamknięcia restauracji. KAPITAN. Kto płacił? BUSCH Po

połowie. KAPITAN. Wracaliście razem?

BUSCH. Odprowadził mnie do domu, posiedział jeszcze chwilę.

Namawiałem go, żeby przemocował, ale poszedł jednak do hotelu.

KAPITAN. Był tutaj pięć dni. Czy każdy wieczór spędzaliście razem?

BUSCH. Tak.

KAPITAN- Spotykaliście" się w ciągu dnia? BUSCH. Nie, przecież ja

pracuję. Tylko j.jden raz umówiliśmy się, że wstąpi po mnie do fabry-ki.

ale nie przyszedł. KAPITAN. O której miał przyjść? .

BUSCH. O pół do dwunastej. Jeszcze coś sobie przypomniałem — tego

samego dnia nie spotkaliśmy się również wieczorem Kiedy zajrzałem do

hotelu, nie było go.

KAPITAN. Czy Iszczenko był człowiekiem solidnym?

BUSCH (lekko zdziwiony). Ta-ak.

KAPITAN. Jak więc usprawiedliwiał się następnego dnia?

BUSCH. Ach, o to chodzi... Powiedział, że cały dzień spędził na plaży, a

wieczorem poszedł na nadmorski spacer, zawędrował daleko i nie chciało

mu się wracać do miasta. Siedział i patrzył na zachód słońca.

KAPITAN. Tak bardzo lubił przyrodę?

BUSCH. Przedtem tego nie zauważyłem.

KAPITAN. Kiedy to'było?

BUSCH. Co?

KAPITAN. Przepraszam. Którego dnia mieliście się spotkać i do spotkania nie doszło? Możecie podać datę?

34

BUSCH. Akurat trzeciego. KAPITAN. Dlaczego „akurat“?

BUSCH. No... w przeddzień tego wieczoru, który spędziliśmy w „Bałtyku“.

KAPITAN. Tak. Jeszcze jedno, ostatnie już pytanie. Rozumiecie, że toczy się śledztwo i naszym obowiązkiem jest sprawdzić wszystko. Gdzie byliście rano w dniu zabójstwa?

BUSCH. Rozumiem, rozumiem. Przepraszam, a kiedy go... zabili? O której?

(Skrzypnięcie krzesła).

KAPITAN. Mniej więcej o jedenastej.

BUSCH. Od rana do pierwszej byłem w domu, wziąłem sobie wolny dzień. Można łatwo sprawdzić, ponieważ sąsiedzi spod dziesiątego widzieli mnie w ogródku.

KAPITAN. Wolny dzień w środku tygodnia?"Nie lepiej było połączyć go z niedzielą?

BUSCH. W domu nagromadziło się sporo zajęć.

KAPITAN. Jakich, jeśli to nie tajemnica?

BUSCH. Różnych, najróżniejszych. Chciałem popracować w ogródku. I

akurat tego ranka przeciekło do mnie od sąsiada z góry. Całe szczęście, że byłem w domu.

KAPITAN. Mieliście spotkać się tego dnia z Iszczenką?

BUSCH. Nie. To znaczy tak. Wieczorem. Ale już nic z tego nie wyszło, tak.

KAPITAN. Dziękuję wam (Szelest papieru) Przeczytajcie protokół i podpiszcie. Ale, ale, to już trzecia. Napiszemy na wezwaniu, że zatrzymaliśmy was do końca pracy. Nie warto wracać do fabryki...

BUSCH. O, to byłoby wspaniałe!

— Na pewno chcecie zobaczyć, jak Busch jest ubrany? — spytał młodszy lejtnant. — Zresztą na fotografiach ludzie często bywają do siebie niepodobni.

— Można to zrobić?

55

— Oczywiście.

Krasuchin podszedł do ściany i odsunął sielankowy pejzażyk w ciemnej ramce.

— Nas gtańd nie widać? — zapytałem.

— Nie.

Spojrzałem przez szybkę.

Busch był właśnie taki, jak go sobie wyobrażałem. Przypominał hipopotama. Uważnie studiował protokół, z przejęcia lekko poruszając wargami i mrugając nerwowo. Miał na sobie stare, wyświecone na kolanach spodnie i spraną koszulę (wieczorami wyglądał znacznie bardziej imponująco; jego fotografię zrobiono w restauracji „Bałtyk”, gdzie był stałym gościem) — zapewne przyjechał tu prosto z fabryki. Pracował jako

inżynier w tej samej wytwórni mebli, do której przyjechał służbowo z Saratowa mój drugi współlokator z hotelu, Puchalski.

Naprzeciw Buscha siedział kapitan Siparis, ostronosy brunet. Wyglądał przez okno i bębnił palcami po szklanej płycie biurka. Nasz biały aparat był już wyłączony i dźwięki nie docierały do nas przez grubą ścianę.

— Kiedy wyjeżdża wdowa po Iszczence? — spytałem młodszego lejtnanta.

— Jeszcze się nie zdecydowała.

?— Wyjaśnijcie z kapitanem Siparisem niektóre szczegóły.— Podałem mu notatki.

— Rozkaz. Musimy się pospieszyć, Busch na pewno już wychodzi.

— Zgodnie z umową jutro o dziesiątej na bulwarze — przypomniałem Walenkinowi.

— Tak jest, towarzyszu starszy lejtnancie.

Walenkin został, a my zeszedliśmy na parter. Tuż przy drzwiach stał kryty „gazik”. Schowałem się na tylnym siedzeniu. Krasuchin siadł obok kierowcy.

— Jazda — powiedział.

Kierowca wyjechał spod łukowatego sklepienia na ulicę.

55

— Stop — zakomenderował młodszy lejtnant. — Idzie.

Z bramy ozdobionej tabliczkami wyszedł Gienrich Osipowicz Busch. Bez pośpiechu zapalił papierosa i ruszył chodnikiem. Kiedy zniknął za rogiem, wolniutko pojechaliśmy jego śladem.

— Stoi na przystanku. Jeśli wsiądzie do „trójki”, to znaczy, że jedzie do domu. Zgadza się! Jazda, Misza! Róg Czernyszewskiego i Marksa.

## 5. CZY BUSCH KŁAMIE

Zatrzymaliśmy się na cichej zielonej uliczce. Wsiadłem i wszedłem w cień drzew. Zacząłem namiętnie studiować ogłoszenie komitetu blokowego o przyjęciach do kółka gitarzystów. Napisane było ręcznie („gitarzystów" przez „u") i wisiało na jednej pinezce. Gazik odjechał.

Gienrich Osipowicz wysiadł z tramwaju i czekał, aż odjedzie.

Zmniejszyłem odległość między nami. Wszedł na jezdnię. Dzieliły nas jakieś dwa kroki. Miałem gotowy plan, jak nawiązać rozmowę, ale przypadki- odgrywają w naszej pracy niebłahą rolę. Zza rogu na dużej szybkości wyskoczyła „Wołga". Zdażyłem pchnąć Buscha w plecy. Potem odskoczyłem sam i przewróciłem się. Przez moment kłębiliśmy się na chodniku, tworząc niewątpliwie malowniczą grupę — coś w rodzaju Laokoona i jego synów w walce z wężami.

Kiedy Busch zerwał się na nogi, po „Wołdze" nie było już śladu.

Potrząsnął wzniesionymi ku niebu rękami.

— Pirat przeklęty! Idiota nieszczęsny, a siada za kierownicą!

Lekko pobladł.

— Zdażył pan zauważyć numer?

— Nie! O to właśnie chodzi, że nie! Do końca życia będę panu...

Dziękuję! Proszę wstawać. — Wyciągnął do mnie rękę.

— Nie mogę, noga — rzuciłem zwięźle i jęknąłem.

Udało mi się z tą „Wołgą". Koniecznie chciałem trafić do jego domu.

Siedziałem na ziemi i postępując rozcierałem kolano. Potem spróbowałem wstać, ale natychmiast upadłem de tyłu.

— Do diabła, boli!

— Pokaż pan! — Gienrich Osipowicz przykucnął, podwinął m: nogawkę

spodni i dotknął bolącego miejsca.

Znów jęknąłem.

— Trzeba by do szpitala — powiedział ktoś.

Dokoła zebrał się już niewielki tłumek gapiów. Francik w nylonowej koszuli podbiegł do nas pierwszy i spojrzał pytająco na Buscha jako na głównego bohatera.

— Może sprowadzić samochód? Taksówkę?

Busch chwycił mnie pod pachy i uniósł. Poszło mu to łatwo, na oko wydawał się znacznie słabszy.

— Może pan chodzić? — spytał podtrzymując mnie.

— Och! — powiedziałem i zrobiłem niepewny kroczek. — Chyba tak!

— Proszę oprzeć się na mnie.

Gienrich Osipowicz omiótł gapiów' niechętnym spojrzeniem.

— No i co? To takie szalenie ciekawe, że człowiek upadł i stukł sobie nogę? ?— Przesuwał wzrok kolejno po wszystkich, ludzie zaczęli się rozchodzić Busch był znacznie bardziej przedsiębiorczy i energiczny niż pół godziny temu na przesłuchaniu. Tam potakiwał, cedził słówka i udawał głupiego Jasia. Kręcił? W jakim celu? Co prawda, ludzie na przesłuchaniu prawie zawsze usiłują udawać innych, niż są naprawdę... Psychologia, powiedziała by sam Busch.

Zwrócił się do mnie:

— Mieszkam dwa kroki stąd. O tutaj. Zaraz zrobimy zimny kompres na kolano. I odpocznie pan u mnie.

„Mam szczęście" — pomyślałem.

Stanęliśmy przy niziutkim, sięgającym pasa, kamiennym ogrodzeniu.

Gienrich Osipowicz wsunął dłoń między pręty metalowej furtki („Jak na

letnisku" — przemknęło mi przecz głowę) i otworzył ją. Wchodząc rzuciłem szybkie spojrzenie na numer: ul. Czernyszewskiego 8.

Szliśmy wysypaną piaskiem alejką; parę topoli, klomby, krzewy bzu. W głębi ślicznego ogródka stała piętrowa willa z pochyłym dachem, wieżyczką i kogucikiem. Na frontowej ścianie piął się powój usiany różowymi „gramofonikami". '

— Miły domek — pochwaliłem. — Dużo osób tu mieszka?

— Na parterze ja — wyjaśnił ochoczo — a na piętrze małżeństwo.

— Młode?

— Nie, w moim wieku.

— Zatem nie urządzają tańców do białego rana?

— Ależ skąd!

Kulałem gorliwie, mocno wspierając się o jego ramię.

— Coś takiego! — wykrzyknąłem. — Klomby obłożone cegłą. To pan tak dba o to wszystko?

— Ja —? potwierdził Gienrich Osipowdzc. — Lubię pogrzebać w ziemi.

Piątego Busch spędził cały ranek właśnie tutaj, na oczach sąsiadów, emerytów spod dziesiątego. Sprawdzono to jeszcze przed dzisiejszym przesłuchaniem. Nie mieliśmy żadnych powodów, by go podejrzewać.

Trafił w krąg dochodzenia wyłącznie dlatego, że był jedyny-m dobrym znajomym Iszczenki w tym mieście. Organizacja partyjna przy wytwórni mebli wystawiła mu opinię pijaka i kobieciarza, co samo w sobie nie było chwalebne, ale nie było również przestępstwem.

Weszliśmy do w'illi. Na górę prowadziły schody z rzeźbionymi poręczami

— Nie tędy, nie tędy — powiedział Busch. — Tam mieszkają moi sąsiedzi.

W przedpokoju na stoliczku pod lustrem (w którym zobaczyłem siebie i poczerwieniałego z upału i wysiłku Buscha) leżała damska torebka.

Prawdziwy krokodyl. O takiej właśnie

55

marzyła moja żona, ale dostać ją można było tylko w komisie, i to z trudem. Busch posadził mnie na krześle.

— Ale upał! — wystękał, ściągając koszulę z ciemnymi plamami potu pod pachami. — Chodźmy do łazienki. Nogę —? pod zimną wodę. I niech pan weźmie prysznic.

— Proszę się o mnie nie kłopotać — zaprotestowałem słabo. — Zaraz sobie pójdę. Niech tylko noga przestanie trochę boleć.

— Słuchaj pan! — z pewnym patosem oświadczył Gienrich Osipowicz. — Jestem poważnym człowiekiem. Uratował mnie pan spod samochodu i w ten sposób zaciągnąłem u pana dług. Teraz moja kolej wyświadczyć panu przysługę. Pan przyjezdny?

— Tak.

— Może trzeba panu w czymś pomóc? Proszę się nie krępować. Gdzie pan mieszka?

— Widzi pan... — zacząłem niezdecydowanie.

W tym momencie otworzyły się drzwi prowadzące prawdopodobnie w głąb mieszkania. Do przedpokoju ktoś wszedł. Mnie nie mógł dostrzec, ponieważ siedziałem ukryty za potężną szafą.

— Gienoczka! — rozległ się wesóły kobiecy głos. „Niezwykłe zdrobnienie imienia Gienrich" — pomyślałem.

— Nie słyszałam, kiedy wszedłeś. Spotkanko przebiegło na należyтым poziomie? Co interesowało naszego detektywa Si-parisa? Kiedy

przyleciałam, był wobec mnie taki uprzejmy...

Busch od dłuższej już chwili wymownie pokasływał.

— Oj, nie jesteś sam?

Teraz pewnie spostrzegła moją wyciągniętą nogę. Wyjrzałem zza szafy i usiłowałem wstać.

— Och, przepraszam, jestem nie ubrana?— powiedziała kokieteryjnie, nie ruszając się z miejsca.

Miała na sobie szlafroczek do kolan, haftowany w rajskie ptaki, a kolana okrągłe, ładne. Zgrabna. Starannie umalowane

55

oczy. Wyglądała na trzydziestkę (według dokumentów skończyła czterdzieści jeden), tylko na czole widniały dwie głębokie, jakby narysowane zmarszczki. Łarionow oglądając jej fotografię (zdjęcie znaleziono wśród rzeczy Iszczenki, natychmiast zrobiono odbitkę i przesłano do centrali) aż westchnął: „Ale szczerze Bozia obdarowała!”

Wdowa niezbyt przypominała osobę, która zalewa się rzewnymi łzami, jak twierdził Busch. A zatem kłamał. Czy to znaczy, że w pozostałych sprawach kłamał również? Po co jednak miałby kręcić, skoro cała ta sprawa go nie dotyczyła? Może jednak jest w nią zamieszany? A może boi się po prostu, żeby nie padło na niego podejrzenie — niby że znajomy, razem pili — i cała ta gierka to zwykła ostrożność? Tak na wszelki wypadek? A może ją chroni? „Ale mamy robótkę — rozmyślałem. — Na trzy zmiany, szkodliwa dla zdrowia i tak dalej. Dlaczego Buscha zainteresowała godzina popełnienia morderstwa? Czyżby tylko udawał?...” Jak zawsze sto tysięcy różnych „jak” i „dlaczego”.

Tymczasem Busch „rozkwitał”.

— Ten młody człowiek uratował mi przed chwilą życie — poinformował ją. — Dosłownie w ostatniej chwili wyciągnął mnie spod kół samochodu... Ach, nawet nie spytałem, jak pan ma na imię!

— Borys.

— A ja Gienrich Osipowicz. To zaś jest Kławdia Nikoła-jewna.

— Można po prostu mówić Kła-awa — przeciągnęła śpiewnie. — Zaraz się ubiorę i wycaluję pana za uratowanie naszego dziadunia.

Przez twarz Buscha przemknął grymas. „Hm” — pomyślałem.

?— Marsz do łazienki, Boria! Najwyższy czas podstawić kolano pod strumień zimnej wody. Uderzył się w nogę — wyjaśnił Kławdii Nikołajewnie, nie patrząc na nią.

— Przystojną ma pan żonę! — palnąłem niby mimo woli.

41

— M-m-m — wymamrotał Busch, jakby zabołały go zęby.

— Troszkę pan się pomylił — pogodnie i rzeczowo sprostowała Iszczenko. — Nie jesteśmy małżeństwem. Gienrich, przygotuję coś do jedzenia, na pewno obaj jesteście głodni.

— Ależ nie chciałbym sprawiać pani kłopotu! — wykrzyknąłem.

— Nie mą o czym mówić. W pańskim wieku trzeba dużo jeść. — I po ojcowsku objąwszy mnie ramieniem Busch skierował się do łazienki. — To wdowa po moim przyjacielu — szeptał w przedpokoju. — Wspaniała kobieta i z charakterem. Owdowiała parę dni temu, a trzyma się znakomicie. Na pozór wesoła jak ptaszek, niczego po niej nie znać.

„Zdaje się, że nie tylko na pozór” — pomyślałem wchodząc do łazienki.

Gienrich Osipowicz położył w poprzek wanny deskę. Potulnie zdjąłem spodnie i usiadłem na niej, spuściwszy nogi do wanny. Mój gospodarz

odkręcił kran. W tym momencie uniosłem wzrok i spostrzegłem sinawą plamę rozlaną na połowie sufitu.

— Ojej-! — powiedziałem. — Co tu takiego?

Gienrich Osipowicz gwałtownie zamrugał oczami i ledwie dostrzegalnie zasepił się.

— Sąsiad z góry zapomniał o odkręconym kranie i oto skutki

?— Ale zdaje się, że pan już malował?

— Znalazłem niedaleko stąd malarzy. Przyszli na fuchę. Zdrowo mnie oskubali, a plama znów wylazła.

— Widocznie kładli farbę za wcześnie. Sufit nic zdążył porządnie wyschnąć.

Dzisiaj rano malowali jeszcze raz.

— A kiedy to się stało? No, ten przeciek. Przygryzł wargi i popatrzył na mnie.

— Trzy dni temu Pełłem klomby w ogródku, potem zajrzałem do domu, patrzę, a tu istna powódź.

— Ta zimna woda świetnie mi robi! Po prostu znakomicie — stwierdziłem masując kolano.

„Kłamię czy nie kłamię” — zastanawiałem się.

## 6. WESOŁA WDÓWKA

W pokoju pachniały perfumy.

— Posiedźmy na razie tutaj, żeby nie przeszkadzać •— powiedział Busch.

— Ona tymczasem nakryje do stołu.

Ledwo weszliśmy, Gienrich Osipowicz zaczął gorączkowo chować damską bieliznę bezładnie rozrzuconą po całym pokoju. Starał się robić to niepostrzeżenie. Na ścianie wisiał obraz — dorodna naga piękność,

spowita w coś lekkiego i przezroczystego. Ślicznotka uśmiechała się dwuznacznie. Pod obrazem stało małżeńskie łóżko. Podpinka z koronkami, sterta zmiętych poduszek — widocznie kiedy przyszliśmy, Iszczenko jeszcze nie wstała. Na pościeli leżała czytana przez nią książka. Zajrzałem z ukosa i przeczytałem: „Ledwie ksiądz Casta-nede odszedł, uczniowie podzielili się na grupy — Julian nie należał do żadnej, zostawiono go jak parszywą owcę”. Całkiem niezłe! „Czerwone i czarne” Stendhala.

Busch usiadł na łóżku, założywszy nogę na nogę.

Przez uchylone drzwi widać było, jak Iszczenko — ubrana już w ciemną wydekoltowaną suknię — nakrywa do stołu. Robiła to wprawnie, niczym pani tego domu, raz tylko spytała: „Gienrich, gdzie masz majonez? Nie mogę go znaleźć” Postawiła na stole wyjętą z lodówki zapotniałą butelkę wódki. ..O rany — jęknąłem w duchu — ale mam pecha! Do wieczora jeszcze daleko, a już drugi raz proponują mi wypitkę”

W żadnym z pokoi nie spostrzegłem półek z książkami. Należało sądzić, że istnieje jeszcze jeden, ale pewnie był nie używany, inaczej Busch by mnie tu nie poprosił, a o tej bieliznie, biedak, zapomniał — pomyślałem. W kącie stał fikus w donicy, dokoła niego tkwiły w ziemi zaostrome patyczki.

55

J.2

— Po co to?

— Co?

— Ten częstokół — wskazałem palcem.

— Żeby kotek nie wchodził — wyjaśnił subtelnie. — Bo nauczył się, łajdak, tam włązić.

— Pan mieszka sam? — spytałem po chwili milczenia.

— Tak. Żona nie żyje. Dzieci poszły każde w swoją stronę.

— Dużo ma pan dzieci?

— Dwoje. Dwóch dorosłych synów. To już obcy ludzie. Szeleszcząc suknią weszła Iszczenko.

— Moim panom było tęskno?

— Bardzo!... Nawiasem mówiąc, to wspinała lektura — wskazałem Stendhala.

— A, „Czerwone i czarne”? Pan też to lubi?

— Tak.

— Czy pamięta pan, jak Julian przyszedł zabić panią de Renal? — ożywiła się nagle. — Wie pan, ten moment, kiedy stoi z pistoletem za jej plecami i myśli: „Nie, nie potrafię jej zabić!” Potem pani de Renal otuliła się szalem i przez to jakby stała się obca. Wówczas dopiero wystrzelił. Ach, jakie to jest psychologicznie prawdziwe! Już szósty raz czytam tę książkę.

— Tak, owszem — przytaknąłem. — To pańska książka? — spytałem Buscha.

— Ja czytam niewiele — odparł z przymusem. Nie był zadowolony, że tak szybko znaleźliśmy temat rozmowy, w której nie mógł uczestniczyć.

— To- ja przywiozłam — wyjaśniła Kławdia Nikołajewna.

„Dziwne! — zauważyłem w duchu. — Dostaje depeszę, która zawiadamia ją o tragicznej śmierci męża. Spokojnie pakuje te swoje szlafroczi, torebki i w dodatku zabiera jeszcze lekturę. Można by pomyśleć, że z góry wiedziała, co się zdarzy, i była na to przygotowana”.

— No, ruszamy grzecznie do stołu — zaprosiła Iszczenko. — Wszystko już gotowe.

— Niech pan nie nadweręża nogi, proszę się oprzeć — zaoferował mi ramię Busch.

Przeszliśmy do sąsiedniego pokoju.

Stół prezentował się okazale. Przekrojone jajka na twardo ozdobione były zieloną pietruszką, w salaterce — duszone kabaczki, na środku widniała ciężka porcelanowa misa z sałatką. Zauważyłem, że porcelana była stara.

Nie zapomniano również o śledziku obłożonym krążkami cebuli, obok ser, wędliny, na półmisku leżała jakaś ryba w brązowym musztardowym sosie, w której rozpoznałem marynowaną minogę, prawdziwy rarytas nawet na bałtyckim wybrzeżu. Wszystko to razem przypominało martwą naturę dawnych mistrzów. „Ciekawe, ile Busch zarabia” — pomyślałem. Noże i widelce wspierały się parami o specjalne szklane podstawki, które odbijały światło zawieszzonego pod sufitem żyrandola. Palił się, choć było jeszcze widno. Nie zabrakło nawet papierowych serwetek w wysokiej szklance.

— Ejże! — wykrzyknąłem. — Pani urządziła prawdziwą ucztę! Jestem po prostu zażenowany.

Iszczenko uśmiechnęła się w podzięcie. Gospodarz cmoknął ją w policzek.

„Wzięła go pod pantofel w ciągu niespełna trzech dni — skonstatowałem w myśli. — Nie musiało to być chyba trudne”.

— Czym chata bogata, tym rada. Proszę siadać. — Busch energicznie zatarł dłonie. — Nalać panu?

— Nie piję — odparłem.

— Jak to?

— W ogóle nie piję. ?— Ani kropelki?

— Trener mi nie pozwala. Jeśli można, poproszę o sok pc\$[ midorowy.

— Szkoda — powiedziała Iszczenko

— Za pański dzisiejszy bohaterski wyczyn — wzniosł toast Busch.

45

— Który doprowadził do tak uroczej znajomości! — podchwyciła Iszczenko.

Milczałem skromnie, wstając tylko na chwilę, aby się trącić kieliszkiem. Busch wypił. Kławdia Nikołajewna też. Trzymając kieliszek odstawiała mały palec.

— Oj, jak dobrze! — sapnął Busch. — To najlepsze lekarstwo na wszystkie kłopoty.

— Na zdrowie! — powiedziałem. — Niech leczy. Choć lepiej, żeby nie było czego leczyć.

— Pan jest młody. Wszystko jeszcze przed panem.

— Niewątpliwie. Ale właściwie co jest przede mną?

— Różne rzeczy. — Milczał chwilę, robiąc nieokreślony gest ? dłonią. — Słowem, samo życie.

— Życie jest wspaniałe i zadziwiające, jak twierdzą klasycy! — zawołałem z emfazą, krzywiąc się wewnętrznie. — Niech pan czyta klasyków!

Westchnął, nalał znowu. I znowu Iszczenko z nim wypić. Szło jej tak gładko, że nawet Busch z irytacją zacisnął wargi.

— Sie nehmen eine Festung nach der anderen, jak powiadają Niemcy — wtrąciłem uprzejmie.

Oczywiście naiwnością byłoby sadzić, że Centaur będzie obnosił się demonstracyjnie ze swoją znajomością niemieckiego, ale na wszelki wypadek wstawiałem niemieckie zdanka, gdzie się dało. Centaur znał

doskonale niemiecki. Ja również. Była to jedna z przyczyn, dla których wybór padł na mnie, a nie na Łarionowa; on lepiej znał angielski.

— Co to znaczy? — zainteresował się Busch. Przetłumaczyłem.

Nie zna pan niemieckiego?

— Niby skąd? Nie skończyłem politechniki. Jestem inżynierem samoukiem — wyjaśnił ze smutkiem.

Zrobiło mi się przykro. Zadawałem temu, niemłodemu -już mężczyźnie podchwytliwe pytania i oszukiwałem go, że strasznie mnie boli noga, która w rzeczywistości zaledwie szczypała. Ostatecznie Busch z tą całą sprawą mógł nie mieć

55

nic wspólnego. „Precz z emocjami! — nakazałem sobie stanowczo. — Będę zachwycony, jeśli nie on jest mordercą”. A taka możliwość istnieje i dlatego właśnie tu jestem. Dlaczego Busch tak dziwnie zachowywał się podczas przesłuchania?

— Mój zmarły mąż mówił po niemiecku jak rodowity Niemiec — wtrąciła Kławdia Iszczenko. ?— Kiedy przyjechała do nas delegacja z NRF, był jej tłumaczem.

— Skąd tak dobrze znał ten język?

— Po prostu przed wojną mieszkał tu, nad Bałtykiem. ?— W tym mieście?! — wykrzyknąłem.

— Tak. Zresztą w innych miejscowościach także.

— Gdzie? Wypytuję, bo jestem zachwycony wybrzeżem.

— Nic spowiadał mi się szczegółowo — niezbyt grzecznie odparła Kławdia Nikołajewna. Zabrzmiało to bardzo szczerze.

— Pani go nie kochała? — spytałem nagle. Wyraźnie działał już na nią

alkohol.

— Był tchórzliwy jak zając, skąpy i nudny. Przez całe życie, a w każdym razie przez tę część życia, którą spędziliśmy razem, nieustannie czegoś się bał.

— Dziwne! Czego?

— Nie wiem. — Postarzała się nagle i teraz wyglądała na swoją czterdziestkę. — Mnie bał się także. W ogóle zostawm« go w spokoju! Wysłałam za niego mając dwadzieścia dwa lata, on miał wtedy czterdzieści.

?— Wyszła pani za rnaż z miłości? — spytałem pospiesznie.

— Wówczas wydawał mi się prawdziwym mężczyzną. Busch milczał, mrugał nerwowo i markotniał. Ciekawe, jak bardzo różniła się charakterystyka Tarasa Michaj łowić—ł Iszczenki w relacji przesłuchiwanego Buscha od tego, co mówiła Kławdia Nikołajewna!

— Pan dobrze zna niemiecki? Uczył się pan? — niezbyt zręcznie zmienił temat Busch.

— Teraz też się uczę, na politechnice — wyjaśniłem.

— Kim pan jest z zawodu?

— Kim będę? Inżynierem-energetykiem.

47

Do naszego wydziału przyszedłem ze skierowaniem Komso-rnołu właśnie z politechniki. Pamiętałem o ojcu nieustannie, słe o szczegółach jego śmierci dowiedziałem się dopiero na czwartym roku. Popiół Klasa gorzał na mojej pierś? Nie, po prostu uważałem, że w walkę z faszyzmem, w której uczestniczył mój ojciec, powinienem wnieść także własny wkład.

— Przyjechał pan tu na wakacje?

— Niezupełnie. Korzystając z wakacji chciałbym popracować jako marynarz. Potrzebuję pieniędzy, bo samo stypen-dium to za mało, no i warto by się trochę ubrać... Wie pan, jak to jest. Czasem trzeba zaprosić dziewczynę do kina... Ale

Jyszałem, że wcale nie łatwo dostać się do pracy.

— Z tym nie ma specjalnych kłopotów. Gorzej, że trzeba długo czekać na pozwolenie wypłynięcia.

— Otóż to!

— Potrzebuje pan pieniędzy? — po chwili namysłu zapytał Busch.

— Tak. I to bardzo!

— Wobec tego idziemy! — Wstał od stołu. — Ach, zapomniałem o

pańskiej nodze... Słuchaj pan, mój sąsiad z góry — wskazał palcem sufit

— nazywa się Surkin. Pracuje w zarządzie połowów dalekomorskich. To i owo może pomóc. Zaraz do niego pójde.

I zniknął za drzwiami, zapalając po drodze jeszcze jedną lampę, która stała na stoliczku.

— Przecież jest zupełnie widno! — zauważyłem.

— Niech się pali — powiedziała Kławdia Nikołajewna, przysuwając bliżej swoje krzeło. — Karik, jakie masz śliczne dołki na policzkach! Coś uroczonego.

— Mam na imię Boria.

— Ach, przepraszam pana, jeden z moich nowosybirskich znajomych nosi imię Karik i wyrwało mi się z przyzwyczajenia.

„Trzeba sprawdzić, co to za ptaszek” — zanotowałem w pamięci

— Z tymi jasnymi włosami i smukłą figurą przypominasz Skandynawa.  
.— Mieszkam w Moskwie — odpowiedziałem niezbyt do-rzecznie, odsuwając się z krzesłem, ponieważ bynajmniej nie zależało mi, żeby Busch, który lada chwila mógł wrócić, patrzył na mnie krzywo. A jednocześnie nie chciałem narazić się Kławdii Nikołajewnie. „Wesoła sytuacja!” — pomyślałem.

Kiedy planowaliśmy tę operację, przewidywaliśmy, że będę miał do czynienia zarówno z przyjezdnymi, jak i mieszkańcami miasta, a zatem student powinien być przyjezdny, i to właśnie z Moskwy, ponieważ moskiewscy studenci są towarzyscy i zaradni — to po pierwsze. Po drugie, mieszkańcy stolicy cieszą się pewnymi względami, co ułatwia nawiązywanie znajomości.

— Ach, Moskwa! — powiedziała Kławdia Nikołajewna przewracając oczami. — Teatry, koncerty! Jak ja marzyłam o życiu w stolicy!

— Nie zrealizowała pani tych marzeń?

— Wszystko przez tego mojego Iszczenkę! Szukał cichego ustronia, mówił, że w Moskwie za bardzo jest się na oczach ludzi. I czego on się bał?... Ale nie szkodzi! Teraz jestem wolna jak ptak. Mogę lecieć, dokąd zechcę! A może jestem już za stara? — spytała z wyzwaniem w głosie.

— Wygląda pani ślicznie — powiedziałem.

— Naprawdę fajny z ciebie chłopak. Wiesz co, wypijmy bruderszaft.

— Wypijemy, kiedy wróci Gienrich Osipowicz. Pamięta pani, jak w jakimś opowiadaniu ktoś sobie podpił i zaczął okrywać się rowerem zamiast kołdrą? Prawda, że to zabawne? Lubi pani czytać?

— Ubóstwiam! Powiem panu w tajemnicy, że w dzieciństwie chciałam zostać pisarką.

— A kim została pani naprawdę?

— Kim? Służącą męża! — odparła z goryczą.

Znowu wyraźnie zaznaczyły się na jej czole zmarszczki —

4 — Kastet...

49

ślad dziewiętnastoletniego pożycia z Tarasem Michajłowiczem Iszezenką.

I znowu przysunęła bliżej swoje krzesło. „Toż to prawdziwy atak! —

pomyślałem, odsuwając się niepostrzeżenie. — Całkiem jak w kiepskiej komedii. Bądź niezłomny, studencie Waraksin! Kiedy też ona zdążyła tak się ululać, pardon za wyrażenie". Otaczał ją delikatny zapach perfum.

— Chanel?

— Co?

— Pani używa perfum Chanela?

— Ach, o to panu chodzi! Tak, dostałam flakonik po znajomości. Lubię szykowne rzeczy!

— To drogie perfumy — zauważyłem.

— Nieważne! Wypijemy?

— Poczekajmy jednak na Gienricha Osipowicza.

— Ach, to tak? — powiedziała kapryśnie. ?— Męska solidarność?

Wstała, podeszła do radia, zaczęła kręcić gałką. Wszedł Busch, obrzucił szybkim spojrzeniem najpierw mnie, potem ją i oświadczył:

— Dziwna historia! Nikogo u nich nie ma. Wprawdzie Surkinowa pojechała do krewnych na Smoleńszczyznę, ale on? Czyżby nie wrócił jeszcze z pracy? Już szósta, o tej porze zwykle bywa w domu. Dziwna historia! ?— powtórzył.

— Szósta? — wtrąciłem. — To na mnie już czas. Proszę wybaczyć, że

opuszczam państwa. Było mi bardzo przyjemnie.

Wstałem. Zależało mi, by zastać moich współlokatorów w hotelu, póki nie znikną gdzieś na cały wieczór.

— Nie ma mowy! — Busch gwałtownie zamachał rękami. — Posiedzimy sobie jeszcze! Wypijemy! Ach, prawda, pan nie pije. Kławoczka, jakże to tak, nasz gość się nudzi.

— Gienrichu Osipowiczu — zniżyłem głos — trudno mi tłumaczyć, mam randkę, rozumie pan, poznałem tu pewną dziewczynę...

Busch przyjrzał mi się uważnie. Zrobiłem minę, która miała świadczyć o mojej wspaniałej karierze podrywacza. Odniosłem wrażenie, że był jawnie zadowolony.

— Ach tak! Wobec tego wycofuję moje protesty. Natomiast z Surkinem na pewno porozmawiam, i to jeszcze dzisiaj. Jutro niech pan wpadnie do niego do pracy. Tu jest adres. — Zanotował coś na skrawku papieru. — Ale, ale, jakże pan z tą bolącą nogą pójdzie na randkę?

Zupełnie o tym zapomniałem. Pewnie będę "musiał cały wieczór kuśtykać, bo a nuż natknę się gdzieś na Buscha? Chociaż wątpliwe, by zdołał wyrwać się dziś z domu...

— Chyba jest trochę lepiej. — Ziobiłem kilka kroków na próbę. — O, widzi pan?

— Znakomicie • — pochwalił Busch. — Jest pan przecież sportowcem, Boria. Chodźmy, odprowadzę pana.

— Wszystkiego najlepszego — pożegnałem Kławdię Nikoła-jewnę.

— Wzajemnie — odparła chłodno.

Busch otworzył drzwi i przepuścił mnie przodem. Zatrzymaliśmy się w przedpokoju, nie tym matym, gdzie stało lustro, lecz tym ze schodami

— Słuchaj pan — powiedział Gienrich Osipowicz, kręcąc guzik przy mojej koszuli — jeśli potrzebuje pan pieniędzy, to ja chętnie służę. Jestem panu bardzo, bardzo wdzięczny..

Przypadkowo spojrzałem w górę. Na piętrze, tam gdzie drewniane schody kończyły się czymś w rodzaju balkonika, spostrzegłem uchylone drzwi. Ktoś mnie stamtąd obserwował.

Szybko opuściłem wzrok i wylewnie zwróciłem się do Buscha:

— Oczywiście! Serdecznie dziękuję! Ale na razie jeszcze mam pieniądze.

— Poza tym, niech pan nie traci ze mną kontaktu, samotność w obcym mieście nie jest przyjemna. Zatrzymał się pan w hotelu?

— Tak.

— W którym pokoju?

55

— Trzysta piątym

— Co za zbieg okoliczności! ?— Busch obejrzał mnie uważnie, zamrugał.

— Jaki?

— Nic szczególnego... Niech pan zagląda do mnie jak najczęściej.

Zaprosiłbym pana do siebie, ale... — zachichotał. — Zresztą jestem już stary, co to za towarzystwo dla pana... Ale może Kławoczka pana rozerwie? Koniecznie proszę przyjść!

„Zdaje się, że trafił w sedno — przemknęło mi przez głowę. — Ta Kławoczka ma szaloną ochotę kogoś rozerwać i zapewne długo nie popasie u Buscha”.

— Kławdia Nikołajewna nie zamierza na razie wracać do domu?

— Nie. Chce jakoś zebrać siły, poleżeć na plaży. Ona to bardzo przeżywa, naprawdę.

„Po co kłamię? — pomyślałem. — Może po prostu jest zażenowany jej zachowaniem?”

— Jeszcze raz dziękuję. Wpadnę na pewno.

Przelotnie spojrzałem na schody. Nikogo już tam nie było. Dziwnego ma Busch sąsiada! Dlaczego się ukrywa? „Ciekawe, gdzie Surkin był w momencie morderstwa?” — zadałem sobie pytanie.

## 7. DELEGOWANY Z SARATOWA

Wszedłem do pokoju hotelowego znacznie mniej rześki niż rano. Byłem zmęczony. Upał jeszcze nie zelżał, ale nad miasto nadciągała ciemna, postrzępiona chmura. Za chwilę mógł lunąć deszcz — pogoda nad Bałtykiem zawsze zmienia się nagle. „Pięć kilometrów stąd na pewno już leje” — pomyślałem.

Miałem szczęście — moi współlokatorzy byli w pokoju. Wojtyn ubijał pędzlem pianę, zamierzał się golić.

— Wraca pan do cywilizacji — skonstatowałem.

Bierz ze mnie przykład, studencie — odparował Wojtyn. — Ucz się, albowiem nauka jest pokarmem młodości.

Firanki, które rankiem unosił przeciąg, były teraz rozsunięte i przywiązane tasiemkami do gwoździ wbitych w ramę okna. Zajmowanie się takimi głupstwami nie leżało w charakterze rybaka. Prawdopodobnie zrobił to ten drugi, który teraz przewieszony przez parapet wyglądał na ulicę.

Podszedłem do niego, też popatrzyłem chwilę i zagadnąłem:

— Chyba będzie burza.

Mężczyzna wyprostował się. Był średniego wzrostu, starannie ubrany, włosy miał pedantycznie przygładzone i chyba posmarowane brylantyną, na nosie — okulary. Odbijało się w nich pochmurne niebo, i dlatego nie

widziałem jego oczu. Odpowiedział półgłosem:

— Bardzo możliwe. Przedstawił się z lekkim ukłonem:

— Puchalski, Nikołaj Gawriłowicz.

Był czwartą osobą spośród tych, które na razie mnie interesowały.

— Ich griisse Sie in diesem schonen Haus. Ich heisse Boris Waraksin — powiedziałem żartobliwie, tym razem bez intencji. Wątpliwe, by mógł mieć coś wspólnego z wydarzeniami czterdziestego czwartego roku. Miał wówczas zaledwie dziewiętnaście lat.

— Sehr angenehm, Herr Waraksin — odparł.

— Verzeihen Sie, dass ich... deutsch spreche. Das ist nur ein Versuch... Im nachsten Jahr habe ich Staatspriifung und möchte mehr Praktik haben.

— Praktik — das ist das wichtigste fur die Sprachbeherrschung.

— Ależ pan ma akcent, pozazdrościć można — powiedziałem po chwili milczenia. — Autentyczny dialekt berliński!

— Odbywałem po wojnie służbę wojskową w Berlinie — wyjaśnił jak uprzednio półgłosem.

— Był pan na wojnie?

55

— Pod sam koniec

— Pewnie kończył pan szkołę oficerską? — niby -to próbowałem zgadnąć.

— Nie, do czterdziestego 'czwartego znajdowałem się na terenach okupowanych.

Dobrze o tym wiedzieliśmy z jego ankiety, którą ściągnięto z Saratowa.

Do wojska został zmobilizowany w Karpatach (nawiasem mówiąc, stamtąd właśnie pochodził Taras Michaj-łowicz), a co robił przedtem,

obecnie ustalano. Dręczyło mnie parę pytań, które chętnie zadałbym moim współlokatorom. Na przykład, w jaki sposób w kieszeni zabitego znalazła się czarna wieża? To mi nie dawało spokoju. Jeden z nich musiał znać odpowiedź. Trudność naszej pracy polega na tym, że pytania wprost nie mają sensu tak długo, jak długo o nich nie jest wykryty. Zadawane przedwcześnie najczęściej przynoszą szkodę. Na razie nie wiadomo było, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Musiałem więc poruszać się po omacku.

— Walczył pan zapewne w partyzantce? — spytałem z szacunkiem.

— Nic.

— Był pan na to za młody?

— Nie.

Uparcie domagałem się jasnej odpowiedzi. Puchalski odparł! wreszcie, że jestem dziwnym człowiekiem i że gdybym znał Niemców („a miał pan pod tym względem szczęście, rodzą się dostatecznie późno”), nie zadawałbym takich pytań. Różniel to bywało i bynajmniej nie wszyscy uczestniczyli w walce. Po czym odkaszlnął w kułak.

— Mówiąc po prostu, stchórzył pan! — rzuciłem wyzywająco.

Chciałem sprowokować sprzeczkę, bo w niej nie tylko, jak powiadają, rodzi się prawda, lecz także rozmówca ukazuje swą twarz. Poza tym sądziłem, że łagodnemu Puchalskiemu! na zasadzie kontrastu, podobają się ludzie brutalni i szorstcy, a zależało mi na tym, by mu się podobać.

55

Ale on nie protestował jakby przyznawał mi rację.

— Być może. Wcielili mnie, na przykład, siłą do policji, odsłużyłem kilka miesięcy, a potem uciekłem.

\_ Dokąd?

— Do innego rejonu.

— Trzeba było raczej uciec do partyzantki! — obstawałem przy swoim.

— Pewnie, trzeba było.

Wojtyn milczał, choć spodziewałem się, że weźmie w tej rozmowie udział.

W skupieniu przesuwał brzytwę po twarzy, nie odrywając oczu od lusterka. W pokoju było jeszcze widno, ale golenie wymagało jednak więcej światła. Bez słowa przeszedł przez cały pokój i przekreślił kontakt. W czarnym plastikowym radiodbiorniku, który coś tam przez cały czas mamrotał, rozległ się krótki suchy trzask.

— A pan by uciekł? — nieoczekiwanie zwrócił się do mnie Puchalski.

— Dokąd?

— Do lasu, do partyzantki? Zastanowiłem się chwilę.

— Tak. Chociaż... — "urwałem jeszcze na moment — właściwie ma pan rację. Sądzę, że wtedy wszystko było bardziej skomplikowane, niż wydaje się to dzisiaj.

— Ano właśnie — wciąż półgłosem mówił Puchalski.

Nagle zacząłem podejrzewać, że nie jest taki potulny i łagodny, jak można by na pozór sądzić. Przeciwnie to człowiek twardy i bezwzględny. Wyjął grzebyk i przyczesał włosy, choć zabieg ten był całkowicie zbyteczny. Zrobił to pewnie odruchowo, wyglądał na kogoś, kto bardzo dba o powierzchowność.

Radio zachrypiało i ciepły głos zaczął śpiewać „Sieriożkę z Małej Brcnej”

Puchalski pokręcił gałkę, żeby lepiej słyszeć.

— Śliczna piosenka!

Lubiłem ją też, ale nie chcąc wypaść z roli, burknąłem:

55

— Głupi sentymentalizm!

— Gorzej ei, studencie? — rzucił Wojtyn, na moment odrywając oczy od lustra i stukając się palcem w czoło.

Puchalski wziął mnie w obronę.

— Ostatecznie nic w tym dziwnego. Piosenka nie musi podobać się wszystkim.

Wojtyn milcząc wzruszył ramionami. Puchalski wrócił do naszej rozmowy:

— Byłem wtedy chłopcem bardzo niezrównoważonym, słabym fizycznie i zakompleksionym, jak powiadają na Zachodzie.

— Ale z wiekiem to mija — natarłem znowu.

— Zależy jak komu.

— Według Freuda każdy cierpi na różne kompleksy.

— Nie czytałem Freuda, słyszałem tylko o jego pracach.

— Co pan słyszał?

Wojtyn skończył golenie i zbierał przybory, żeby umyć je w łazience.

Przedtem chyba jednak bał się zaciąć, bo naglel włączył się do rozmowy;

— Powinieneś pracować w milicji, studencie!

— Bo co?

— Bez przerwy zadajesz pytania.

Puchalski przyjrzał mi się uważnie i powiedział:

— Dlaczego obraża pan naszego towarzysza?

— A cóż w tym obraźliwego? — zdumiałem się. — Moja milicja troszczy się o mnie, jak pisał Majakowski. Jeden] z moich moskiewskich kumpli

pracuje u nich, fantastyczny! chłopak. Czyżby uważał pan tę pracę za coś hańbiącego?

— Ależ skąd? Frzeciwnie, sądziłem, że pana może to dotknąć. To znaczy, nie sądziłem, ale przecież mogło tak być — zaplątał się Puchalski.

— Nie! — oświadczyłem kategorycznie

— To doskonale. Wie pan, przed pańskim przyjściem podzi-i wiałem z okna miasto. Wprawdzie to zaledwie drugie piętro,

55

ale hotel stoi na skarpie i dzięki temu mamy taki piękny widok.

— Pan jest tu po raz pierwszy?

— Nie ?— odparł Puchalski. — Jak nazywa się rzeka, która przepływa przez miasto, o tam?

Nie wiedziałem. Wojtyn rzucił nazwę i wyszedł. Ręcznik zawiesił na wyprostowanym wskazującym palcu, żeby nie pobrudzić go pianą.

— Nasz współlokator doskonale zna miasto — zauważył Puchalski.

— Mieszkał tu kiedyś.

— A potem?

— Niczego panu nie opowiadał?

— Nie.

— Przeżył wielką tragedię, do tej pory nie może sobie z nią poradzić — i dodałem patrząc Puchalskiemu prosto w oczy: — Jakiś drań wydał w czasie wojny jego żonę gestapowcom. Była łączniczką partyzantów.

— Coś podobnego!

Zdjął okulary w złotej oprawie. Teraz wydawał się już zupełnie bezradny i zagubiony. Był krótkowidzem. Wyjął z kieszeni starannie wyprasowaną chusteczkę, pochuchał na okulary i zaczął przecierać.

— Jak ona się nazywała?

— Krugłowa. — Teraz i ja z kolei byłem zdumiony. — Czyżby pan ją znał?

?— Skądże! Po prostu parę dni temu opowiadano mi o zagładzie tutejszego podziemia i pokazano miejsce, gdzie stał domek Krugłowej. Niemcy go spalili, obecnie urządzono tam skwer.

— Gdzie to jest?

— Nie wiem, jak się ta ulica nazywa, ale potrafiłbym ją znaleźć. Byłem, z wizytą u inżyniera tutejszej wytwórni mebli — pracuję w tej gałęzi przemysłu i przyjechałem do nich służbowo — staliśmy z nim przy oknie i wtedy właśnie opo-

57

..-iodział mi tę historię. Towarzyszył nam pewien starszy pan, niejaki Iszczenko, ale za nic nie chciał słuchać. Powiedział, że nie znosi takich okropności. Zabawny człowiek! Nawiasem mówiąc, zajmował pańskie łóżko. Trzy dni temu jacyś chuligani zatłukli go na śmierć.

„Jeszcze jedna wersja” — zanotowałem w pamięci.

— Chuligani? Jacy? Złapano ich?

— Nie wiem... Ten Iszczenko to nieszkodliwy facet. Lubił anegdotki i preferansa. Nie pił.

„Aha! — pomyślałem. — Zatem z Puchalskim też nie chciał pić”

Wzdrygnąłem się.

— Niebezpiecznie wychodzić tu wieczorem na ulicę?

— Zabito go w biały dzień. Dostał czymś w głowę.

— Może upadł i uderzył się?

— Nie, został zamordowany.

— Zdawałoby się, że to takie spokojne miasteczko! —• powiedziałem. — Zabytki, wąskie uliczki i w ogóle...

— Niech pan nigdy nie ufa pozorom. — Puchalski włożył czyste już okulary i schował chusteczkę do kieszeni. Uśmiechnął się. — Jest pan jeszcze bardzo młody, Boria. pozwoli pan, że tak będę pana nazywać. Nie ma pan życiowego doświadczenia.

— Co prawda, to prawda!

— Niech pan się nie obraża. To akurat ta w-ada, która z wiekiem znika sama. Przepraszam, pan pali?

— Palę. Ale... — obmaciałem swoje kieszenie — na bieżącym etapie na nic się panu nie zdam.

— Szkoda. Taką mam ochotę na papierosa, a zapomniałem kupić. Trzeba będzie zejść do budki.

— Pójdziemy za chwilę razem. A co ten inżynier opowiadał o podziemiu?

— Kto? A, Busch! „Pięknie!” — pomyślałem.

— Sam właściwie niczego dokładnie nie wiedział. Powiada,

"8

że osiedlił się tu w czterdziestym ósmym i całą tę historię opowiedział mu sąsiad, który mieszka piętro wyżej.

„Wszystko wskazuje na to, że bez Surkina się nie obejdzie” — zauważyłem w duchu.

— Czy ten sąsiad był w partyzantce?

— Nie wiem. To jakiś dziwak. Kiedy z Iszczenką wychodziliśmy od Buscha, siedział spokojnie na ławeczce i palił. Gdy nas spostrzegł, odrzucił gwałtownie papierosa, złapał się za policzek i pokazał nam plecy. Odeszliśmy jakieś dwadzieścia kroków, obejrzałem się — sąsiad Buscha

obserwował nas niesłuchanie uważnie i już nie zasłaniał twarzy.

— Może był zawiany?

— Na mnie zrobił wrażenie niespełna rozumu..

— No, to nie wykluczone, że siedzi już u czubków. Dawno pan go widział? — rzuciłem obojętnie.

Puchalski zatopił wzrok w suficie.

— Drugiego.

„Iszczenko zobaczył Surkina drugiego czerwca — rozmyślałem. — Trzeciego z kimś się spotkał. Piątego został zamordowany. Łącuszek? Możliwe. Jeśli oczywiście Busch nie wymyślił z nie znanych nam przyczyn owego spotkania z trzeciego czerwca”

W tym momencie wszedł Wojtyn. Był starannie ogolony, dzięki czemu wydawał się młodszy. Rozwiesił pieczółowicie ręcznik na poręczy łóżka, potem zwilżył dłoń wodą kolońską — w pokoju rozszedł się drażniący zapach — i zaciskając powieki, natarł nią twarz. Ciekawe, dokąd tak się wybierał? Sądziłem, że pod wieczór będzie pijany jak bela.

— Idzie pan na tańce? — spytałem.

— Tak będę tańczył hopaka solo.

„Ciekawe — kontynuowałem rozważania — do czego potrzebny był mu rano autobus?”

— Naprawdę?

— Naprawdę, naprawdę, a gdzież ta prawda jest? —• odburknął. — Dość mam wylegiwania się tutaj i słuchania po

55

leczek przez radio! Pójdę do knajpy, przynajmniej posiedzę między ludźmi. Chodźcie, ja stawiam.

— Dziękuję, ale umówiłem się z dziewczyną.

— A pan? — zwrócił się do Puchalskiego.

— Ja przecież nie piję, wie pan o tym.

„Ale ja nie wiedziałem” — zauważyłem w duchu. Puchalski mówił dalej:

— Grzech w taki wieczór siedzieć w czterech ścianach. Upału już nie ma, świetna pogoda na spacer.

— Chmury się zbierają — zauważył Wojtyn.

— To zdrowo, bo w powietrzu jest dużo jonów. Nieoczekiwanie wyobraziłem sobie Puchalskiego jako malca z tornistrem na plecach. Na pewno w szkole przezywali go „Puch”. W każdym razie pasowałoby to do niego. „Hej, Puch, chodź pograć z nami w nożną”. „Mama mi nie pozwala”.

— Może pan ma papierosy? — zagadnąłem Wojtyna.

— Pytałem już — wtrącił Puch.

— Ani jednego — oświadczył Wojtyn.

— A nuż zabłąkały się w nocnym stoliku nieboszczyka?

— On nie palił

— Szkoda! Swoją drogą co za zbieg okoliczności, że wszystkim jednocześnie skończyły się papierosy! Trzeba zejść do kiosku.

— Na mnie nie czekajcie — zakomunikował Wojtyn — będę jeszcze prasował spodnie.

— Wobec tego kupimy i dla pana. — Załatwię to sam, wychodząc.

— Idziemy, Nikołaju Gawriłowiczu?

— Tak, tak, zaraz.

— Jeśli zamierza pan iść na spacer, proszę wziąć marynarkę. Pogoda jest jakaś niewyraźna, lada chwila może lunąć — doradziłem.

Nieoczekiwanie zmieszał się. Albo mi się zdawało?

— Nie, pójdę w koszuli.

— Właśnie, co się stało z pańską marynarką? — spytał

55

Wojtyn. — Dawniej wkładał ją pan co wieczór, a ostatnio jakoś jej nie widzę.

— Gdzieś ją posiałem.

— Co to znaczy: „gdzieś”?

— Chyba na plaży.

„Dziwne — roztrząsałem. — Marynarka to nie byle co, a facet nawet nie pobiadolił nad stratą. Posiałem ją — i koniec”. Pamięć podsunęła mi nagło, że na pośmiertnym zdjęciu Iszczenko był w marynarce. Za dnia, podczas największego skwaru?

— Pogoda tu na ogół dopisuje? — rzuciłem pytanie.

— Straszliwe upały! Chyba po raz pierwszy od dziesięciu dni zanoszą się na deszcz — odparł pośpiesznie Puch. Odniosłem wrażenie, że westchnął z ulgą, uradowany zmianą tematu. — Idziemy?

— Życzę panu miłego wieczoru — pożegnałem Wojtyna. Nie odpowiedział.

Minęliśmy korytarz i ruszyliśmy schodami. Nikołaj Gawriłowicz szedł pierwszy. Na jednym stopniu brakowało pręta przytrzymującego chodnik, i Puch o mało nie upadł. Zdażyłem przytrzymać go za rękę powyżej łokcia. Miał na sobie starannie zapiętą, nieco za obszerną koszulę, która maskowała jego figurę. Zaskoczony poczułem pod palcami mięśnie tak twarde, niczym u zawodowego boksera. Przypomniałem sobie charakterystykę Centaura: „Doskonale zna niemiecki, silny fizycznie, lubi

wypić..." Nie, ten nie lubił. Powiedziałem:

— Ależ pan ma mięśnie, godne mistrza sportu!

— Bo uprawiam gimnastykę?—, jak zawsze półgłosem oświadczył Puch (nie, jednak raczej Puchalski!). — Mam nie najlepsze zdrowie i staram się je wzmocnić. W dodatku nadwreżyłem je grzesznym nałogiem.

— Nie rozumiem...

— W pańskim wieku lubiłem zaglądać do kieliszka — powiedział z przechwałą w głosie. — Piłem wtedy jak smok!

61

## 8. JAKIE KTO LUBI PAPIEROSY

Kiosk przy wejściu do hotelu był jeszcze otwarty. Staruszka w okienku — okulary na nosie, zaciśnięte wargi — przeliczała drobne.

— Poproszę panią o dwie paczki „Trezora” — powiedział Puchalski, pochylając się. — To najsmaczniejsze i najmniej szkodliwe papierosy!

— Dla mnie „Dzebl”. Również dwie paczki.

— Pan też woli bułgarskie? Nasz rybak pali wyłącznie „Bielomory”. Nie lubię papierosów z ustnikiem, bo nieustannie gasną.

Odruchowo spojrzałem na witrynę, gdzie wśród innych wystawionych papierosów leżały „Bielomory”.

— Proszę pani, „Bielomory” pewnie rzadko bywają?

— Nie, są prawie zawsze... Chyba już z miesiąc nie było przerwy w dostawach.

— Nasz współlokator ma szczęście — zauważyłem.

W tym czasie kiedy zamordowano Iszczenkę, Wojtyn wychodził po papierosy. Zgodnie z zeznaniem dyżurnej nie było go dwadzieścia minut.

Na zejście do kiosku i powrót na drugie piętro potrzeba najwyżej trzech

minut. Może odbył jeszcze krótki spacer? Nie, przecież podczas przesłuchania oświadczył kategorycznie, że wyszedł jedynie po papierosy. Kiedy trzeba podać alibi z dokładnością do paru minut, wylicza się szczegółowo wszystko. Może kiosk przed hotelem był zamknięty i Wojtyn szukał innego?

— Nad czym pan tak się zamyślił?

— Słucham? Wspominam pewną zabawną anegdotkę.

— Chętnie ją usłyszę

Zapaliłem papierosa i opowiedziałem jakiś stary dowcip. Puchalski roześmiał się. Potem zamieniliśmy się rolami.

— W którą stronę pan idzie, jeśli wolno spytać? — zagadnął życzliwie Puchalski.

— A pan?

55

Nie chciałem, żeby wrócił ze mną do hotelu.

— Dokąd nogi poniosą

— Mogę pana odprowadzić, mam wolny kwadransik. A potem zniknę. Zgoda?

— Oczywiście.

Ruszyliśmy bulwarem, który zaczynał się w pobliżu hotelu. Było jeszcze widno. Wiatr rozpędził chmury i nad dachami lśniła smuga zachodu.

— Pan powiedział, że on nazywa się Busch, no... ten inżynier, który opowiadał o tutejszym podziemiu. Czy to przypadkiem nie Gienrich Osipowicz, taki trochę podobny do hipopotama?

Puchalski przystanął, jego okulary błysnęły ślepo.

— Ależ tak.

— Coś podobnego! — powiedziałem uradowany. — Jaki ten świat jest mały! Dosłownie cztery godziny temu wyciągnąłem go spod samochodu! „Wołga” — tuż! A on sobie idzie spokojniutko... Pchnąłem go w ostatniej chwili. Dzięki temu poznaliśmy się. Zaprosił mnie potem do siebie.

— Właśnie wtedy uraził pan nogę?

„Spostrzegaw-czy!” — pomyślałem z uznaniem. Na wszelki wypadek cały czas utykałem lekko.

— Tak! Co pan sądzi o Buschu? Mnie wydał się całkiem sympatyczny.

— Nie wiem doprawdy — odparł wymijająco. — Byłem u niego zaledwie raz. To świetny inżynier, zorganizował w swoim dziale produkcję mebli segmentowych.

— Ma ładnie urządzone mieszkanie, piękne obrazy. Podobało się panu u niego? Na pewno nieźle zarabia. Co więcej potrzeba do szczęścia?

Trudno powiedzieć, żeby nasza rozmowa toczyła się w atmosferze szczerości, niemniej nosiła piętno pewnej swobody, która na ogół skłania rozmówcę do ujawnienia poglądów na to i owo. Ale Puchalski mruknął tylko coś niewyraźnie.

63

— Babki też na niego lecą — dodałem.

— Z czego pan to wywnioskował? — ożywił się nagle.

— Kiedy przyprowadził mnie do domu, zastaliśmy tam taką ślicznotkę!...

— Naprawdę?

— Przysięgam! A pan lubi dziewczyny? Wzruszył ramionami.

Trudno było z niego cokolwiek wyciągnąć. Nasz dialog przypominał ową dziecięcą grę, w której na zadawane pytania nie wolno udzielać jasnych odpowiedzi, a Puchalski zachowywał się tak, jakby postanowił ani na

moment nie przekroczyć jej reguł.

— Mieszka pan w Moskwie? — zagadnął on z kolei.

— Tak. Dlaczego pan pyta?

— Ze zwykłej ciekawości. Zresztą widać to po panu. — Powiedział to bez właściwej mu rezerwy, raczej życzliwie.

— Bo mieszkańców Moskwy poznaje się na pierwszy rzut oka — oświadczyłem z dumą i jakby mimochodem dodałem: — Deszczu jednak nie będzie. Może i słusznie nie wziął pan marynarki.

Udał, że nie słyszy, i nieco pochylony zaczął zapalać papierosa. Pora była wracać do hotelu, oddaliliśmy się dostatecznie daleko. Po drodze chciałem jeszcze coś załatwić.

— Muszę pędzić na randkę. Puchalski wyprostował się.

\* ?— Już czas? Czy aby dziewczyna warta zachodu? No, niech pan nie przyniesie wstydu naszemu pokojowi.

Skręciłem w najbliższą przecznicę i na ulicy równoległej do bulwaru znalazłem automat telefoniczny. „Pozdrowienia od Koli — powiedziałem po wykręceniu numeru. — Czy proponowaliście Kławie, żeby rozpoznała... wujka?” „Powiedziała, że nie czuje się na siłach, wobec czego zrezygnowaliśmy”. „Opiszcie mi szczegółowo, jak był ubrany”. „Trochę przy-krótkie granatowe spodnie z tropiku. Zwykłą białą koszula. Marynarka...” „Stop! Jaka marynarka?” „Popielata w pasecz

64

ki”. „Konfekcyjna czy szyta na zamówienie?” „Konfekcyjna, węgierska”. „Jaka była pogoda w dniu zabójstwa?” „Zaraz, chwileczkę, tak, upał”. „Nie zanosilo się na deszcz?” „Nie”. „Sprawdźcie, czy w kieszeniach spodni i marynarki są okruchy tytoniu. Po drugie: trzeba ustalić, czy w

porze morderstwa kiosk z papierosami przed hotelem był otwarty. Po trzeciej: zbierzcie informacje o sąsiedzie Gienricha z ulicy Czernyszewskiego. Mieszka piętro wyżej. Poza tym porozumcie się z Nowosybirskiem. Interesuje mnie przyjaciel Kławy, niejaki Karik. Gdzie się w tej chwili znajduje. To wszystko".

Powiesiłem słuchawkę i szybkim krokiem ruszyłem do hotelu. Po schodach stapałem ostrożnie, bo wcale nie\* miałem ochoty na spotkanie z Wojtynem. Korytarzem pierwszego piętra dotarłem do biurka Bystryckiej. omijając leżące pod ścianą deski. Była za pięć ósma. Zerknąłem na tablicę z kluczami; nasz z numerem „305” wisiał na gwoździu, a zatem Wojtyn już wyszedł. Bystrycka wpisywała coś do księgi dyżurów. Obok stała jej zmienniczka.

Zapukałem w blat biurka.

— Puk-puk, można?

Zmienniczka popatrzyła na mnie niechętnie. Bystrycka uniosła głowę.

— A, to pan?

— Punktualność jest grzecznością królów — odparłem, wskazując na zegar.

9. „JAK SIĘ NAZYWASZ?” „NIJAK”

Na ulicy był już zmierzch. Nad miasto znów nadciągnęły chmury, bulwar pograżył się w mroku, nie rozproszonym jeszcze światłami latarni, powiał wiatr, szeleszcząc liśćmi drzew.

Wziąłem Bystrycka pod rękę.

— Nie zimno pani?

5 — Kastet...

Odparła, że nie bardzo. Zdjąłem swoją wysłużoną „studencką” kurtkę.

— Niech pan da spokój, nie wypada.

— Też coś! Jeśli człowiekowi zimno, powinien się ogrzać. Przecież to jasne

— I tak już plotkują na mój temat. Kiedy mnie zobaczą w pańskiej kurtce, całkiem zatrują mi życie.

— Przecież jest zupełnie pusto.

— Tak tylko się zdaje. Tu wszyscy wszystko widzą.

Była w kraciastej sukience przed kolana. Na ramieniu miała torebkę na długim pasku. Wiatr targał jej włosy, które od czasu do czasu strząsała z czoła niecierpliwym ruchem głowy

— Dokąd pójdziemy?

— Ja do domu. a pan — nie wiem. Pewnie mnie pan odprowadzi.

— No wie pani, to jest nie fair! Wstąpimy do jakiejś kawiarenki, posiedzimy w cieple.

— Nie mam ochoty. Zagroziłem jej drogę.

— Rajeczko, niech pani tylko sobie wyobrazi mój powrót do hotelu; jestem tu przecież zupełnie sam i będzie mi ogromnie smutno. Nie zapalę światła, usiądę na łóżku i będę płakał rzewnymi łzami

Roześmiała się.

— Niech pan jednak zapali światło!

— No proszę, co za okrucieństwo! Nawiasem mówiąc, podobna jest pani do jakiejś aktorki, ani rusz nie mogę sobie przypomnieć jej nazwiska.

— Słyszałam już, że przypominam Barbarę Brylską. Bynajmniej nie jest pan oryginalny. Mam tylko włosy innego koloru. Naprawdę jestem do niej podobna? Pan też tak sądzi?

— Wykapana Barbara — oświadczyłem uroczyście. — Barbaro, pójdziemy do kawiarni?

— Nie. Pan jest żonaty?

66

— Tak.

— Dziwne, zazwyczaj mężczyźni mówią, że nie. Dlaczego nie nosi pan obrączki?

— Bo nic lubię.

— Pańska żona też nie nosi?

— Oczywiście.

— To ułatwia zdrady. Zdradza pan swoją żonę?

„Do licha! — pomyślałem. — Nie miałem przecież innego wyjścia, tylko tak mogłem zawrzeć z nią znajomość. Zapewne rozstaniemy się jak dobrzy przyjaciele, ale przez dwie godziny będę musiał udawać Bóg wie kogo”.

— Kocham ją.

— Ładna?

— Dla mnie tak.

— Na pewno ładna. Pańska żona musi być przystojna.

— Słowo daję, wcale nie mam ochoty o niej rozmawiać. Mówmy lepiej o pani. Jest pani taka urocza, że na pewno nie może opędzić się od kawalerów.

„Co za staroświecka gadka! — przemknęło mi przez głowę. — Na pewno tak właśnie rozmawiał z nią Taras Michajłowicz”.

Zmarszczyła nosek.

— Komplementy niech pan zachowa dla żony. Poza tym... mnie nikt się

nie podoba.

— Ejże, nikt?

— Nie wiem. Może postępuję nierozsądnie. Jest tu pewien chłopak, zakochany we mnie po uszy, ale ja wolę towarzystwo ludzi, którzy mają coś ciekawego do powiedzenia... słowem, od których mogę się czegoś nauczyć. Pan nie ma pojęcia, co to za straszna prowincja! A on jest piekielnie zazdrosny.

— Przecież uczyć się można nie tylko od przyjezdnych. Czy pani lubi czytać?

— Czytam, kiedy mam czas.

— Zna pani Tołstoja?

55

—1 Którego? Lwa? Przerabialiśmy go w szkole.

— Prze-ra-bia-li-śmy! — przedrzeźniłem ją. — Czytała pani „Annę Kareninę”?

?— Oglądałam adaptację, kiedy odwiedził nas teatr. Ale nudy!

'— O Boże! A opowiadanie „Bystronogi”? O tym, jak stary mierzyn nocą opowiada koniom historię swego życia...

— Nie! — ucięła stanowczo. — Wszyscy Tołstoje i inni Gogole nadają się wyłącznie do lamusa. Pisali nie o nas, my jesteśmy zupełnie inni.

— Coś podobnego!

— Gusty bywają różne, wie pan o tym?

— Wiem. •

Spytała, czy przyjechałam tu na urlop. Opowiedziałem jej swoją „legendę”. Stwierdziła, że zazdrość mężczyznom i że los kobiet jest znacznie bardziej nudny i nijaki — kobiety nie mogą być na przykład

marynarzami.

— Może posiedzimy na ławce, jeśli pani jeszcze nie zamarzła — zaproponowałem.

— Dobrze. Usiedliśmy.

— Niechże pani weźmie moją kurtkę.

— No dobrze. A pan?

— Jestem zahartowany.

— To mi przypomniało, że w hotelu nocami bywa zimno. Mury są z kamienia, stare i wilgotne. Niech pan poprosi Hildę — tę moją zmienniczkę — o ciepły koc, ona ma dobre serce, na pewno znajdzie go dla pana

— Dziękuję. Ciężko tak dyżurować całą dobę?

- Przecież potem możemy odespać. Zresztą na dyżurze też ucinamy sobie drzemki. Chociaż hall jest taki imponujący, mamy raptem czterdzieści osiem pokoiów, trzycyfrowe numery to zwykła lipa. Miejska rada zamierza budować nowy hotel, tam naprawdę będzie wiele miejsc

— Przeniosą panią do tego nowego hotelu?

68

— Już mi się tu znudziło! Najchętniej uciekłabym stąd na koniec świata!

— A mnie podoba się wasze miasto — morze pod nosem i w ogóle...

— Morze? W ubiegłym roku byłam na południu, o, to rozumiem!... Tu, kiedy zacznie padać, pada miesiąc. Nie wyobraża pan sobie, jak to przygnębiająco działa!

— Wobec tego niech pani wyjedzie.

?— Nikt nie chce mnie zabrać ze sobą. Czy pan na przykład, nie będąc żonaty, zdecydowałby się na to? — zażartowała.

— Z całą pewnością — odparłem.

— Wie pan, za co my, kobiety, cenimy mężczyzn? Za uprzejmość, dżentelmenerię i za to, że mężczyźni są wobec nas ustepliwi. I nigdy nie powinni traktować nas serio, bo dopiero wówczas w ich towarzystwie czujemy się beztroskie i szczęśliwe. Widzi pan, zdradzam nasze sekrety. Ten chłopak, o którym wspomniałam, traktuje wszystko śmiertelnie poważnie. Ot, weźmy ślub i kochajmy się do końca życia!

— Tak też bywa.

Siedzieliśmy w pobliżu piaskownicy. Ściemniło się już zupełnie. Zapłonęły gazowe latarnie, świecąc jadowitym zielonym blaskiem. Drzewa rzucały czarne cienie. W piaskownicy grzebał się jakiś malec. Naprzeciwko znalazła schronienie samotna para, ich twarze niewyraźnie majaczyły w mroku. On ją przytulał, ona piskliwie chichotała.

— Obrzydliwa, prawda? — skinęła w tamtym kierunku Bystrycka

— Dlaczego mówi pani z taką złością? Przecież niczego o niej nie wiemy.

— Pan widać z tych do-o-brych! — wycedziła. — Wie pan, że pańskie łóżko w hotelu jest pechowe?

— Dlaczego?

„Interesujące skojarzenie” — zanotowałem w myśli. — „Dobry”, „Iszczenko”.

55

— Czyżby nic pan dotąd nie słyszał?

— Nie.

— Człowiek, który spał na tym łóżku, został zamordowany.

— Jak to? — spytałem z miną gamonia.

— Zwyczajnie: został zamordowany? — powtórzyła, a ja odniosłem

wrażenie, że zrobiła to z satysfakcją.

— Za co?

— Skądże mam wiedzieć! Jedno tylko jest pewne, że był niesłychanie podły i sprzątnięto go nie bez powodu

„A więc to tak” — pomyślałem. O Iszczence mówiono różnie, ale tak jednoznacznie nie wypowiadał się o nim nikt. Zastanawiające, że zrobiła to właśnie Bystrycka.

— Dobrze go pani znała?

— Nie

— Zauważyłem, że lubi pani patrzeć na ludzi przez czarne okulary. Nie podoba się pani ta dziewczyna z przeciwka, teraz on... Może niesłusznie?

— Słusznie — upierała się.

— Za co pani go tak nie lubiła?

— Widocznie były powody. —Może zalecał się do pani?

— Nie chcę o nim mówić!

— Rzeczywiście, dajmy mu spokój. Czy morderców złapano?

Skuliła ramiona i rozejrzawszy się dokoła szepnęła:

— Nie.

Nie liczyłem na to, że dowiem się dziś wszystkiego. Na razie chciałem zorientować się po prostu w sytuacji. Przypominało to szukanie w nie znanym lesie ścieżki, która prowadzi do celu. Coś niecoś o tej ścieżce już wiedziałem, tylko nie mogłem jeszcze jej znaleźć. Można mnie było porównać do samochodu-pelengatora wyposażonego w czułą antenę, który krąży po mieście, żeby wśród wielu fal radiowych wychwycić tę jedną, należącą do wroga i dokonać jej namiaru. Prze

de wszystkim byłem jednak człowiekiem, który powinien znać prawdę, a jej nie zna. Dlatego właśnie nie czułem się najlepiej.

— Mały, jak ci na imię? — dobiegło od stojącej naprzeciw ławki. Siedząca lam damulka widocznie już dosyć miała umizgów i przeniosła uwagę na malca, który wciąż jeszcze grzebał się w piaskownicy.

— Nijak! — odpowiedział szorstko.

— Chi, chi, chłopczyk Nijak!

„Morderca Iszczenki też ma na razie na imię Nijak”.

— A jak się nazywasz? — kontynuowała zabawę dama.

— Głuptak! — zrymował jej krnąbrny rozmówca. Dama zanosila się od śmiechu.

Uznałem, że ten chłopiec bynajmniej nie jest głuptakiem. ?— Co tu robisz po ciemku! Do domu! — rzekła dama.

— Nie twój interes! — odparował mały. Był twardym orzechem do zgryzienia.

— Siedzimy tu nie wiadomo po co, lepiej odprowadzimy chłopca do domu

— zerwała się Bystr\rccka. Weszła do piaskownicy, przykucnęła obok chłopczyka, otarła jego dłonie z piasku. — Pójdiesz ze mną?

To było dziwne: nie wyszarpnął rączki z jej dłoni i posłusznie pomaszerował z nami alejką.

— Proszę zabrać kurtkę, spada mi z ramion! I niech pan weźmie moją torebkę! No, prędzej, mój kawalerze! — komenderowała Bystrycka.

Potem zwróciła się do chłopca: — Gdzie mieszkasz?

- Tam! - - machnął niedbale ręką w stronę wysokiego domu. Prawie we wszystkich oknach płonęły już światła i mieszkania nabrały różnych barw, w zależności od koloru abażurów i ścian. Okna były niebieskie, różowe,

zielone, dokoła cichło pograżające się w nocv miasto i każde mieszkanie zdawało się oazą spokoju.

— Dlaczego urządzasz spaceru po nocach? Chłopczyk milczał.

55

— Gdzie twoja mama?

— W pracy.

— Pracuje na drugą zmianę?

•— W sklepie spożywym — sprecyzował mały.

— Jesteś głodny? Nie odpowiedział.

Z bulwaru skręciliśmy w boczną ulicę. Pełno było na niej ludzi, jezdnią sunęły samochody. Bystrycka kazała nam poczekać i zniknęła w otwartych drzwiach piekarni. Po chwili pojawiła się, trzymając drożdżowe ciastko. Chłopiec bez słowa wbił w nie zęby i z wdzięcznością spojrział na dziewczynę.

Weszliśmy na mroczne podwórko-studnię. Mały zaprowadził nas na pierwsze piętro. Zadzwoiłem do drzwi. Otworzy-, ła nam kobieta okryta chustką. Na schodach było ciemno, staliśmy w smudze światła padającego przez drzwi.

— Właśnie chciałam biec po niego! Bardzo państwu jestem wdzięczna!

Włóczy się gdzieś bez przerwy, chwili spokoju nie ma z tym smarkaczem.

Wróciłam z pracy, a tu w mieszkaniu pusto. Może państwo wstąpią na chwilę!

— Nie, dziękujemy! — powiedziała Bystrycka, głaszcząc malca po głowie. — Musimy już iść.

Zaczęła schodzić. Szedłem nieco w tyle. „Kiedy obserwujesz człowieka — uczył mnie szef wydziału Szimkus — zawsze powinieneś zakładać, że jest

niewinny. Przede wszystkim staraj się udowodnić właśnie to. Takie założenie ułatwi ci zadanie i naszej pracy wyjdzie na korzyść. I ludziom. Nigdy nie zapominaj, że pracujesz dla ludzi". Najważniejsze, by ustalić, z kim ma się do czynienia, w czym nie pomogą najdokładniejsze ankiety personalne. Jakże byłoby pięknie, gdyby w jakiejś opinii Bystryckiej odnotowano: „Potrafi nakarmić głodne dziecko drożdżowym ciastkiem i odprowadzić je do domu". Oczywiście niczego to nie przesądzało, ale jednak... Zadowolony roześmiałem się cichutko.

— Co pan tam mruczy? — spytała, nie odwracając głowy.

— Nic ważnego.

55

— Może z moją sukienką jest coś nie w porządku? — odwróciła głowę usiłując zobaczyć, jak wygląda z tyłu.

— Ależ nie! Mruczę sam do siebie.

Najpierw należy ustalić, z kim ma się do czynienia. A potem zdecydować

— on czy nie on!

M

10. BYŁEM PRAWIE PEWNY, ALE...

Znowu znaleźliśmy się na bulwarze, który stromo biegł pod górę.

Dotarliśmy do jego najwyższego punktu. Panowały tu mrok i cisza. Z jednej strony opadała skarpa i pod naszymi stopami rozciągało się miasto.

Widać było światła głównej ulicy, skąd dobiegał szum samochodów i dzwonki tramwajów. Dalej majaczył masyw zamku z ostrymi gotyckimi wieżami. Zbudowany był zapewne jeszcze przez zakon krzyżacki.

Narzuciłem na ramiona Bystryckiej kurtkę. U naszych stóp leżało miasto, w którym odezwało się echo wojny zakończonej wprawdzie w

czterdziestym piątym, a jednak trwającej nadal.

— Nie skarżę się za to na współlokatorów — powiedziałem. — Wie pani, myślę o tym pechowym łóżku.

— Tak, Nikołaj Gawriłowicz jest bardzo przyzwoitym i dobrze wychowanym człowiekiem.

— A rybak nie przypadł pani do gustu?

— Rybak? Nawet o tym nie wiedziałam. Nie, nie lubię go, Nigdy nie powie dzień dobry. Pewnego razu, kiedy odeszłam na chwilę od biurka, akurat chciał uregulować rachunek. Narobił strasznego szumu, krzyczał, że powinnam pracować, a nie zajmować się manicurem. A ja byłam po prostu u Nin-ki z przechowalni, bo ona ani rusz nie może się zdecydować, czy wyjść za męża. Jej chłopak jest Gruzinem, ma samochód, powiada, że będzie ją nosił na rękach, a ona jeszcze się zastanawia. Taka niemądra! Jesteśmy prawie na miejscu. Mieszkam dwa kroki stąd, to już przedmieście.

73

— Mieszka pani sama?

— Wybiera się pan do mnie z wizytą? — Broń Boże! Jestem po prostu ciekawy.

— Mieszkam z ciotką. Ojciec zginął ósmego maja czterdziestego" piątego roku. Głupio, prawda? Dlaczego pan wciąż milczy? Obiecał pan, że będzie zabawnie, i co?

— Ależ pani kaprysi

— No proszę! Jest pan przebrzydłym kłamcą, który nie dotrzymuje słowa. Cóż było robić, opowiedziałem jej dwa dowcipy; jeden o pijaku, którego prześladował błękitny krokodyl, a drugi o egzaminie do szkoły teatralnej.

Potem zauważyłem:

— Dzisiejszy wieczór jest taki przyjemny i spokojny, że jakoś nie mam ochoty na wygłupy.

— Wie pan. rzeczywiście.

— Dajmy- więc sobie spokój z dowcipami. Milczeliśmy przez jakiś czas.

Potem Bystrycka spytała:

— Wiem. że zabrzmiało to śmiesznie, ale czy ma pan cel w życiu?

— Tak — odparłem.

Moim celem życiowym było zmiecenie z powierzchni ziemi wszelakiego draństwa. Chociaż nie należę do pesymistów, obliczyłem trzeźwo, że mojego życia na to nie starczy. Tak więc dla mnie cel był nieosiągalny.

Może osiągnie go mój syn, a najprawdopodobniej syn mego syna. A jeśli ja zrobię teraz za mało, jemu także to się nie uda. Rzadko o tych sprawach myślałem, ale ich świadomość nie opuszczała mnie nigdy.

— Prawdziwy i wielki?

— Tak.

— A... jaki?

Teraz musiałem ją usadzić Na ten temat nie zamierzałem niczego zmyślać, mówić zaś o tym wszystkim, bez ujawnienia, czym się naprawdę zajmuję, byłoby głupio i niełatwo. Wyjaśniłem więc:

74

?— Niewiele się znamy, a takie zwierzenia można robić tylko komuś bardzo bliskiemu.

I przestraszyłem się, że Bystrycka może zrozumieć to jakoś opacznie.

Rzeczywiście milczała chwilę, ale widać nie umiała obrażać się na długo,

bo powiedziała:

— Zazdroszczę panu! Zazdroszczę wbrew swojej woli. Ja także chciałabym mieć cel w życiu, pracę, która by mnie interesowała, i nie tkwić w tym parszywym hotelu!

— Czy mam się teraz wzruszyć i pogłodzić panią po główce jak rozżalone dziecko?

— Jest pan wstrętny! Lepiej chodźmy, o tam.

\* Pociągnęła mnie za rękę. Z lewej strony tuliły się do skarpy domki skąpo oświetlone samotną latarnią. Z prawej ciągnęło się pustkowie i sosny. Bystrycka szła właśnie w tym kierunku. Ostrożnie stawiałem nogi, by nie potknąć się o korzenie. Oświetlona ulica została za nami, moje oczy nie przywykły jeszcze do mroku.

— To tu! — zatrzymała mnie szeptem. — Niech pan poświeci zapalką i spojrzysz w dół.

Postąpiłem, jak sobie życzyła. Drzewa cofnęły się i pograżyły w jeszcze głębszym mroku. U naszych stóp leżała marmurowa płyta z połyskującymi literami. Świecąc zapalkami, przeczytałem: „Tu spoczywają na wieki starszy lejtnant Torlin N. I. ur. 1912, lejtnant Drize. J. A. ur. 1920, szeregowi: Bajtiemirow J. S. ur. 1920, Karpavicius E. ur. 1903, Gu-ba I. W. ur. 1922, Jelagin K. ur. 1923 — którzy zginęli 22 listopada 1944 roku w walkach o miasto”.

— Kiedy byłam małą, sądziłam, że tu leży mój ojciec. — Bystrycka odezwała się dopiero wówczas, gdy wróciliśmy w krąg światła ulicznej latarni. — Kiedy indziej wyobrażałam sobie, że jestem sanitariuszką, wynosiłam go z pola bitwy, opatrywałam jego rany i ratowałam mu życie. Bardzo mi go brakuje. Jak tu cicho, prawda? Wszyscy dawno śpią.

— Niewątpliwie — mruknąłem.

Byłem już prawie pewny, że dziewczyna jest niewinna. Na

55

całkowitą pewność nie mogłem sobie jednak pozwolić, godzinę bowiem przed popełnieniem morderstwa Bystrycka widziano w towarzystwie Iszczenki na plaży. Ponadto Jewgienia Augustowna Stankene w toku śledztwa oświadczyła, że kiedy Iszczenko minął ją jak nieznajomą, spostrzegła Bystrycka. „Znam Raję dobrze — pisała w swoich zeznaniach Stankene — bo znam w naszym mieście wszystkich. Chciałam ją zatrzymać, ale Bystrycka nie usłyszała mnie lub udała, że nie słyszy. Wyraźnie szła śladem Iszczenki, bojąc się stracić go z oczu”. Stankene dodawała, że początkowo nie przywiązywała do tego szczegółu wagi, ale kiedy doszło do niej, że Iszczenko został zamordowany w kilka minut po owym spotkaniu, uznała tę okoliczność za dość istotną. Kapitan Siparis na razie Bystryckiej nie ruszał.

— Chodźmy. Chce mi się spać, jestem okropnie zmęczona — usłyszałem.

— Spotkamy się jutro na plaży?

— Może.

?— Co prawda zbierają się chmury. — Zadarłem głowę, usiłując wyczytać coś z nieba. — Nawet spadło mi na rękę kilka kropel.

— Do jutra na pewno się roz pogodzi! Plażuję zwykle przy wylccie ulicy Prudisa, tej, która prowadzi prosto nad morze.

„Ulica Prudisa — przypomniałem sobie — tam właśnie mieści się szprotkowy kantor. Muszę wreszcie porozmawiać w sprawie pracy”. Poza tym interesował mnie sąsiad Buscha, Surkin.

— Ale przecież pan nie zna miasta? Proszę zapamiętać, to proste: Pru-di-

sa, każdy panu wskaże. Przyjdę trochę później, muszę się w\7spać.

Szliśmy jezdnią wybrukowaną kocimi łbami, bo chodnik był wąziutki i nie mogliśmy iść obok siebie. Wydawało mi się, że jesteśmy na dnie wąwozu — mury przeciwległych domów jakby zbliżyły się do siebie: oświetlone latarniami do wysokości parteru, stromo biegły ku górze, w mroczne niebo. „Zu

55

pełnie jak dekoracje do Szekspira" — pomyślałem. Potem skręciliśmy w taką samą średniowieczną boczną uliczkę i nieoczekiwanie trafiliśmy do nowoczesnego osiedla z rozległymi trawnikami i standartowymi domami-pudełkami o jednakowych balkonach. Odurzająco pachniał bez. Główną ulicą osiedla przejechał jasno oświetlony autobus. Przecieliśmy jezdnię. Na ławce pod bujnym krzewem bzu siedział chłopak i trącał wciąż tę samą strunę gitary, co brzmiało dość żałośnie. Na tle krzewu bieląła jego koszula. Bystrycka nie od razu go zauważyła.

— Jesteśmy na miejscu.

— To ty, Rajeczko?

Chłopak wstał i trącił strunę basową. Gitara groźnie zadudniła. Staliśmy naprzeciw siebie, chłopak miał niesympatyczną tłustą twarz. Był dobrze zbudowany, z szerokimi barami. „Waży tyle co ja — ocenilem na oko — czyli około osiemdziesięciu pięciu kilogramów”.

— Ej, dziewczuszko, znów romansujesz z obcymi? Co powie na to Sioma, kiedy się dowie?

Bystrycka wzruszyła ramionami. Wciąż miała na ramionach moją kurtkę i ten gest wypadł trochę komicznie, bo zwisające rękawy zakołysały się gdzieś poniżej jej kolan.

— Leć szybko z donosem'

Zauważyłem, że było jej nieprzyjemnie. Niechęć dziewczyny objęła także mnie, jako współodpowiedzialnego za sytuację. Trzymałem ją pod rękę, teraz się odsunęła

— No proszę, do czego to podobne! — nie ustępował chłopak. — Mój przyjaciel darzy ją zaufaniem, a ta szuka przygód z jakimiś fagasami.

— Przyjaciel, akurat! Za ćwiartkę sprzedałbyś rodzzonego brata!

— Coś ty powiedziała? — zainteresował się chłopak. „Pozuje na bandziora — pomyślałem — Wpadnie kiedy i rzeczywiście zostanie kryminalistą, jeśli temu w porę nie przeszkodzić”.

Nadszedł moment, kiedy należało się wtrącić.

»

77

„Błędny rycerz” skomentowałem w duchu z uśmiechem i zrobiłem krok naprzód.

— Nie mów mi o miłości, jej nie trzeba słó-ó-ów — zaśpiewałem mu prosto w nos. — Trzydzieści trzy?

— Co?

— A ty co? — Ja nic.

— No to klawo — podsumowałem rzeczowo. — Możesz odejść.

Chłopak wyraźnie stracił fason. Cofnął się, splunął i wymamrotał pod nosem coś w rodzaju „szkoda paprać rąk”. Najprawdopodobniej jednak nie lubił bić się w pojedynkę, bo kiedy odeszliśmy, zawołał:

— Jeszcze pomacamy ci mordę, chojraku!

— Niech pan nie zwraca na niego uwagi — powiedziała Bystrycka.

— Jasne.

„Za łatwo się odczepił. Należy oczekiwać dalszego ciągu” — przemknęło mi przez głowę.

— Fajnie go pan odstawił! Wstrętny chuligan! Bardzo proszę, niech pan ich unika i wraca inną drogą. Pokażę panu.

— Naturalnie — zapewniłem dziewczynę. — Kto to jest ten Siemion?

- Chłopak, o którym panu wspominałam. Naprawdę proszę wracać inną drogą. A to już moja brama.

Koło rynny zaczął się kot. „Kici, kici” - zaczęła go wabić Bystrycka. Kot nie słuchał i umknął w głąb bramy. Na murze ktoś nagryzmolił węglem: „Lena, tak cię kochałem!” Pachniało smażoną rybą. Za którymś z okien wyło radio. Było już chyba koło jedenastej — nie chciałem, żeby Bystrycka zauważyła, że patrzę na zegarek. Gdzieś daleko rozległ się gwizd pociągu. Zapewne takiego samego jak te kursujące do podmiejskich osiedli letniskowych.

— Wie pan co — szepnęła Bystrycka — niech pan tylko niczego sobie nie pomyśli, ale boję się sama wejść do bramy,

78

bo wysiadła żarówka. Jeszcze chwileczkę, najpierw pokażę którądy ma pan wracać.

Doskonale zapamiętałem drogę, którą przyszliśmy i bez trudu mogłem trafić do hotelu „Pordus”. Nie zamierzałem z tego rezygnować, bo jeśli Siemion z kumplami czekają na mnie, warto ich było obejrzeć — interesowało mnie wszystko, co miało związek z Bystrycka. Mimo to słuchałem jej z uwagą. Potem weszliśmy na klatkę schodową i wymacawszy stopami schody, zaczęliśmy się po nich wspinać.

— To już tu. Proszę poświecić mi zapalkami. Otwierała drzwi kluczem.

— No! A teraz chcę ci powiedzieć, że jesteś bardzo miły! Nie dostawiałeś się i trzymałeś ręce przy sobie, kiedy siedzieliśmy na ławce. Cześć' Zniknęła w drzwiach. Włożyłem kurtkę, którą mi podała, odczekałem jeszcze chwilę i zacząłem schodzić. Ale miałem powodzenie — trzykrotnie w ciągu tego dnia usłyszałem, że jestem miły. To ci fart! Wyszedłem z bramy i rozejrzałem się. W pobliżu nie było nikogo. Na wszelki wypadek jednak ruszyłem środkiem jezdni i miałem rację! Za rogiem usłyszałem cichy gwizd. W świetle latarni stało dwóch mężczyzn. Jednym z nich był „bandzior” w białej koszuli. Tym razem był bez gitary. Jasne, że na mnie czekali. Przystanąłem w odległości paru kroków od nich i zapaliłem papierosa, osłaniając dłońmi płomyczek zapalki. Jednocześnie ich obserwowałem, bo jeśli patrzeć na ogień, a potem znaleźć się w mroku, człowiek na moment ślepnie.

— Ładny mamy wieczór — zagadnąłem.

Milczeli. Pretensje miał do mnie niewątpliwie ten, który stał bliżej. „To pewnie Siemion” — pomyślałem. „Bandzior” w białej koszuli ubezpieczał go z boku, trzymając ręce w kieszeniach. Przede wszystkim należało jego unieszkodliwić. Zaczął podkradać się do mnie.

— Tylko dwu? — spytałem. — Trzeba było zebrać z pięciu. A może zabrakło wam na to czasu?

55

W tym momencie zauważyłem trzeciego, który wyłonił się spod krzewu bzu i zaczął zachodzić mnie z drugiej strony. „Oj, oj — pomyślałem. — Wcale nie mam na to ochoty”. Nie chciało mi się bić. Nie było jednak wyboru i dlatego musiałem zacząć pierwszy. Nie zdążyłem nawet schować zapalek do kieszeni. Zrobiłem krok do przodu, „bandzior” zamierzył się.

Ruch w bok i pochwyciłem jego prawą rękę, w której z pewnością miał kastet albo ołowiankę. Nienawidziłem amatorów bójek w kilku na jednego i dlatego ani drgnąłem, uderzając „bandziora” kantem dłoni w nasadę karku. Na moim miejscu mógł przecież znajdować się ktoś inny, kto nie zajmował się od lat zapaśnictwem i kto nie ukończył specjalnych kursów samoobrony. Tego kogoś zbiliby bez litości. Jednocześnie nie spuszczałem oczu z domniemanego Siemiona — to on z pewnością był głównym bohaterem, a „bandzior” tylko podbechtywał go do „zemsty” — i kiedy mnie zaatakował odskoczyłem, podstawiając mu bezwładne ciało tamtego. Siemion potknął się. obaj upadli. Odskoczyłem ponownie czekając na trzeciego. Podstępny unik, cios „w dołek” i trzeci runął na ziemię. „Bandzior”, który pojękując trzymał dłoń na obojczyku, odpadł ostatecznie. Na razie szczęście mi dopisywało. Cofnąłem się. Nie chciałem unieszkodliwić tego, którego uznałem za Siemiona, i dlatego musiałem dobrze uważać. Gdybyśmy szarpali się wszyscy, tamci dwaj mogliby mi w tym przeszkodzić. Byłem ciekawy, czy Siemion zaatakuje mnie teraz, kiedy7 został sam. Rzucił się jednak w moją stronę, co przyjąłem z uznaniem, ponieważ wiedział, iż nie może liczyć na pomoc koleżków. Coś mi mówiło, że nie on był inicjatorem bójkii we trzech na jednego. Chwyciłem Siemiona za ubranie, ustawiłem odpowiednio i zastosowałem rzecz najprostsza, czyli podciąłem mu od tyłu nogi. Zerwał się natychmiast i znów zaatakował.

— Można jeszcze i tak!

Efektownie przerzuciłem go sobie przez plecy. Robiłem to wszystko niechętnie, ale ostatecznie doszedłem do wniosku,

„e ma to pewien sens. Staralem się obchodzić z Siemionem ostrożnie, ubezpieczałem go, bo nie był przeciwnikiem, który nadawał się do walki. Siedział na jezdni i ciężko oddychał. Nie zamierzał wstawać. A nuż wcale nie był Siemionem? Tamci dwaj stali z dala od siebie i ode mnie.

— To dzudo, nie? Czy sambo? — wysapał „bandzior”.

— Zawodowiec — pogardliwie wycedził „Siemion”. — Zbija forszę w cyrku, w numerze „Grigorij Nowak i synowie”.

— Na imię mam Borys — powiedziałem. — Jeśli chcesz, możemy teraz pogadać po ludzku.

- Dlaczego podrywasz mu dziewczynę, gnojku? — spytał „bandzior”, wciąż jeszcze masując sobie kark.

Ano tak. Po bójce, zgodnie z etykietą, musiał nastąpić „obrachunek” — kto, za co i dlaczego. Nie mydłem się jednak, to rzeczywiście był Siemion.

— Stul pysk — powiedział do swego przyjaciela.

— Nie zamierzam podrywać ci dziewczyny, jasne? Ona też traktuje mnie jak kawał drewna. Po prostu jestem sam w obcym mieście, gęby nie mam do kogo otworzyć, no to odprowadziłem ją po dyżurze.

— Wszyscy tak mówicie!

— Dajże spokój, Siemion! Raja opowiadała, że jesteś porządnym chłopakiem. Rozmawiała ze mną o tobie, rozumiesz? Nie zrobiłaby tego, gdyby między nami coś było.

Wyciągnąłem rękę, żeby pomóc mu wstać. Chwycił ją po chwili namysłu.

— Siemion, nie słuchaj go! — podjudzał „bandzior”.

Ten trzeci, najmłodszy, milczał. Wrócił już do siebie, palił papierosa, ale nie wtrącał się do rozmowy. Widać było, że nie należy do tych, którzy

wystają „grandą” przed bramami i zaczepiają samotnych przechodniów. Trafił tu chyba przypadkowo. Obserwowałem go, kiedy<sup>7</sup> biłem się z Siemionem, ale on o tym nie wiedział i mógł zaatakować mnie z tyłu. A jednak

6 —

Kastet

81

tego nie zrobił. Żałow; łem już, że nie przystąpiłem do wstępnych pertraktacji, choć wątpliwe, żeby wyszło coś z tego przed unieszkodliwieniem „bandziora”.

— Nie dowierzać należy tym — zwróciłem się do nich wszystkich — którzy czegoś od was chcą. Ja chyba na takiego nie wyglądam.

Przeciwnie: to wy chcieliście czegoś ode mnie. Jest w. tym logika? — zwróciłem się do „bandziora”.

— Jaka znów logika? — burknął.

Uspokoił się już i zrozumiał, że nie będę ich bił. Demonstrował więc teraz przed kumplami swoją rzekomą odwagę.

— Nawymyślają cholera wie co, a ja mam to rozumieć!

— Kup sobie słownik wyrazów obcych — doradziłem mu. Podniosłem leżące na jezdni pudełko zapalek, które jakimś cudem ocaiało, i zaciągnąłem się papierosem.

— Zapalisz? — zaproponowałem Siemionowi.

— Mam swojo

Trzeci, który milczał i dopiero co odrzucił niedopałek, wziął z mojej paczki, sięgnął również po papierosa „bandzior”.

— Ty zacząłeś pierwszy, chcieliśmy z tobą tylko pogadać —• powiedział

Siemion.

— Tylko? Milczał.

— Wiesz, czym kończą się pogaduszki z udziałem ołcwian-ki? Twój kumpel ma ją w kieszeni, zdążył podnieść. Posługiwać się nią nie umie, a odstawia ważniaka. — Zaciągnąłem się głęboko. — Tak przy okazji: czy moglibyście zdobyć dla mnie kastet? Dobrze za niego zapłacę albo na coś wymienię.

„Bandzior” ożywił się.

— Po cholere ci kastet? Tobie?

— Żeby w towarzystwie takich jak ty mieć poczucie bezpieczeństwa. No co, da się coś zrobić?

— Można spóbować •— odparł wymijająco.

82

— Ale nie chcę byle jakiego! Potrzebny mi jest prawdziwy, najlepiej niemiecki.

— Masz wymagania!

— Może ja to załatwię?— nieoczekiwanie odezwał się ten, który dotychczas nie puścił pary z ust.

— Ile byś za niego chciał? — Do tej pory obserwowałem Siemiona, teraz skoncentrowałem uwagę na tym trzecim.

Mówiąc szczerze, byłem zaskoczony. Istniała niewielka możliwość wyjaśnienia czegoś na temat kastetu (i to przez Siemiona, jeśli był tym Siemionem), natomiast sam kastet w ogóle nie powinien wchodzić w grę, ponieważ leżał wraz z innymi dowodami rzeczowymi w miejscowym oddziale milicji. Widocznie jest drugi. „Spotkam się jednak z tym chłopakiem — postanowiłem — i pogadam z nim o Siemionie”.

— Pogodzimy się •— powiedział.

— Gdzie mam cię opukać?

?— Jaki jutro mamy dzień? Sobotę? Od rana będę na plaży.

— Plaża jest długa i szeroka!

— Znajdziesz mnie na pewno.

— Dobra. Umowa stoi — przytaknąłem i zwracając się do Siemiona, podsumowałem rozmowę dotyczącą tylko nas dwu: — Proporcja trzech na jednego od wieków 'uważana była za niedźwentelmeńską. Raja ma o tobie lepsze wyobrażenie. A może to ten cię napuścił? •— wskazałem „bandziora”.

— Zwalaj wszystko na mnie! —<sup>^</sup>warknął.

— Tłumaczyć się będziesz w milicji — powiedziałem. — No fajnie, chłopcy, jest już noc głęboka, a ja muszę jeszcze wędrować do hotelu. Zatem do jutra, na plaży. Cześć!

Odpowiedział mi ten, który obiecał kaset:

— Cześć!

A „bandzior” burknął:

— Uszanowanko! Spływaj, spływaj!

Zamiast wracać bulwarem wybrałem skrót i dość szybko otarłem do hotelu. Od pierwszego dnia pobytu w obcym mieście poruszam się bez kłopotów. Wszedłem do pokoju —

55

drzwi były otwarte, światło zgaszone — i jak najciszej położyłem się spać. Na ścianę padał czerwony odblask umieszczonego na hotelu neonu:

„Agencje PZU ubezpieczą twoje życie i mienie”, który odczytałem jeszcze z ulicy. „Co za idiotyczny pomysł! — skrytykowałem w myśli. — W

dzień, kiedy agencje są otwarte, reklamy prawie nie widać. Kto załatwia ubezpieczenie po nocy? Chociaż nie mam racji — złagodziłem swój sąd. — Iszczenko zapewne wpadł na ten pomysł właśnie podczas bezsennych godzin". Polisa ubezpieczeniowa Tarasa Michajłowicza Iszczenki opiewała na najwyższą sumę i jego małżonka natychmiast po przyjeździe zakomunikowała

o tym władzom, by uzyskać niezbędne do wypłaty pieniędzy dokumenty, co bynajmniej nie przemawiało na jej korzyść. Jeśli w jakikolwiek sposób uczestniczyła w zabójstwie, byłaby to z jej strony karygodna nieostrożność, choć takie postępowanie równie dobrze mogło być obmyślane celowo. Przewracając się z boku na bok wypaliłem trzy papierosy.

Wojtyn spał. Puchalskiego jeszcze nie było.

11, KTO?

Obudziłem się pierwszy. Wojtyn pochrapywał i mamrotał przez sen. Wstałem, otworzyłem po cichu okno. Puchalski, który wrócił wczoraj najpóźniej, zamknął je zapewne w obawie przed ulewą. Leżał teraz twarzą zwrócony do ściany

1 także spał.

W dole rozciągało się osnute poranną mgiełką miasto. Między czerwonymi dachami domów widniały kępy zieleni. Zamek — istny las spiczastych gotyckich wież z wąskimi szczelinami okien — wcale nie wyglądał teraz tak ponuro jak w nocy. Przed wygiętymi łukowato drewnianymi mostami srebrzyła się rzeczka. Odnalazłem wzrokiem bulwar, półkolem otaczający miasto, którym szliśmy wczoraj z Bystrycka.

Z naszego

okna nie było widać morza. Po niebie sunęły obłoki. Wiał lekki wiatr. Na przedmieściu dymiła już jakaś fabryczka.

Odszedłem od okna, siedząc na łóżku wypaliłem papierosa (Tamara bezskutecznie usiłowała oduczyć mnie palenia na czczo) i wyjąłem z nocnego stolika przybory do golenia. Normalnie używałem elektrycznej golarki „Charków”, ale był to luksus nie dla studenta, musiała mi więc wystarczyć zwykła żyletka.

Jeszcze przedwczoraj rano Łarionow i ja nie wiedzieliśmy<sup>7</sup>, który z nas poprowadzi tę sprawę, i przygotowywaliśmy<sup>7</sup> się do niej obaj. Szef wydziału, Szimkus, wezwał nas i po wysłuchaniu raportu dźgnął mnie pustą fiwką w pierś: „Bierz się do roboty!” Wiedziałem, że Łarionow ma ogromną ochotę na tę sprawę. Być może, nawet większą niż ja, bo dopiero co odwiozłem żonę do kliniki położniczej. „Nie martw się o nią — powiedział Szimkus. — Zorganizujemy wszystko na najwyższym poziomie”. Łarionow klepnął mnie po ramieniu: „Leć, stary, ze spokojnym sercem i jasną głową. Kiedy urodzi się twój syn, natychmiast damy ci znać”. „Córka to też nieźle — powiedział Szimkus. — Moja starsza zawraca już chłopcom w głowach i raportuje mi szczegółowo, jak idą sprawy. Jestem jej doradcą w tej materii”. Łarionow zrobił do mnie oko, nasz stary<sup>7</sup> żył w przekonaniu, że w młodości masowo podbijał damskie serca. „Nie mrugaj, nie mrugaj! — parsknął gniewnie. — Myślisz, że tego nie widzę? I w ogóle genug zajmowania się głupstwami, jak powiada moja córka”. „Genug — znaczy po niemiecku dosyć” — z niejaką wyższością wyjaśniłem Łarionowowi. „Geh zum Teufel!” ?— odciął się. „Świetnie podchwycony rostowski akcent” — pochwaliłem przewrotnie. „Do rzeczy,

towarzysze starsi lejtnanci!" — surowo przywołał nas do porządku Szimkus i zwrócił się już tylko do mnie: „Masz zatem pannę, która go śledziła, zeznania Jewgienii Augustowny Stankene, kastet, współlokatorów z hotelu i niejakiego Buscha. Może są to zaledwie kwiatki, a może...” — przerwał. „A może już jagódki” — niezbyt zręcznie dokończył

So

I

w żadnej ankiecie personalnej, a zatem wolał, by w mieście uważano go za nieżyjącego. Z opowieści Kławdii Nikołajew-ny7 wynikało, że w całym powojennym życiu towarzyszył mu strach. Wprawdzie groźni przestępcy niekiedy tak się zachowują, ale czasem wystarczy, że ktoś stchórzy7 w jakiejś jednej sprawie i potem tchórzostwo staje się już stałą cechą jego charakteru. Wszystko zależy7, kim jest ten ktoś. Dlaczego ludzie znający Iszczenkę wystawiają mu tak różne opinie? Bystrycka: „Podły, niesłychanie podły, nie bez powodu go sprzątnięto”. Busch: „Niebywale prawy człowiek...” Żona: „Tchórzliwy, skąpy7...” Puchalski... Puchalskiemu Iszczenko przypadł do serca. Bywa, że o tym samym człowieku krążą sprzeczne opinie: głupi — i mądry, łajdak — i bohater. Każdy mierzy7 własną miarą. Ale przecież któraś z owych opinii jest trafna. Która w tym przypadku? Najchętniej dawałem wiarę żonie Iszczenki, bo Iszczenko z każdym był inny, czuło się, że tkwi w tym nieszczerłość, a wobec żony szybko zrezygnował z gry. „Wydał mi się wtedy prawdziwym mężczyzną” — wspomniałem jej słowa. Jeśli przyjąć takie rozumowanie, Iszczenko mógł być Centaurem. Należałoby7 wówczas założyć, że ktoś rozpoznał w Iszczence przestępcę wojennego i zabił go, mszcząc w ten sposób swych bliskich. Chociażby Wojtyn (co

prawda pozostawało wtedy niejasne, jak go rozpoznał) albo ktoś inny, jeszcze nam nie znany. Ale po co Iszczenko przyjeżdżałby na urlop właśnie tu, gdzie wydał ludzi na śmierć? Cały czas żyje w strachu, ostrożniutko, i nagle — popełnia taki błąd? Dlaczego? Żeby zaznać silnych wrażeń? To do Iszczenki nie pasowało. Niewykluczone oczywiście, że jego przyjazd miał jakąś inną, ale niesłychanie ważną przyczynę! Równie dobrze jednak Iszczenko mógł być nie Centaurem, lecz jego ofiarą. Taras Michajłowicz przyjeżdża do miasta, istotnie czegoś się boi, ale nie ma to żadnego związku z zagładą oddziału, ponieważ nie on jest jej winowajcą. Tak jak przypadkowo spotkał Stankene (nawiasem mówiąc, do dzisiejszego planu zajęć włączyłem odnalezienie Stankene

55

So

Łarionow. Szimkus uważnie i chłodno go obejrzał, w wyniku czego mój kolega zaciągnął się mocno papierosem i zaniósł niezupełnie naturalnym kaszlem. Szimkus dokończył: „A może jagódki. O tym zadecydujesz sam już na miejscu. Wilenkin poleci pierwszy, będzie twoim łącznikiem” — dodał szef.

Przygotowania trwały jeszcze całą dobę. Wczoraj rano zostałem wreszcie sam. Musiałem się skupić. Miałem na sobie dzinsy i koszulę z krótkimi rękawami. Włożyłem kurtkę. Wszystko, co leżało na stole i kanapie, zapakowałem do starej walizki. Ostatni raz przestudiowałem zawartość portfela, choć było to zbędne, bo zdążyłem już przywyknąć do swojej nowej skóry. Pistolet zostawiłem w sejfie, tym razem miałem działać bez broni. Uważam zresztą, że pistolet w kieszeni raczej przeszkadza, przydając zbytniej pewności siebie, a zatem osłabia czujność w

momentach, kiedy jest ona najbardziej potrzebna.

Zjechałem windą. Czekał na mnie samochód. W strugach deszczu pomknęliśmy na lotnisko. Łarionow siedział na tylnym siedzeniu i opowiadał stare dowcipy, żeby „wesprzeć mnie moralnie”. Kierowca hamował tak, że samochód tańczył na mokrym asfalcie. „Wieki całe nie byłem w kinie — snułem swoje myśli. — Wciąż brak mi czasu”.

Zdążyliśmy na lotnisko w samą porę.

Potem siedziałem przy oknie i patrzyłem na Łarionowa, który machnął na pożegnanie. Samolot potoczył się na pas startowy... W pół godziny później byłem już tutaj. Wylądowaliśmy siedem minut przed samolotem z Moskwy.

Głowę miałem tak nabitą myślami, że przy goleniu trzykrotnie się zaciąłem. „W naszym fachu trzeba umieć golić się każdą metodą” - - zauważyłby natychmiast Szimkus. Tak więc pytanie brzmi niczym w powieści kryminalnej: kto zabił? A ponadto: kim był zabity? Niejedno wskazywało, iż Taras Michajłowicz Iszczenko mógł być Centaurem. Starannie ukrywał swój pobyt w leśnym oddziale, nie podając tego faktu i jeśli to tylko będzie możliwe, rozmowę z nią pod jakimkolwiek pretekstem — chciałem wyrobić sobie o niej zdanie), niespodziewanie natknął się na ulicy na prawdziwego zdrajcę. Przy takiej hipotezie pozostaje niejasne, skąd wiedział, że to zdrajca? A wiedząc, dlaczego milczał przez wszystkie powojenne lata? Załóżmy, że Iszczenko obecnie zamierzał go zdemaskować — Wojtyn przecież opowiadał, że Taras Michajłowicz był zdenerwowany, że pisał coś, co potem podarł i ponadto starannie sprzątnął skrawki papieru z popielniczki. Świadomy tego Centaur zabija Iszczenkę. Kim jest Centaur? Najprawdopodobniej kimś

przyjeźdnym, trudno bowiem przypuszczać, że pozostał tu po tym, co zrobił. Dlatego właśnie tyle uwagi poświęcaliśmy jednemu miejscowemu hotelowi „Por-dus”. Oczywiście większość przyjeźdnych” wynajmowała mieszkania prywatne, ponieważ sezon już się zaczął. Ale prywatnie spędzają urlopy przeważnie całe rodziny, natomiast samotni to głównie młodzież, a hipotetyczny wiek Centaura wynosił nieco powyżej czterdziestki. Takich było niewielu, ich przeszłość dokładnie już sprawdzono. Poza tym Centaur nie przyjechałby tutaj na\* urlop, w każdym razie zgodnie z logiką nie powinien tak postąpić. Musiał raczej przyjechać w jakimś określonym celu i zupełnie nie myśląc o Iszczence. Na przykład służbowo. Tak więc skoncentrowaliśmy uwagę na hotelu Zajęto się wszystkimi, którzy7 zajmowali pokoje w „Pordu-sie” i mniej więcej odpowiadali wiekiem Centaurowi. Nie dało to żadnych rezultatów. Ci, którzy wyjechali stąd po piątym czerwca, znajdowali się pod stałą obserwacją. Było ich zaledwie siedmiu. Poza tym morderca niewątpliwie wszystko starannie rozważył i dobrze wiedział, że nie wolno mu wyjechać natychmiast po popełnieniu zbrodni. Musiał szukać osłony w mroku niczym tropione zwierzę. „Jeśli rozbudować tę przenośnię, to w mroku naszej niewiedzy” ?— rozmyślałem, przesuwając żyletkę po policzku. Minie jakiś czas i morderca zagubi się w tłumie... Wtedy7 dopiero nastąpi pora ucieczki!

55

Koniecznej — ponieważ na pewno zameldował się w mieście na podstawie dokumentów, jakich dotychczas używał. Nadchodziły7 najgorętsze dni, przestępca bowiem nie będzie zwlekał zbyt długo. Zachodziło także pewne prawdopodobieństwo, że Centaur po prostu

mieszkał tu na stałe. I codziennie ryzykował spotkani<sup>^</sup> ze Stankene?

Wbrew pozorom ryzyko wcale nie było duże. Stankene jako łączniczka nie znała wszystkich partyzantów i ludzi z nimi związanych, tym bardziej że w ostatnich miesiącach przed wyzwoleniem szeregi oddziału gwałtownie wzrosły, bo masowo przychodzili do niego wahający<sup>7</sup> się dotąd, ci, dla których wynik wojny dopiero teraz stał się oczywisty. Centaur doskonale o tym wiedział. Z całym spokojem mógł jeździć do pracy tym samym tramwajem co Stankene.

Taka wersja budziła jednak pewne zastrzeżenie, a mianowicie to, że morderca musiałby nie pracować lub przynajmniej mieć wolne tego fatalnego piątego czerwca, czy<sup>7</sup> też, jeżeli znajdował się tu służbowo, swobodnie dysponować czasem, ponieważ Iszczenko zamordowany został za dnia, około jedenastej. Ciekawe, że spotkanie trzeciego czerwca, które tak wytrąciło Iszczenkę z równowagi, również odbyło się mniej więcej o tej samej porze. „Czy to spotkanie rzeczywiście się odbyło?” — pomyślałem. Chyba tak... Trzeciego wieczorem Iszczenko był zdenerwowany i coś pisał. Tego samego dnia raniem nie zjawił się w fabryce u Buscha. Busch kłamał na temat zachowania Kławdii Iszczenko. Wątpliwe jednak, by zmyślił całą skomplikowaną historię o odwiedzinach, które nie doszły do skutku. Niby po co? „Istotnie, po co? — rozmyślałem dalej. — Warto się nad tym zastanowić”. Mimo to przyjąłem na razie za pewnik, że Taras Michajłowicz dwukrotnie z kimś się spotykał. Za drugim razem finał był tragiczny. To, że na spotkania zawsze wyznaczano tę samą porę, robiło wrażenie, jakby<sup>7</sup> jakiegoś grafiku. Jakiego? Cholera wie! Dlaczego zamordowano Iszczenkę w biały dzień, i to w dodatku w takim niedogodnym miejscu, jak przechodnie

podwórko? „Dlatego, że o innej porze i w innym miejscu nie mógł być zabity — kontynuowałem swoje rozważania. — Paradoks czy może w tym właśnie kryje się rozwiązanie zagadki?”

Ściśle rzecz biorąc, trzeciego czerwca Iszczenko wcale nie musiał się aż spotykać. Wystarczyło, by tego dnia rozpoznał w kimś ze swego otoczenia Centaura (choćby w Puchalskim). Rozmowa z tym kimś wytrąciła Iszczenkę z równowagi. Stracił ochotę na odwiedzenie Buscha, chciał zostać sam i spokojnie wszystko przemyśleć. A piątego został zamordowany... Możliwy<sup>7</sup> jest także inny wariant, według którego Centaur dawno już trafił w pole widzenia Iszczenki. Jest nim, na przykład, Busch. Trzeciego czerwca zdarza się jednak coś nieprzewidzianego i Taras Michajłowicz odbywa- z Centaurem rozmowę. Jeśli Busch kłamał, to do rozmowy<sup>7</sup> równie dobrze mogło dojść trzeciego wieczorem (ale nie drugiego i nie czwartego, ponieważ Iszczenko pisał swoją notatkę właśnie w nocy z trzeciego na czwarty. Wojtyn wspominał, że działo się to bezpośrednio po powrocie Iszczenki do hotelu, około drugiej. Potwierdzały<sup>7</sup> tę godzinę zeznania pracowników hotelu zebrane przez Siparisa; jeszcze przed przyjazdem do miasta wiedziałem, że Iszczenko przepadł gdzieś do późna właśnie tego dnia, natomiast w pozostałe wracał zazwyczaj przed dwunastą). Tak czy inaczej, trzeciego czerwca okoliczności powodują, że Iszczenko staje się niebezpieczny i piątego Centaur go morduje. Jakie okoliczności? Nie wiadomo

Stosując kryterium wolnego czasu można by<sup>7</sup> podejrzewać Buscha (choć rzekomo przez cały ranek pracował w ogródku widziany<sup>7</sup> przez sąsiadów); Puchalskiego, który tego dnia zjawił się w wytwórni mebli

dopiero po południu, na przesłuchaniu zaś twierdził, że resztę czasu spędził na odległej plaży, ale nawet gdyby wymienił miejską, jego zeznań i tak nie moglibyśmy<sup>7</sup> sprawdzić, ponieważ nikt w mieście go nie znał; oraz Wojtyna, którego nie było w hotelu dokładnie w porze popełnienia morderstwa. Również Bystrycka miała piątego

90

wolne. Jakie przyczyny mogłyby popchnąć ją do zbrodni? R. pewno nie była Centaurem! Dziewczyna mordująca mężczyznę kastetem i ukrywająca trupa za śmietnikiem? Wykluczone! Dlaczego więc śledziła Iszczenkę? Co robiła w momencie morderstwa? Czy zna mordercę? Może Stankene po prostu wydawało się, że Raja Bystrycka śledzi Iszczenkę? Hm!

Poza tym był niejaki Surkin. Zamierzałem się nim dzisiaj, zająć.

No i tajemniczy Siemion (oczywiście pod warunkiem, że Busch mówił prawdę). Kto to jest? Mój wczorajszy „rywal” miał wprowadzić na imię Siemion, ale gdzie tu szukać związków z Centaurem? Morderstwo z zazdrości? Idiotyzm.

Zabójcą mogła być każda z wymienionych osób lub też ktoś zupełnie nam nie znany. „Kwiatki albo jagódki” — przypomniałem sobie pożegnalne słowa Szimkusa. A nuż tamtego należy szukać właśnie z dala od kręgu dotychczasowych podejrzanych? Mister Iks, Czarna Maska! Wciąż błędziłem jak w lesie.

Zdjęcia Puchalskiego, Wojtyna i Buscha pokazano w Leningradzie Korniejewowi i na miejscu — Stankene. Oboje ich nie rozpoznali (Stankene знаła Buscha ze szpitala, gdzie leżał kiedyś z zapaleniem płuc). Ale Centaur niekoniecznie musiał być<sup>7</sup> partyzantem z oddziału. Próbk

charakteru pisma zabitego Iszczenki (zostało po nim wiele papierów), Puchalskiego i Wojtyna (wypełniali karty meldunkowe w hotelu) oraz Buscha (z działu kadr wytwórni mebli zażądano jego życiorysu) poddano ekspertyzie grafologicznej. Porównano je z podpisem Centaura, którym kwitował odbiór niemieckich marek. Wynik ekspertyzy był negatywny<sup>7</sup>, co jednak absolutnie niczego nie przesądzało, ponieważ dysponowano zbyt nikłym materiałem porównawczym. Jeden krótki podpis, kilka zaledwie liter — to za mało. „Sytuacja pod psem — podsumowałem. — Dlaczego akurat pod psem? Dziwne powiedzonko”.

55

— Ranny z ciebie ptaszek, studencie! — przerwał tok-moich myśli

Wojtyn. — Dobrze się wczoraj bawiłeś?

Ciekawe, czy od dawna mnie obserwował.

— Nie najgorzej, ale kiedy wróciłem, naszego współlokatora nie było.

Pewnie bawił się jeszcze lepiej niż ja.

Puchalski wciąż oddychał miarowo i spokojnie.

— Chodziłeś do szprotkowego kantoru w sprawie pracy? — spytał

Wojtyn.

— Nie, dziś tam się wybieram.

— Potrzebne ci plecy?

— Ma pan?

— Chyba nie, skoro nic mi nie pomogły. Tak sobie powiedziałem. Za to znam wielu kapitanów i mogę ci doradzić porządny statek.

— O, do tego jeszcze daleko, ale dziękuję. Najpierw muszę załatwić wszystkie papierki. Zauważyłem, że bardzo niespokojnie pan śpi i mówi przez sen.

— Zdarza się. Co mówiłem? — Nie wiem, nie słuchałem.

Poszedłem do łazienki wypłukać przybory do golenia. Umyłem się i wróciłem do pokoju. Puchalski nadal słodko posapywał,- nasze głosy go nie obudziły. Wojtyn wkładał spodnie.

— Ciekawe, co też mogłem mówić? — wrócił do przerwanej rozmowy. ? — Fowinien pan włączyć na noc magnetofon i rano przeszłuchiwać taśmę. Idziemy na śniadanie?

— Dziękuję za radę. Nie. mój dzień zaczyna się późno. Mój dzień roboczy! Tfu!

— Nasz współlokator nie spóźni się do pracy?

— Frzeć przyjechał tu służbowo. Chodzi do tej swojej fabryki, kiedy chce.

— Wobec tego cześć! — rzuciłem, postanawiając jednocześnie, że koniecznie muszę zobaczyć się dziś ze Stankene.

92

## 12. ZNOWU SURKIN

Zszedłem do hallu, moje kroki zadudniły w jego pustce i w tym samym momencie, jakby tylko na to czekał, w drzwiach z tabliczką „Pokój służbowy”, pojawił się dyrektor hotelu. „Jeszcze tylko jego mi brakowało!

— pomyślałem. — Jakże on się nazywa? Aha, Iwan Siergiejewicz”.

Ruszył prosto w moim kierunku i wyciągnął rękę.

— Jak tam twoje sprawy, przybyszu z Moskwy? Bo przecież jesteś z Moskwy, prawda?

— W porządku! — uciałem krótko.

Nie chciałem zachować się niegrzecznie, ale nie miałem również powodów do szczególnej wydewności.

— Sumienny7 z ciebie człowiek. Pamiętam, jak zbierałeś wczoraj te śmiecie! — Roześmiał się i powtórzy7! swoją żartobliwą propozycję: — „Może jednak przyjdiesz do mnie" na etat sprzątaczkę?"

— Nie ma mowy. Muszę mieć odpowiednie warunki rozwoju.

— Patrzcie państwo! Pensja za mała, co? Pewnie od razu chcesz zostać grubą rybą, przyznaj się!

— Bardzo chcę

— Słuchaj, a co nowego w Moskwie? Byłem tam kiedyś przejazdem, ale niestety w nocy.

Spieszyłem się na spotkanie. Należało unikać zbyt częstych rozmów telefonicznych, a poza tym przez telefon nie wszystko dało się obgadać, bo o n równie dobrze mógł być pracownikiem telefonów. Właściwie dlaczego nie? O n mógł być każdym. „Dyrektorem hotelu też — pomyślałem z rozdrażnieniem. — Stary piernik!"

— Rośnie nam Moskwa. Rośnie wzwyż i wszcz. Od dawna jest pan dyrektorem hotelu?

— Przedtem pracowałem jako kierownik sklepu — odparł wymijająco. — Dlaczego pytasz?

55

W tym momencie na szczęście podeszła do niego dyżurna recepcjonistka, dzięki czemu odczepił się wreszcie ode mnie. Na pożegnanie jednak zapowiedział:

— No, jeszcze sobie przy okazji pogadamy! Zajrzyj kiedyś do mnie, zawsze lubiłem studentów.

Kto mu powiedział, że jestem studentem? Bo ja nie.

W dodatku oglądał mnie z uśmiechem, jakby niedwuznacznie sobie

pokpiwał. Miał twarz rozumnego człowieka i może właśnie na tej podstawie dano mu stanowisko dyrektora hotelu, kiedy nawalił jako kierownik sklepu? Niestety, nierzadko tak bywa.

Wyszedłem na ulicę. Była za pięć dziesiąta. Wolniutko ruszyłem bulwarem. Umówiliśmy się, że będę siedział na ławce po jego prawej stronie, a Wilenkin przysiadzie się do mnie. Znalazłem sobie miejsce, założyłem nogę na nogę, wyjąłem z kieszeni tomik wierszy Jesienina i zacząłem go przeglądać. Kiedy Wilenkin znalazł się już obok mnie, położyłem książkę na ławce. Osłonięty gazetą włożył do niej karteczkę, posiedział jeszcze chwilę i wstał. Sięgnąłem po Jesienina.

W krótkiej notatce komunikowano mi, że w kieszeniach spodni zamordowanego nie znaleziono resztek tytoniu, znajdowały się one natomiast w kieszeniach marynarki. Właśnie! Jak wiadomo, Iszczenko nie palił. Poza tym kiosk przed wejściem do hotelu w dniu morderstwa otwarty był od ósmej do czternastej, prowadząca go staruszka nie oddalała się ani na chwilę. Gdzież więc zniknął na dwadzieścia minut Wojtyn? Kławdia Iszczenko zeznała, że Taras Michajłowicz był skryty. Owszem, lubił sobie pożartować, ale od (ludzi trzymał się z daleka. Nie miał przyjaciół, wystarczyło mu paru zaledwie znajomych, z którymi mógł wypić. Wynikało z tego, iż zarówno Busch, jak i Wojtyn mówili prawdę. Zeznała ponadto, że o ile się orientuje (wyszła za Iszczenkę w czterdziestym siódmym, o jego życiu w okresie wcześniejszym niczego nie może powiedzieć), Iszczenko po wojnie nie bywał w tym mieście. Tak. Co dalej? O! To przypominało popularną audycję radio

55

wą „Na pytanie — odpowiedź”. Dalej bowiem komunikowano mi, że

poranna poczta dostarczyła do miejskiej komendy milicji list z miejscową pieczętą, wrzucony poprzedniego dnia wieczorem. Anonimowy informator donosił w nim, iż zabójcą jest... Surkin Jurij - Pietrowicz. Według posiadanych przez miejscową milicję danych — czytałem — Surkin, pracownik zarządu połowów dalekomorskich, współpracował podczas okupacji z Niemcami. W dniu morderstwa był chory i miał zwolnienie lekarskie. Trzeciego czerwca cały czas był w pracy (z przerwą obiadową od trzynastej do czternastej włącznie). Wszystko to razem wyglądało niesłychanie interesująco. Anonim mógł napisać przestępcę, by zagmatwać śledztwo i odwrócić od siebie uwagę; przemawiał za tym fakt, że piszący wiedział o bezskuteczności dotychczasowych poszukiwań zabójcy. Najprawdopodobniej jednak autorem listu był ktoś, kogo już znaleźmy, i za wszelką cenę należało go odnaleźć. Zajął się tym już na pewno szef miejscowego urzędu bezpieczeństwa Wałdmanis, z którym współpracowałem i od którego pochodziły te informacje. Równie dobrze jednak autor anonimu mógł pisać prawdę i z jakichś sobie tylko znanych przyczyn nie chciał podać swego nazwiska. Tak czy inaczej w krąg dochodzenia włączyła się nowa postać.

Znalazłem na ulicy automat telefoniczny i zadzwoniłem do Buscha, który dał mi wczoraj swój numer. Spytałem, kiedy mam się zgłosić w zarządzie połowów dalekomorskich u Sur-kina. Busch odparł, że Surkin będzie na mnie czekał o pierwszej. „Dzisiaj sobota, krótszy dzień pracy i fabryka pracuje bez przerwy obiadowej” — wyjaśnił. Znakomicie, wobec tego miałem jeszcze sporo czasu.

Zjadłem śniadanie w małej kawiarence na rogu (sześć stoliczków, pogwizdujący ekspres do kawy, schludna kelnerka w białej przepasce na

włosach) i wróciłem do hotelu.

Puchalski już wyszedł, co było mi nie na rękę.

— Nasz współlokator już zniknął? — spytałem Wojtyna.

— Ano widzisz.

85

— Jak on sobie radzi bez marynarki? Teraz też robi się pochmurno, lada chwila zacznie padać.

— Nie będzie deszczu. A marynarkę rzeczywiście miał porządną, zagraniczną. I gdzie też mógł ją zostawić? Łże jak pies, że na plaży. Pewnie łąził po babach i mąż za wcześnie wrócił!

— Ee, Puchalski jest taki cichutki, wcale to do niego nie pasuje.

— Cicha woda brzegi rwie.

— Marynarka była na pewno modna, taka w krateczkę. ' — Co ty tam wiesz! Szara w paski.

No i tak wyjaśniła się tajemnica czarnej wieży. Marynarka należała do Puchalskiego, to on grywał w szachy<sup>7</sup> i machinalnie włożył figurę do kieszeni. „Pamięta pan, jak Julian przyszedł zabić panią de Renal? — niespodziewanie zabrzmiały mi w uszach słowa Kławdii Iszczenko. — Stał z pistoletem za jej plecami i myślał: »Nie potrafię tego zrobić!« A potem pani de Renal otuliła się szalem i przejął ją jakby<sup>7</sup> obca. Wtedy strzelił”.

Dlaczego Taras Michajłowicz Iszczenko był w cudzej marynarce?

### 13. PANI MAŁEGO DOMU

Wojtyn miał rację — chmury zginęły za horyzontem i już po półgodzinie prażyło słońce. Morze było zmełniałe, gładkie jak szklana tafla, unosiła się nad nim mgiełka.

Leżałem na plaży 7 jakieś pięćdziesiąt metrów od małego jednopiętrowego domku ze spadzistym dachem (ogromnie lubię takie dachy 1), nad który 7m sterczał komin i antena telewizyjna. Okna domku by 7ły 7 szeroko otwarte. Na sznurze zawieszonym między dwiema sosnami suszyła się bielizna. Właścicielka domku nazywała się Jewgienia Augustowna Stankene. Była jedną z osób, których fotografie oglądałem

96

jeszcze u nas, w wydziale. Nie, ona była poza wszelkimi podejrzeniami! Ale chciałem sobie z nią porozmawiać, bo czasem warto zamienić z człowiekiem kilka słów.

Na podwórzu stał „Moskwicz”, a pod sosną wyciągnął się na leżaku mężczyzna w szortach, ciemnych okularach i z ostrzyżoną do gołej skóry głową. Od czasu do czasu zdejmował okulary, odkładał je na stoliczek z koślawymi nóżkami i brał stamtąd lornetkę. Obserwował plażę.

Z domku wyszła kobieta z miską i zaczęła zdejmować bieliznę.

— Wstrętne ścierwo ta Stankene! Niech szlag trafi starą jędzę! — usłyszałem z tyłu czyjś głos.

Obejrzałem się. Tuż obok leżał na piasku starzec w długich kąpielówkach i koszulce gimnastycznej. Jego głowę zdobił pognieciony kapelusz. Starzec najwidoczniej nie należał do gorliwych bywalców plaży, bo opalone miał jedynie dłonie i kark. Jasne było, że to ktoś z miejscowych.

— Nie znasz jej? — zdziwił się. Był niezupełnie trzeźwy i wyraźnie rozdrażniony. ?— No, tej baby, która zbiera bieliznę, tak się przecież na nią gapisz. Też masz na kogo, przecież to starucha!

— Co ona panu zrobiła?

— Świństwo, okropne świństwo!

— Jakie?

— Aż niemiło o tym mówić! — uciał i oczywiście natychmiast dał upust swoim żalom: — Postawili tu budkę z piwem, żeby każdy mógł przyjść i wypić kufelek za swoje pieniądze. Ten babsztyl poleciał zaraz na milicję z krzykiem, że tu jest plaża, morze, ludzie nażłopią się piwa i potoną. Czy ona w ogóle wie, co to piwo? Sama nie pije i innym nie da. Pies ogrodnika! No i budkę zamknięto.

— Dziadku, popiłeś już sobie od rana?

— Jeden kufelek — potwierdził niechętnie. — Mnie też chce się pić — rzuciłem.

— To idziemy! — Stary ożywił się i uniósł na klęczki.

1 — Kastet...

97

?— Ale nie piwa, wody.

— A idź ze swoją wodą, wiesz dokąd?

Położył się na wznak i zasłonił twarz kapeluszem. Cała jego postać wyrażała głęboką urazę

— Jak sądzisz, wypada u tej Stankene poprosić o wodę?

— Wypada — prychnął. — Ona jest z tych życzliwych... Wstałem, otrząsnąłem piasek z dłoni, zapaliłem papierosa]

i zostawiwszy ubranie koło starego, ruszyłem w stronę domku.

— Dzień dobry — zwróciłem się do mężczyzny na leżaku. Nic zwrócił na mnie uwagi. Trzymał lornetkę przy oczach, i regulował ostrość. „Znakomita lornetka — zanotowałem odruchowo — Zeissowska”.

W drzwiach domku znów pokazała się Jewgienia Augustowna Stankene,

tym razem z wiadrem.

— Przepraszam bardzo! — zatrzymałem ją. — Czy nie ze-j chciałaby pani poczęstować mnie wodą?

— Dlaczegożby nie? Proszę do domu.

— Szkoda mi wyrzucać papierosa, a z nim nie chciałbym wchodzić do środka. U pani pewnie nie wolno palić w domu?

— Niech pan wchodzi z papierosem.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech. Miała cudownie dobre oczy, jakie spotyka się wśród kobiet pracujących w szpitalach. Nie. chciałem jednak opuszczać podwórka, bo obserwowałem tego na leżaku. Intrygowało mnie, co też on z takim przejęciem ogląda przez lornetkę.

— Nie, nie, dziękuję!

-- Wobec tego proszę poczekać. Zaraz panu przyniosę wody, tylko umyję ręce.

Jak na swój wiek była bardzo ruchliwa (w czasie wojny miała czterdzieści trzy lata). Pojawiła się po chwili i podała mi napełnioną szklanę.

— Może pan pić bez obawy, wodę bierzemy ze studni.

— Ani trochę się nie boję.

— Dlaczego pan pali? — spytała nieoczekiwanie.

„Dziwaczka! — pomyślałem. — Zaraz zaczniesz mi tłumaczyć, że nikotyna jest szkodliwa dla zdrowia”.

— Kiedy miałem szesnaście lat, byłem bardzo nieśmiały — powiedziałem jak najłagodniej. — Zacząłem palić, bo nie umiałem rozmawiać z dziewczętami, a trudno stać jak słup i milczeć. Kiedy się pali, człowiek przynajmniej jest czymś zajęty.

--Wcale nie o to mi chodzi! Spytałam, ponieważ jest pan

kwietnie zbudowany i na pewno ma coś wspólnego ze sportem. Lubie chodzić na stadion, tam trenuje mój wnuk. Mięśnie na pańskich ramionach i piersiach są wyrobione jak u mężczyzn, którzy uprawiają zapasnictwo. Kiedy się pali, trudno jest chyba walczyć, bo to skraca oddech. Pewnie pomyślał pan o mnie, że głupia baba wtrąca się w nie swoje sprawy! — dodała z uśmiechem. — Ze jestem zrzedząca staruszka!

— Ależ skąd! — zaprotestowałem, popijając wodę małymi łydkami. Nie Stankene z pewnością nie myliła się zeznając o Bystryckiej, była bardzo spostrzegawcza.

— Przyjechał pan niedawno? Z Moskwy? „Oho” — pomyślałem.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Słuchałam w radio, że w Moskwie padają deszcze. Za to u nas już od dwu tygodni mamy upał. A pan wcale nie jest opalony.

Kończyłem ostatnio pewną sprawę, pracowałem dniami i nocami i ani razu nie mogłem wyrwać się na powietrze. Ale dlaczego miałem być akurat z Moskwy?

—? Deszcze padają nie tylko w Moskwie.

— Ma pan japońskie kąpielówki w paseczki, noszą je wyłącznie moskwićanie. Wynajmuję pokój pewnej rodzinie z Kijowa — wskazała gestem leżak. — Jego żona mówiła, że chciała mu takie kupić, ale nie dostała, bo można je znaleźć jedynie w moskiewskich domach towarowych. Poza tym są drogie! Pan pewnie jest inżynierem i dobrze zarabia?

55

98

O mało nie podrapałem się w głowę jak człowiek kompletnie zaskoczony.

Przygotowując mój ekwipunek, nie pomyśleliśmy o kąpielówkach i zabrałem po prostu własne, które Tamara istotnie przywiozła z Moskwy. Tak, bystre oczy miała Jewgienia Augustowna, nie na darmo pracowała jako partyzancka łączniczka. Kiedy codziennie staje się oko w oko ze śmiercią, spostrzega się drobiazgi, które czasem decydują o życiu.

— To prezent urodzinowy — wyjaśniłem i zmieniłem temat: — Pani lokator wspaniale się opalił, naprawdę można mu pozazdrościć.

— Po to właśnie ludzie przyjeżdżają nad morze.

Z domku wyszła kobieta z włosami nakręconymi na wałki.

— Sie-emion! — powiedziała kapryśnie do tego na leżaku. —

Napompowałeś prawe koło?

— Teraz jest za gorąco — odparł, pospiesznie opuszczając lornetkę. Miał twarz płaską jak papierowy człowieczek z dziecięcej wycinanki „Ubierz go sam”. — Wieczorem to zrobię, mamusiu.

— Czego tak wciąż wypatrujesz?

— Patrzę na morze, kochanie, jak okręciki sobie pływają. „Masz ci los, jeszcze jeden Siemion! — pomyślałem. — Ale się rozplenili! Wątpliwe, by... Nie mogę przecież rzucać się na każdego Siemiona z pytaniami: czy znał pan Tarasa Michaj-łowicza Iszczenkę? O czym zamierzał z panem porozmawiać?”

— Serdecznie dziękuję — powiedziałem, zwracając szklanę. — Świetna jest ta woda! Czy pani lokator od dawna przebywa nad morzem? Ile potrzeba mi czasu, aby tak się opalić?

— Na zdrowie... U mnie mieszkają drugi dzień. Zwiedzają samochodem wybrzeże i przyjechali tu z Radzute.

— Z Radzute?

— Tak. Skarżyli się, że tam straszny tłok.

„Wobec tego to nie może być on” — stwierdziłem. ?— Jeszcze raz dziękuję i wszystkiego najlepszego!

— Nawzajem. Miłego urlopu — odparła Stankene.

100

Grzęznąć w piasku szedłem w stronę miejsca, gdzie zostawiłem ubranie. Stary siedział i mnie obserwował.

— Gapi się i gapi przez lornetkę! — powiedział z rozdrażnieniem, gdy tylko podszedłem.

— Kto?

— Ten letnik od Stankene! Na baby się gapi! Takiego warto by na milicję, co?

— A pan nie używa lornetki? — spytałem na odczepnego, bo zaczynałem już się spieszyć.

— Jeszcze czego! — obruszył się. — Chwała Bogu i bez tego sobie radzę! Spojrzałem raz jeszcze na dcmek Stankene. Był bardzo niepozorny.

Jewgienia Augustowna przekopywała teraz grządkę w kącie podwórka.

„Przydałoby się tu piękne sanatorium! — pomyślałem. — A najpiękniejszy pokój należałoby oddać w dożywocie właśnie jej, byłej partyzanckiej łączniczce”.

Zgarnąłem ubranie i ruszyłem wzdłuż brzegu, szukając wzrokiem wśród plażowiczów.

#### 14. KASTET Z DĘBOWYM LISTKIEM

Chłopca, który obiecał mi wczoraj kastet, znalazłem dość szybko. Grał właśnie w siatkówkę. Położyłem ubranie na piasku i włączyłem się do gry, stając naprzeciw niego.

Z miejsca podskoczył i grzmotnął we mnie piłką.

Przegapiłem' ją zaskoczony.

Uśmiechnął się ironicznie, więc już świadomie nie przyjąłem następnej piłki.

— To nie łupu-cupu! Tu trzeba myśleć! — zawołał. Chłopaczek widać był z ambitnych.

— Fajnie grasz. Należysz do jakiejś drużyny? — odkrzyknąłem równie głośno.

— Dawno już nie trenowałem. Kiedyś byłem w reprezen

55

tacji swojej uczelni. Jeszcze na pierwszym roku. Potem zrezygnowałem.

— Od razu widać dobrą szkołę! O do licha! Znowu nie odebrałem jego ścięcia.

Wykonał popisowego „szczupaka”, potem, wstając, niedbale podał piłkę przez głowę.

.— Fantastycznie! — powiedziałem. — Może popływamy trochę, bo mocno przypieka.

— Dobra.

Weszliśmy do wody. Bałtyk charakteryzuje się tym, że zanim człowiek dotrze do głębi, ze sto metrów trzeba brnąć przez wodę po kolana.

Stwierdziliśmy zgodnie, że obu nam to nie odpowiada

— Gdzie studiujesz?

— W Kaliningradzie, na wydziale rybołówstwa.

— Kończysz już?

— Jestem na drugim roku.

Teraz dopiero w pełni oceniłem nonszalancję, z jaką rzucił: „Kiedyś byłem

w reprezentacji..." Woda sięgała nam do podbródków. Nie chciał iść dalej

•— W wodzie to ja tego... nie bardzo. Dostaję skurczu w nodze. Wczoraj odpłynąłem za daleko i złapało mnie.

— Stale, tutaj mieszkasz?

— Tak.

Teraz on z kolei zainteresował się tym, co robię. Opowiedziałem swoją „legendę”.

— Ciężko ci będzie podłapać robotę — podsumował ze współczuciem.

?— Cholernie długo trzeba czekać na zgodę.

— Wytrzymam jakoś. W sensie konieczności posiadania środków płatniczych, kapujesz?

— Jasne.

— Ale na tę zabawkę mam forszę — przypomniałem. — Ba, kiedy nic z tego!

„Czyli to były tylko przechwałki” — pomyślałem. Wyjaśnił, że dzisiejszego ranka, kiedy wujek wyszedł do

55

pracy, spenetrował całutkie jego mieszkanie. „Wujek mieszka na drugim końcu miasta. Żona dokądś wyjechała, a ja wiem, gdzie chowają klucze” — dodał. Kastetu jednak nie znalazł. Pamiętał dokładnie, że w ubiegłym roku widział go w skrzynce z narzędziami wśród cążków i śrubokrętów, a teraz znikł. Pocieszyłem go, żeby się nie przejmował, zresztą kastet był pewnie taki sobie, nic nadzwyczajnego. Zaprotestował gorąco: „Kastet pierwsza klasa!” Zainteresowałem się, jak wyglądał.

— Taki na cztery palce, nikłowy. Tutaj miał wypukłość. Tu — jakiś znak, chyba markę fabryczną. — Demonstrował to na swojej dłoni. — Od

wewnątrz dodatkowy Uchwyt.

„A to prawdziwe cuda!” — zdziwiłem się i spytałem: Jaki był ten znak?

— Dębowy listek.

Zgadzało się.- Takim kastetem zabito Iszczenkę. Może właśnie tym?

— Już dawno chciałem wyprosić ten kastet od wujka, ale powiedział, że nie da, bo to jednak broń, chociaż biała, a ja jestem nieodpowiedzialny szczeniak.

„Bardzo słusznie” — pochwaliłem wujka i spytałem ostrożnie:

- Skąd wujek go miał?

— A diabli wiedzą! Pewnie znalazł gdzieś podczas wojny. Miał jeszcze niemieckie Żelazne Krzyże i hełm z rogami, ale to mu ściągnąłem.

— Był na froncie?

— Nie, bo ma bezwładną rękę. Całą wojnę spędził tutaj. Ta-ak! Dalej nie potrzebowałem pytać. Bezwładna ręka to dostateczny trop. W miejscowej przychodni łatwo można się dowiedzieć, kto z mieszkańców miasteczka dotknięty jest takim kalectwem. „Można tak, można też inaczej — medytowałem. — Szybciej i prościej”.

— Brr, zimna woda — powiedziałem.

— Coś ty! W sam raz.

I

1D3

— Nie, idę na piasek.

Jeszcze przedtem, z nawyku, zauważyłem automat telefoniczny. Lubiłem mieć telefon pod ręką. Automat stał na plaży, tuż przy ogrodzeniu, można było z niego korzystać nie wkładając ubrania. Wyszedłem z wody, rozejrzałem się i ruszyłem w jego kierunku.

Przy odrobinie umiejętności można posługiwać się automatem, nie posiadając odpowiedniej monety. Wykręciłem numer, podałem, gdzie jestem, i poprosiłem, żeby mi kogoś przysłano. „Wilenkina?” — usłyszałem pytanie. „Nie, kogoś miejscowego”. Z rozmowy wywnioskowałem, że mówi szef tutejszego urzędu bezpieczeństwa, Wałdmanis. Obiecał przysłać jednego ze swych ludzi, który zna mnie z fotografii. „Jeżeli będę sam, niech się do mnie przysiadzie — powiedziałem. — Wskażę mu chłopaczka, bo to i owo warto by wyjaśnić”. „Nasz człowiek stawia się na miejscu za kwadrans, ubrany w... Kola, jakie masz kąpielówki? W czerwone kąpielówki, on powiada, że bardzo czerwone... W ręce będzie miał czwarty numer »Znamia«”. „W porządku, czekam”.

Rozciągnąłem się na gorącym piasku. Wkrótce wyszedł z wody mój nowy znajomy.

— Och, jak przyjemnie!

— Przestań pryskać.

— Przepraszam. Aleś nam wczoraj dołożył! Jak małym dzieciom. Uprawiasz dżudo?

— Tak.

?— Siedzimy wczoraj z Siemionem i gadamy o filmach, a tu wpada Byczek z krzykiem: „Jakiś gnojek podrywa twoją Rajkę!” To o tobie... „Siedzisz tu i nie widzisz, co się dzieje. Lećże tam prędzej!” Siemion najpierw nie chciał, mówił, że to Rajki sprawa, ale w końcu Byczek go przekonał.

— Oni chodzą ze sobą?

— Coś w tym rodzaju.

— Byczek to ten w białej koszuli?

— Tak. Zrobiłeś go na medal! On jest bardzo silny i ciągle

55

tym się chwali, nareszcie trafiła kosa na kamień. Osobiście całkiem mi to odpowiada, dobrze mu tak! Teraz chodzi i grozi: „Jeszcze się z nim spotkam w ciemnej ulicy!”

— Zobaczymy — odparłem z roztargnieniem. Starannie omijając leżących i wymachując czasopismem w żółtawej okładce zbliżał się do nas młody człowiek w czerwonych kąpielówkach. Istotnie, ich kolorek aż darł oczy! Chłopak był bardzo opalony, przez ramię miał przewieszony ręcznik. Wyraźnie szukał miejsca. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na chwilę. Obojętnie odwróciłem głowę, ale natychmiast wróciłem do poprzedniej pozycji, bo usłyszałem:

— Cześć, Boria!

Nad nami stał pracownik Waldmanisa. ? Przez moment nie zdołałem opanować zaskoczenia. Za to mój nowy znajomy bynajmniej nie był zdziwiony.

— Cześć! Już dawno cię zauważyłem. Udajesz, że mnie nie widzisz, zadzierasz nosa! Masz dziś wolne?

— Urwałem się z roboty.

— To mój kumpel — wyjaśnił mi chłopaczek. — Kolka. Pracuje w milicji czy coś w tym rodzaju, w ogóle podejrzany facet. Ale bić się umie na medal, coś jak ty.

Wreszcie do mnie dotarło.

— Okazuje się, że jesteśmy imiennikami — wyjaśniłem chłopcu moje zaskoczenie. — Ja też mam na imię Borys — wyciągnąłem rękę do

przybysza.

— Mikołaj.

Znali się, co znakomicie ułatwiało sprawę.

— Kładź się przy nas — zaproponował mój imiennik.

— Nie, czekam na dziewczynę — odparł Kola. — Jest okropnie nieśmiała i może się was przestraszyć.

Podszedł do ogrodzenia, rozłożył ręcznik i wyciągnięty na nim zaczął przeglądać czasopismo. Wkrótce potem Boria pobiegł grać w siatkówkę.

Wstałem i leniwie ruszyłem skrajem plaży. Po jakimś czasie Kola dogonił mnie. Szliśmy prawie obok siebie.

105

— Znacie go dobrze? — spytałem wpatrzony w dymiący patrolowiec na horyzoncie.

— Mieszkaliśmy w tym samym domu, na jednym piętrze, Borys studiuje obecnie w Kaliningradzie i przyjeżdża tu na wakacje. To całkiem niezły chłopak, nigdy dotąd nie mieliśmy z nim kłopotów.

— Nie o niego chodzi — uspokoiłem Kole. — Nie wiecie przypadkiem, kim jest jego wujek?

— Wiem. .

— No? — przynaglałem.

— To ten, którego wymieniono w anonimie. Pracuje w zarządzie połowów dalekomorskich. Nazywa się Surkin.

Gwizdnąłem cichutko.

15. NA PLAŻY —CIAĞ DALSZY

Do pierwszej było jeszcze daleko.

Postanowiłem podejść brzegiem morza do ulicy Prudisa' i odnaleźć

Bystrycką. Skinąłem ręką Borysowi, który porwany grą nawet tego nie zauważył. Słońce prażyło bezlitośnie,] zaczęły mnie już piec ramiona. Zawsze mam z tym kłopoty,, kiedy pierwszy raz wybieram się na plażę. Żona ze mnie pokpiwa, że „niezłomny starszy leitnant wysiada wobec jakichś tam promieni słonecznych". Ani na chwilę nie opuszczała mnie świadomość, że Tamara leży teraz w klinice i czeka. Przed odlotem zdołałem jakoś wykroić pół godzinki i zajrzałem do niej. Stała przy oknie, nie opierając się o parapet. Powiedziałem, że nasz stary zapędził mnie do robienia wyciągów ze starych spraw. „Jak tak dalej pójdzie, zamienię się w archiwalnego szczura" — dodałem beztróska. „Wtedy też plotłeś coś o archiwum, a potem dwa miesiące przeleżałeś w szpitalu" — odparła. „Czyżby? — Zupełnie wyleciało mi z głowy, że wówczas użyłem tego samego wybiegu. — No,

55

zdarzyło się raz! Wiesz doskonale, że to się już nigdy nie powtórzy, a poza tym, jak ci wiadomo, urodziłem się w czepku i w ogóle mam niezwykle szczęście. Zawsze spadam na cztery łapy". „Tak, wiem" — rozplakała się... Może Tamara już nie czeka i ma to za sobą? Było mi diabelnie przykro, że nie mogę być przy niej.

Wzdłuż całego brzegu ludzie taplali się w wodzie. Plaża też była pełna. Ludzie byli różni — źli i dobrzy, weseli i smutni, mądry i głupi. Możliwe, że on był wśród nich. Albo jechał teraz tramwajem, stał w kolejce po piwo, siedział za biurkiem? Był niewątpliwie mądry. Niewykluczone, że pogodny. Zwyczajny, przeciętnie ubrany, nie wyróżniający się niczym... Szedłem nad samą wodą wąskim skrajem mokrego piasku. Nogi nie grzęzły i szło się wygodnie jak po ubitej drodze. Spostrzegłem wreszcie

Bystrycką, a obok niej Siemiona.

— Witaj, Rajeczko! — powiedziałem zerkając na niego z ukosa. — Co za wspaniały kostium i bardzo pani do twarzy w tym kolorze! •

— Dziękuję za komplement. Widzę, że humor dopisuje.

— Bo pogoda, Rajeczko!... Pierwsza klasa, jak mawia pewien mój znajomy. Wyspała się pani?

— Owszem. Jak trafił pan wczoraj do hotelu?

Siemion otoczony kłębamii papierosowego dymu ponuro patrzył w morską dal.

— Doskonale! Tylko... — urwałem — tylko bałem się, że zmoknę. Ale deszczu nie było.

— Mówiłam przecież, że nie będzie! Poznajcie się — oto mój wierny rycerz Sioma.

— Borys — wyciągnąłem do niego rękę. „Rycerz” uścisnął ją bez entuzjazmu i mruknął:

— My się już znamy.

Usiadłem na piasku i pedantycznie składałem ubranie

— Kiedy zdążyliście to załatwić? — Bystrycką nie kryła zdumienia.

107

Siemion nabrał" powietrza do płuc i prześliznąwszy po mnie wzrokiem, wypalił:

— Chcieliśmy obić mu wczoraj mordę.

Ten facet ma charakter! Nie skorzystał z zaoferowanej przeze mnie możliwości przemilczenia wczorajszej historii, a nawet nie potrzebował kłamać, wystarczyło, by po prostu milczał.

— Za co?

— Żeby się do ciebie nie dostawiał!

?— Ach tak? — parsknęła niemiłym śmieszkiem. — A cóż to ciebie obchodzi? Mówiłam ci już sto razy, że chodzę, z kiml zechcę i kiedy zechcę. Dość mam tej twojej opieki! Co to za smarkaczowskie wybryki? Siemion milczał kopiąc piętą dołek w piasku.

— No?

— On nam przyłał — powiedział niechętnie.

— To wspaniale! Ogromnie się cieszę! Poza tym co to znaczy „nam”?

Sprowadziłeś swoich koleżków, całą groma-’ dę na jednego?

— On jest zapaśnikiem — oświadczył Siemion.

Bystrycka objęła mnie taksującym spojrzeniem, co wy-( padło niesłychanie kokieteryjnie. Nagle zrobiło mi się żal Siemiona — wyglądał przy niej jak chłopczyk. „Najpierw go pomęcz, a potem wyda się prędziutko za jakiegoś przyjezdnego inżynierka” — pomyślałem. Zresztą może nie miałem racji, ale teraz, kiedy obserwowałem jej zachowanie wobec Siemiona, wydała mi się zdecydowanie niesympatyczna. No i coś ją jednak łączyło z Iszczenką.

— Jaka dziś woda, towarzyszu zapaśniku? — spytała.

— To zależy.

— Nie rozumiem?

— Co? Ach, woda! Woda jest całkiem przyjemna... Wie pani, myślałem akurat o Iszczence, no, o tym, którego zabili. Mówiła pani wczoraj o nim z taką niechęcią, natomiast moi

55

współlokatorzy z hotelu twierdzą zgodnie, że był czarujący. Dziwne, prawda?

— To był drań! — szybko powiedziała. — A ten pański rybak to alkoholik. Sprzątaczką skarżyła się, że pod jego łóżkiem jest cały skład pustych butelek.

— Widzę, że budzi w pani zdecydowaną antypatia. Dlaczego?

— Tak po prostu!

— Mnie tam Taras Michajłowicz podobał się — wtrącił nagle Siemion.

— Znałeś go? — spytałem obojętnie.

— Tak, widywaliśmy się, kiedy przychodziłem do Rajki do hotelu. Był dobroduszny i serdeczny, w ogóle swój chłop!

— Ty to się nie znasz na ludziach! On... — Bystrycka raptownie urwała. W tej samej chwili do jej stóp dotoczyła się piłka, którą ktoś z grających ściał zbyt energicznie. Dziewczyna wstała i odrzuciła ją pewnym, dobrze odmierzonym ruchem.

W kostiumie w paseczki i ze wspaniałymi lśniącoymi włosami wyglądała bardzo efektownie. Jeden z grających obok w preferansę mężczyzna aż westchnął głośno.

Uśmiechnęła się i kiedy z powrotem siadła, w jej oczach nie było już śladu zmieszania. Gdyby nie to, że uważnie śledziłem każdą zmianę w jej twarzy i każde drgnięcie głosu, niczego bym nie zauważył.

Położyłem się na plecach, zakładając ręce pod głowę. Niebo było czyste, błękitne, jego monotonię naruszał jedynie ślad odrzutowca. Od strony morza dobiegał plusk wody, uderzenia w piłkę i śmiech. Ogarnęło mnie błogie uczucie, zmrużyłem oczy.

— Jakie dziwne ma pan blizny na boku — zauważył Siemion. —

Wyglądają jak dziurki.

?— To? A, nic wielkiego. — Opuściłem ręce i zmieniłem pozycję.

Niedobry miałem ten znak szczególny.

Siemion nie był na wojnie, ale każdy człowiek, który walczył na froncie, natychmiast mógł w tej bliźnie rozpoznać ślady po ranie postrzałowej.

Teraz dopiero zauważyłem, że niedaleko od nas opalała się Kławdia Iszczenko i spoglądała w naszą stronę. Obok niej leżał wsparty na łokciu czterdziestoletni mężczyzna, chudy i bardzo czarny. Opowiadał jej coś z rozbawieniem. Z boku leżał złożony starannie oficerski mundur. „Ona ma uczucie, że uciekła z więzienia” — pomyślałem.

Zapraszająco pomachała mi ręką.

Zrobiłem gest, że niestety nie mogę podejść, bo jestem w towarzystwie.

Bystrycką zauważyła naszą pantomimę. Korzystając z okazji postanowiłem kontynuować temat „Iszczenko” w nadziei, że zdołam się może zorientować, czy Siemion jest właśnie tym Siemionem, o którym wspominał Busch.

— To żona zabitego — powiedziałem — a właściwie wdowa po nim.

Była znacznie od niego młodsza i chyba nie martwi się zbytnio jego śmiercią. Dzisiaj ją poznałem.

Siemion w ogóle na to nie zareagował.

Za to Bystrycką ułożyła się wygodnie i zaczęła tamtą obserwować.

— Patrzy pani na nią jak na wroga — zauważyłem.

— A pan zbyt pochopnie zawiera znajomości — odcięła się. — Ta osoba zanadto się maluje i w dodatku ma już pomarszczoną szyję.

Ogarnęło mnie nagle straszliwe zmęczenie. Przez dwa dni nieustannie zastawiałem na ludzi najrozmaitsze pułapki i znajdowałem się w stałym napięciu. Poczułem potrzebę samotności, wypłynięcia daleko w morze.

Wyjąłem z kieszeni spodni zegarek. Było piętnaście po jedenastej.  
— Idę pograć swoje blade ciało w falach Bałtyku. Szybko minąłem pas  
płytkiej wody, gdzie schroniła się  
przed upałem większość amatorów kąpieli. Potem odbiłem

110

się stopami od dna i popłynąłem, energicznie i miarowo wyrzucając  
ramiona.

Kiedy byłem już daleko, odwróciłem się na plecy. Brzeg wyglądał jak  
wąziutki paseczek. „Trzeba natychmiast wracać — pomyślałem. —  
Powinienem być punktualny i wyrzeć na Surkinie korzystne wrażenie,  
choć niewykluczone, że będziemy musieli dziś go zatrzymać i cała ta  
zabawa nie ma sensu”. Nie byłem tego jednak pewny. Przez Kołę  
przekazałem Wałdmanisowi wszystko, co wiedziałem, i zapowiedziałem,  
że wieczorem sam się u nich stawię. Surkin był już, oczywiście, pod  
obserwacją, ale nie opuszczało mnie uczucie, że do finału jeszcze daleko.  
Podpływając do brzegu znów czułem się energiczny i skoncentrowany.  
Wyszedłem na plażę, rozejrzałem się w sytuacji.

Chudy oficer polewał chichoczącą i opędzającą się przed nim Kławdię  
Iszczenko wodą z czepka kąpielowego. Bystrycką i Siemion z zapalem o  
czymś dyskutowali.

Kiedy mnie spostrzegli, zamilkli.

— Pardon! — powiedziałem. — Nie będę przeszkadzał w waszej intymnej  
rozmowie i zaraz znikam. Wrzucę tylko na siebie spodnie.

— Dokąd panu tak spieszo? — zaprotestował nagle Siemion tonem  
gospodarza, który 'namawia gościa, by posiedział „jeszcze troszeczkę”.

Chętnie porozmawiałbym z każdym z nich oddzielnie, ale kolektywna

pogawędka mnie nie bawiła.

• — Życie ma swoje wymagania. Trzeba wreszcie pomyśleć o sprawach fundamentalnych, czyli o forsie. Idę starać się o pracę • — zbyłem go, ponieważ był już najwyższy czas, żeby pędzić do Surkina.

55

## 16. CZY TO ON?

Przy wejściu z tabliczką „Zarząd Połowów Dalekomorskich” zwolniłem kroku, bo chciałem się trochę rozejrzeć.

Ulica była wysadzona starymi topolami, wiatr toczył po jezdni sypiący się z nich puch. Fronton domu, jak i wielu innych w tym mieście, nosił ślady kul. Niemcy, czując nadchodzący koniec, stawiali tu w czterdziestym czwartym desperacki opór. Przy wjeździe do miasta widniały rozbite bunkry — obejrzałem je jadąc autobusem z lotniska. Były to pozostałości potężnej Unii umocnień.

„Dzisiaj wszystko to przeszło do historii. Okopy porosły pokrzywami i łośpianem, chłopcy bawią się tam pewnie w chowanego — rozmyślałem. — Przeszło, ale niestety niezupełnie. Moja praca nie bardzo przypomina badania historyka”.

Przy wejściu tłoczyli się rybacy.

— Znasz Wańkę Szyłowa? Spisał się na brzeg, robi już w porcie.

— Ja też się spiszę. Morza mam po dziurki w nosie!

— Święta racja! Wciąż tylko czyraki, reumatyzm... Życie brzydnie!

Minałem ich. ,

Zatrzymałem się przed drzwiami z numerem 7. Na tabliczce widniały trzy nazwiska: „Wiszniauskas R. M., Szip-ko J. K., Surkin J. P.” Pchnąłem drzwi z matową szybą i znalazłem się w pokoiku nieodparcie

przywodzącym na myśl klatkę. Trzy biurka, na każdym stosy tekturowych teczek z nadrukiem. „Akta nr...” W kącie siedziała kobieta i z pasją stukała na maszynie.

— Jurij Pietrowicz? ?— spytałem lakonicznie, by jej nie przeszkadzać.

— Wszedł! — odparła równie zwięźle, odrywając się na moment od pisania i spoglądając na mnie.

— A kiedy będzie?

— On mi się nie melduje.

55

Wyraźnie nie przypadłem jej do gustu.

Na parapecie stał asparagus. Dotknąłem palcem ziemi w doniczce — była zupełnie sucha.

— Kwiatki trzeba podlewać, bo inaczej zmarnieją — poradziłem. — Więc kiedy będzie Jurij Pietrowicz?

— Wiem, że kwiatki trzeba podlewać, bo inaczej zmarnieją. — Wydobyła chusteczkę i z furią wydmuchała nos. ?—Mówiłam już panu, że nie mam pojęcia!

Przyglądałem się jej uparcie.

— O co jeszcze panu chodzi?

— Gdzie pani złapała katar przy takich upałach? Odwróciła się obrażona.

— To pani na pewno jest Szytko J. K. — kontynuowałem z ożywieniem.

— Nie ulega wątpliwości, że Wiszniauskas i Surkin są mężczyznami. Dla pani zostaje więc Szytko. Tylko jak należy rozszyfrować J. K.?

W tym momencie wszedł Surkin.

— Pan na mnie czeka?

— Chciałbym rozmawiać z Jurijem Pietrowiczem Surkinem.

— To znaczy ze mną.

— Dzień dobry — powiedziałem, przydając memu głosowi nieco zażenowania. — Gienrich Osipowicz mówił rni...

— Pan przychodzi od Buscha? Doskonale. Proszę siadać,

o tutaj, i niech pan nie zwraca uwagi na panującą u nas ciasnotę.

Przepraszam, że musiał pan czekać.

Usiadłem, ale nic zaczynałem rozmowy, zezując na kobietę

i udając, że krępuje mnie jej obecność.

— Wyjdę, bo widzę, że przeszkadzam temu młodemu człowiekowi — rzuciła z przekąsem.

Moje rachuby nie zawiodły. Wolałem rozmawiać z Surkinem w cztery oczy. Kobieta wypłynęła z pokoju z dumnie wzniesionym czołem, głośno trzaskając drzwiami.

— Żelazny charakter! — skomentowałem z szacunkiem.

— Proszę nie zwracać na nią uwagi.

Nareszcie mogłem mu się przyjrzeć. Szczupły, ubrany

8 — Kastet.

113

w jasną koszulę, jedną rękę miał wyraźnie cieńszą. Niewątpliwie należał do impulsywnych z natury nerwicowców, ale obecnie niczym nie przypominał tego przestraszonego człowieczka, który podglądał przez, uchylone drzwi finał mojej wizyty u Buscha. „Rankiem w dniu morderstwa zalał sąsiadowi łazienkę” — przypomniało mi się nagle.

— No więc proszę wyjaśnić szczegółowo, czego pan sobie ode mnie życzy

— poprosił, opierając łokcie na biurku i splatając dłonie pod brodą

Wyłuszczyłem mu moją prośbę? — Chce pan popływać i zakosztować

morza? Potwierdziłem, że właśnie tak. ale poza tym chodzi mi o zarobek

— Pieniądzy nikt nigdy jeszcze nie odmówił, he, he! Pan studiuje?

— Tak

— Niełatwa sprawa z tym wyjściem w morze. Trzeba załatwić sporo formalności. Między innymi niezbędna jest opinia z pańskiej uczelni, taka sama jak przy wyjazdach za granicę.

— Oto ona!

Wyjąłem z kieszeni opinię, potwierdzoną przez jeden z moskiewskich dzielnicowych komitetów partii (przysłano ją tu pocztą służbową), i położyłem przed Surkinem. Przeczytał opinię dwukrotnie, poszukał nie wiadomo czego na odwrocie i powiedział:

— W porządku. Podpisy są, pieczętki też. Ale to jeszcze nie wszystko. Pan jest zameldowany na stałe w Moskwie?

— Oczywiście.

— Wobec tego nie mogę dać panu pracy u nas. Trzeba było poszukać sobie czegoś na miejscu.

Nie, wcale nie był zależny od Buscha, jak początkowo sądziłem, a w każdym razie nie spieszył się, by spełnić jego prośbę.

— Przecież w Moskwie nie ma Bałtyku! — zaprotestowałem.

114

— Doskonale o tym wiem, ale niczym nie mogę panu pomóc. Przepisy mi nie pozwalają.

— Jakże to! — obstawałem przy swoim. — Muszę znaleźć dorywczą pracę. Jestem studentem. Czy naprawdę niczego nie można tu poradzić?

— Raczej nie.

— Mam jeszcze jedno pisemko! — „przypomniałem” sobie, wyjmując z

kieszoni urzędowy blankiet. — Zwracałem się w tej sprawie do waszej centrali. Przyjęto mnie tam życzliwie i napisano tu, że proszą, by mi pomóc.

— Centrala? — spytał Surkin, sięgając po pisemko. — Podlegamy im, to nasza władza, zatem ich rekomendacja całkowicie zmienia sprawę, czemu od razu pan p niej nie powiedział? Tak, podpisał Radin. Znam go, a jakże! Był pan u niego?

— Tak. Opowiedziałem mu o swoich studenckich kłopotach. To niebywale życzliwy człowiek.

— Wiem o tym, ma pan rację. I świetny, po prostu świetny szef!

„Ach, ty cwaniaku!” — pomyślałem.

Zdawać by się mogło, że cała ta rozmowa nie miała nic wspólnego z naszą sprawą. Pozwoliła mi jednak wyrobić sobie pogląd na Surkina — niedostateczny, aby wyciągać końcowe wnioski, ale zawsze coś to już było. Surkin niczym wprawdzie nie przypominał Centaura, lecz koncepcję, że zabił właśnie Centaur, przyjęliśmy jedynie hipotetycznie. Na razie brakowało na to dowodów. „Mamy jeszcze w zapasie kastet” — dodałem w myśli

— Tak, rekomendacja całkowicie zmienia sprawę! — powtórzył Surkin, studiując pismo z centrali. ?— Mimo to jednak — tu uniósł palec — będzie pan musiał poczekać. Zanim sprawdzimy pańskie dane osobowe, to, sio... sam pan rozumie.

Choć znałem tę procedurę doskonale, spytałem bezradnie:

— Co tu robić? Jestem zupełnie bez pieniędzy! Myślałem, że załatwię pracę znacznie szybciej!

— Szczerze mówiąc, powinien pan być pojechać" raczej do Radzute, bo to i centrum rejonu, i duży port, znacznie większy od naszego. No, ale stało się! Nie boi się pan ciężkiej roboty? Mogę pana skierować chwilowo do portu do pracy na akord. Ale też nie wcześniej niż w połowie tygodnia, bo brygadzysta akurat choruje, a nie chciałbym załatwiać tej sprawy bez niego. Urządza to pana?

Byłem wprost zachwycony.

— Dziękuję! — wyraziłem mu swoją wdzięczność. — A wasze miasteczko jest bardzo sympatyczne, ładne i takie spokojne, miło będzie tu pomieszkać. Myślę o tym z przyjemnością.

— Owszem, owszem — przytaknął z roztargnieniem.

— Chociaż ze spokojem chyba przesadziłem, bo Gienrich Osipowicz opowiadał mi, że niedawno popełniono u was morderstwo. Słyszał pan może o tym?

— Busch coś wspominał dziś rano, dawno się nie widzieliśmy. Przedtem jakoś nic nie słyszałem. — Potarł nerwowo policzek.

— Ludzie mówią, że to był nieszkodliwy staruszek.

— Kto?

— Ten zamordowany.

— A tak, tak?

— Znał go pan?

— Co? Nie, skądże! Widziałem tylko przelotnie u Buscha. Więc niech pan wypełni tę ankietę w dwu egzemplarzach, poza tym proszę napisać życiorys. Potrzebne będą także zdjęcia o specjalnych wymiarach: cztery na sześć, w owalu. W zakładzie fotograficznym wiedzą już jakie. To niedaleko stąd, na Prudisa, tylko trochę wyżej. No i będziemy czekali. W

sprawie pracy w porcie proszę zająć do mnie w środę.

— Dziękuję bardzo. ?— Uniosłem się z krzesła. — Ale z fotografiami lepiej pewnie nie zwlekać? Ponadto ankieta... Wobec tego wpadnę w poniedziałek.

— Dobrze. I niech pan uzbroi się w cierpliwość.

55

— Tak jest! Niemiec powiedziałby w takim wypadku: „Wenn man keine Wahl hat, muss man sich fiigen". Uczę się niemieckiego na studiach i stąd utkwiło mi w głowie tyle tych powiedzonek — wyjaśniłem przepaszająco i usiadłem. ?— Pan zna niemiecki?

— Owszem, owszem. Rozumiem prawie wszystko, przeżyłem okupację, ale mówię słabiutko... Gdzie pan mieszka? W hotelu?

— Tak. Pokój trzysta pięć — zawiesiłem głos, ale na twarzy Surkina nie odmalowała się żadna reakcja. — A wie pan, w tym samym pokoju mieszka Wojtyn, jeden z rybaków. Zna go pan?

— Jeszcze jak! To pijak, przynosił wstyd naszej instytucji. — Surkin sposepniał. — On w ogóle ma trudny charakter. Takich na morzu nie lubią!

— Pan sam kiedyś pływał? — nie wytrzymałem.

— Zdrowie mi na to nie pozwala, ale znam rybaków nie najgorzej.

— Wie pan, dlaczego Wojtyn pije?

— Czy to nie wszystko jedno? Dla mnie istotny jest sam fakt.

— Nie wiem, czy to słuszne.

Rozmowę naszą przerwało wtargnięcie dwóch rybaków sprzeczących się o coś zajadle.

— Zabrałem panu dużo czasu. Do widzenia, zgłoszę się w poniedziałek —

pożegnałem Surkina.

— Życzę powodzenia.

Zagłębił się w papierach, rzuciwszy jednemu z interesantów:

— Chwileczkę. Pamiętam pańską sprawę, zaraz znajdę kopię decyzji.

Szedłem korytarzem rozmyślając o Surkinie: jest w nim jakiś niepokój i wewnętrzne napięcie, czegoś się boi...

117

## 17. DWIE FILIŻANKI KAWY

Miasto buchało zarem.

Iść można było tylko po zacienionej stronie ulicy. Wystawy, jasne ściany domów i przejeżdżające samochody błyszczały tak, że musiałem mrużyć oczy. W wąłym cieniu drzewa leżał ledwie zipiący pies z wywieszonym czerwonym jęzorem, kompletnie wykończony przez upał. Liście drzew zastygły w całkowitym bezruchu.

Po drugiej stronie ulicy, w restauracji pod markizą, spostrzegłem Puchalskiego. Palił papierosa, siedząc samotnie przy pustym stoliku: czekał prawdopodobnie na kelnera. „Znakomita okazja, zjemy razem obiad” — postanowiłem. Nadal działałem po omacku i chwytalem każdy trop

— Nie przeszkadzam, Nikołaju Gawriłowiczu? Odwrócił się gwałtownie.

— A, to pan! Ze spaceru? Prześcigaliśmy się wręcz w uprzejmościach.

— Głód mnie przygnał. Pan już zamawiał?

— Czekam na kelnera.

— Znakomicie! Wobec tego dotrzymam panu towarzystwa. Można?

Nie zaprotestował, ale i nie zachęcał. Z nawyku usiadłem tak, by widzieć wejście i ulicę. (Puchalski siedział twarzą do mnie). Rozwaliłem się na

fotelu, położyłem na stole papierosy i zapalki.

— Ale upał!

— Straszny!

— Kapał się pan dziś?

— Trochę.

— Nie widziałem pana na plaży. Gdzie pan zazwyczaj się opala?

— Daleko, aż na wydmach,

— Ach, tak! Tutaj też jest niezłe

— Nie lubię tłoku i mam po temu swoje powody

118

To był argument, choć chętnie usłyszałbym coś bliższego o tych powodach. Puchalski jednak nie zamierzał wdawać się w szczegóły. Ja zaś postanowiłem zwierzyć mu swoje kłopoty związane ze znalezieniem pracy i zasięgnąć jego rady. Ludzie pokroju Puchalskiego lubią udzielać rad i na ogół usposabia ich to życzliwie wobec rozmówcy.

— Pieniądze można zarobić lówniej na łodzi — wyjaśnił pobłaźliwie, kiedy skończyłem. — Niekoniecznie trzeba pchać się po nie diabłu na rogi

— Ale nie takie! Muszę przecież jakoś się ubrać i jeszcze posłać matce.

Stypendium to o wiele za mało.

Z uśmiechem poprawił okulary w cienkiej złotej oprawie.

— No proszę, niech pan powie, gdzie jeszcze można za jednym zamachem zgarnąć taką kupę forsy?

Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, ale nie odpowiedział.

— Mam rację?

Wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę ulicy. Robił to już po raz drugi w ciągu dziesięciu minut, jakby na kogoś czekał.

— Ale, ale! — wykrzyknąłem, jakbym nagle coś sobie przypomniał. — Pan pracuje w meblarstwie, prawda? Chciałem tym obarczyć Buscha, ale jakoś mi niezręcznie, bo on uważa, że ma wobec mnie zobowiązania z powodu tej historii... Otóż kiedy wyjeżdżałem, mój profesor prosił mnie, żeby skombino-wać dla niego segment do gabinetu. Taki do zmontowania, jakie robią tu, na Wybrzeżu Pytałem w sklepie (w przewidywaniu, że tak pokieruję rozmową, specjalnie tam wstąpiłem), ale miewają je bardzo rzadko. Czy nie dałoby się tego załatwić bezpośrednio w wytwórni? Rozumie pan, prywatnie... — Uśmiechnąłem się głupkowato i podrapałem w głowę. — Profesor jest bogaty, na pewno nie pożałuje pieniędzy. — Dlaczego nie chce pan porozmawiać z Buschem? — Odniosłem wrażenie, że nie jest człowiekiem, z którym mógłbym się w tej kwestii dogadać — wyznałem, zniżając konfidencjonalnie głos.

55

— A jakie wrażenie pan odniósł na mój temat? Speszyłem się. — Ja przecież... — Dobrze, Boria, tak właśnie ma pan na imię, prawda? Spróbuję się zorientować. — Zdaje się, że moja kontuzja usposobiła go życzliwie. — Ale od razu uprzedzam, że to drogo kosztuje. ?— Co mnie to obchodzi! Wyślę depeszę i staruszek natychmiast sypnie moniakami — wykrzyknąłem zapalczywie. — Ale się ucieszy! Robię u niego pracę dyplomową, wie pan... — Rozumiem, — Długo pan tu jeszcze zostaje? — własny głos wydawał mi się zbyt natarczywy i obłudny. — Dlaczego pan pyta?

— Och, nic szczególnego, zależy mi na załatwieniu tego segmentu.

— Moja delegacja kończy się za trzy dni.

W tym momencie spostrzegłem młodego człowieka, który podchodził do naszego stolika. Miał modne ciemnozielone okulary zakrywające pół twarzy, a na wskazującym palcu obracał łańcuszek z kluczykami samochodowymi i breloczkami. Puchalski go nie widział. Gdyby Puchalski był tym, za kogo go brałem, powinien mieć duże doświadczenie w organizowaniu takich spotkań.

— Ba! Oto gdzie się pan ukrywa przed marnościami tego świata! Idę sobie, patrzę, a to pan! — zawołał przybyły, i chwytając spojrzenie Puchalskiego, niedostrzegalnie wskazał mnie oczami

— Prosimy do towarzystwa — zachęcił Puchalski. — To mój współlokator z hotelu, Boria. Poznajcie się.

Poznaliśmy się. Młody człowiek zakomunikował, że mamy dziś okropny upał. Przyjęliśmy to w milczeniu. Potem zapadła cisza. Przyszedł wreszcie kelner. — Zamówiłem obiad, natomiast ta coraz bardziej intrygująca mnie parka poprzestała na dwóch filiżankach kawy. Doszli widocznie do wniosku, że jestem nie

55

s/kodliwy, choć niewątpliwie woleliby spotkanie bardziej kameralne.

— Znów mamy trzydzieści stopni — przerwał milczenie Puchalski.

— Chyba więcej! — oświadczył młody człowiek.

—? Tutejsze powietrze jest znacznie słabiej utlenione niż nad Morzem Czarnym.

?— Iw ogóle gorsze! — poparł Puchalskiego przybyły.

Gmerałem łyżką w niesmacznej zupie. Młody człowiek schował kluczyki

do kieszeni i zajął się z kolei okularami, kręcąc nimi w powietrzu. Kiedy je zdjął, zobaczyłem sprytne, ruchliwe oczki. Wodził nimi po kelnerkach, kobiecie przy sąsiednim stoliku i w ogóle siedział jak na szpilkach.

Odsunąłem talerz z zupą i poprosiłem o drugie danie. Bałem się, że odejdą, ale podczas gdy młody człowiek kończył już swoją kawę, Puchalski wyraźnie się nie spieszył. Łokciem przyciskał złożoną gazetę. Tamten pociągnął ją ku sobie.

— Jadę za chwilę do Pałniaj — powiedział. — Droga nudna, niech pan chociaż użyczy mi gazety, to poczytam sobie.

— Dzisiejsza? •— spytałem. — Można zajrzeć?

— Stara — pospieszenie odparł Puchalski.

Młody człowiek zwinął gazetę i wetknąwszy ją do kieszeni, zaczął się żegnać.

Ciekawe, co było w tej gazecie. Bo że było, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, jak i to, że spotkali się nie przypadkowo. Puchalski pracował „nieczysto” — zdołałem zauważyć, że dziennik miał dzisiejszą datę.

Jednak nie nadeszła jeszcze pora, by wdawać się z obywatelem Puchalskim w rozmowę na ten temat. Tak samo zresztą, jak pytać o marynarkę. Nawiasem mówiąc, gazeta wyjaśniła mi już chyba sprawę marynarki.

— Proszę się nie spieszyć — powiedział Puchalski. — Poczekam na pana. Wrócimy razem do hotelu?

— Chętnie. Co to za facet?

— Znajomy z plaży.

121

Bez pośpiechu dopił kawę, ja skończyłem jeść swój rura-sztyk. On

zostawił kelnerowi całą resztę z rubla, ja zapłaciłem skrupulatnie, co do kopiejki

Łukowato wygięta uliczka doprowadziła nas do rynku. Kiedy mijaliśmy sklep z obuwem, Puchalski wstąpił do środka, aby kupić sznurowadła.

Poszedłem trochę dalej, na dworzec autobusowy.

Stały tam potężne „Ikarusy”, które stłoczone jeden koło drugiego zajmowały pół rynku. Pachniały benzyną i nagrzanym lakierem. Na słupie wisiał rozkład jazdy, nieco niżej — metalowa tablica, na której oznaczono poszczególne trasy. Z nudów zacząłem ją studiować. Oto Pałniaj, dokąd wybierał się młody człowiek — maleńka kropka zamknięta w kółku, zaledwie przystanek po drodze do Radzute, bo docelowe autobusy tam nie kursowały. A oto i Radzute, nad samym morzem. Ech, wsiałbym teraz do lśniącego „Ikarusa” i pojechał jak najdalej stąd, żeby wylegiwać się na plaży z zamkniętymi oczami, słuchać krzyku mew i o niczym nie myśleć! Autobus do Radzute jeździł tylko raz na dzień, od miasta dzieliły tę miejscowość trzy godziny drogi. Byliśmy tam z Tamarą w ubiegłym roku — wykładane drewnianą kostką jezdnie, kurz, kościół w rynku i zegar z kurantem. Parokrotnie odwiedzałem Radzute także służbowo. Nawiasem mówiąc, autobus odchodził o 12.37, czyli młody człowiek coś kręcił, bo dziś nie mógł już nim jechać. Może miał własny samochód, ale kto czyta gazetę przy kierownicy?

— Wybiera się pan dokądś? — usłyszałem głos Puchalskiego.

Nie zauważyłem, kiedy podszedł. W ręce trzymał sznurowadła. Na moment uległem wrażeniu, iż celowo wystawił je na pokaz, aby mnie przekonać, że wchodził do sklepu właśnie po sznurowadła, a nie po cokolwiek innego. „Studencie Waraksin — ofuknąłem się w duchu — nie

popuszczaj wodzy fantazji. Puchalski może znać reguły gry, lecz nie może wiedzieć, że ty też w niej uczestniczysz".

122

Zaprzeczyłem, tłumacząc studiowanie tablicy brakiem lepszego zajęcia. Ruszyliśmy do hotelu. Z uporem wróciłem do profesorskich mebli, zapewniając go, że finansowo wszystko będzie w porządku. Nie zamierzałem oczywiście wysłać żadnej depeszy, profesor też był postacią zmyśloną, chciałem po prostu wybadać czy Puchalski zajmuje się tego rodzaju nielegalnymi interesami.

Kiedy szliśmy bulwarem, zza rogu wyłonił się nagle ese-sowiec Miał charakterystycznie wygiętą czapkę, spod której spływały mu po twarzy strumyczki potu. Na jego piersiach pobrzękiwały odznaczenia. Odgięty do tyłu prowadził na smyczy potężnego alzackiego owczarka. Popatrzył na nas z nienawiścią. Doskonale wiedziałem, o co chodzi, lecz umyślnie wydałem okrzyk przerażenia, by spotęgować efekt. Pojawienie się na opustoszałej ulicy tego widma minionej wojny było tak nieoczekiwane, że Puchalski zbladł i przywarł do ściany domu.

— Do diabła! — zawołałem. — Przecież to tylko aktor! Widziałem rano, jak aktorzy ładowali się koło hotelu do autobusu, by wyruszyć na plenerowe zdjęcia. W mieście kręcono epizody jakiegoś wojennego filmu.

— Widzę — wyszeptał Puchalski. — Ale mam chore serce. Wsiadło.

— Pewnie pamięta pan tych prawdziwych? — spytałem. Zza rogu wysypali się pozostali aktorzy.

— Tak — odpowiedział.

Sam nie wiem, po co urządziłem to przedstawienie z jakże naturalnie

udanym własnym przestraczem. Chyba dlatego, że cały czas towarzyszyło mi uczucie, iż Puchalski nosi maskę, i nie wierzyłem w prawdziwość jego opowiadania o czasach okupacji

Pokój był pusty, Wojtyn smażył się pewnie na plaży.

— Nasz rybak odstąpił od swych zwyczajów.

— Co? Ach tak! Rzeczywiście — z roztargnieniem rzucił Puchalski.

55

Zdjął półbuty, włożył ranne pantofle i zniknął z ręcznikiem na ramieniu.

Otworzyłem szerzej okno i postanowiłem zmienić wodę w karafce, która — jak i przedniego dnia — stała w pełnym słońcu.

Drzwi do łazienki zastałem uchylone. Puchalski rozebrany do pasa pochylał się nad umywalką i parskał w strumieniu wody. Na jego plecach napinały się węzły mięśni. Kran był tylko jeden, stanąłem więc z tyłu.

Moje wejście zagłuszył szum wody. Wyprostowawszy się Puchalski zakrył twarz ręcznikiem. Kiedy już odwrócony rozsunał łokcie, zauważyłem na jego piersiach tatuaż, jaki niejednokrotnie oglądałem u aresztowanych.

Teraz stało się jasne, dlaczego plażował na odległych wydmach.

— Co pan ma tam napisane? — spytałem z ciekawością. Drgnął gwałtownie i odsłonił twarz. Bez okularów miał oczy wylupiaste i złe. Szybko zakrył się ramionami.

— Czego włączysz, kiedy widzisz, że zajęte? — wrzasnął ordynarnie.

Zupełnie w tej chwili nie przypominał łagodnego mężczyzny w okularach ze złotą oprawką.

— Chciałem... chciałem nabrać wody do karafki — wyjąkałem w miarę gapiowato.

Puchalski żałował już swego wybuchu.

— Przepraszam pana, na miłość boską! Nerwy mnie poniosły... To żarcik mego krewniaka, który nienawidził władzy radzieckiej, był nacjonalistą i okupacyjnym policjantem. Spoił mnie kiedyś dą utraty przytomności... Byłem wtedy jeszcze chłopcem. Próbowałem to usunąć, niestety, bez skutku.

— Coś podobnego! Ale drań!

— Rozstrzelali go partyzanci.

— Może pan usunąć tatuaż w Instytucie Piękności w Moskwie —

doradziłem. — Oni tam robią takie zabiegi

Napełniłem karafkę i wróciliśmy do pokoju! „Lepszy z niego ptaszek” — rozmyślałem wpatrzony cały czas w jego plecy. Przysiadłem na parapecie, a Puchalski zdjął ranne pantofle i wyciągnął się na łóżku. Początkowo zamierzałem za

55

dać mu niejedno pytanie, ale doszedłem do wniosku, że na razie lepiej zrezygnować, bo scena w łazience na pewno obudziła jego czujność.

Nieustannie wracałem myślą do dwu dat. Trzeciego Iszczenko z kimś się widział, a piątego został zamordowany. Spotkanie odbyło się (jeśli istotnie się odbyło) o tej samej porze, w której popełniono morderstwo, czyli koło jedenastej rano. Godzinę wyznaczał najprawdopodobniej morderca.

Dlaczego między spotkaniem i morderstwem minęła cała doba? Może tamten dał Iszczence czas na podjęcie decyzji? Ale w jakiej sprawie? A może dokądś wyjeżdżał?... Poza tym Wojtyn także spieszył się na autobus właśnie ten o jedenastej. I co z tego? Jaki to ma związek? Chociaż...

Zeskoczyłem z parapetu.

— Może -by się przejść? — zaproponowałem niepewnie. ?— Za gorąco

— wymruczał z odrazą Puchalski.

— Nie ma sensu tkwić w hotelu.

Szedłem po schodach nieświadomie przyspieszając kroku. Potem przyłapałem się na tym i po wyjściu na ulicę ruszyłem wolniutko jak ktoś, komu jest kompletnie obojętne, dokąd go nogi niosą. „Autobus do Radzute odjeżdża o 12.37 — rozważałem. — A o której stamtąd przyjeżdża?...”

## 18. PRZECHODNIE PODWÓRKO

Minąwszy kręte zaułki — gotycki zamek przez cały czas pozostawał po prawej stronie — dotarłem wreszcie do rynku. Bez pośpiechu podszedłem do słupa z rozkładem jazdy i odszukałem wzrokiem właściwe miejsce.

Moje przewidywania były trafne. Autobus z Radzute przychodził punkt o jedenastej.

Hm.

Jeszcze raz sprawdziłem godziny odjazdu i przyjazdu autobusu. Jakże mogłem nie pomyśleć o tym wcześniej — w roz

125

kładzie jazdy, znalezionym w rzeczach Iszczenki, ta właśnie linia była podkreślona, i Wałdmanis zajął się nawet tym tropem. Zdjęcie Iszczenki pokazano kasjerce, która przez ostatni tydzień dyżurowała codziennie, zastępując chorą koleżankę. Kobieta twierdziła stanowczo, że Iszczenko nie kupował biletu i że zapamiętałaby go na pewno, ponieważ ma doskonałą pamięć wzrokową. „Może nie zamierzał wcale wyjeżdżać — rozmyślałem. — Mogła interesować go jedynie godzina przyjazdu autobusu z Radzute. Godzina jedenasta...” Rozejrzałem się dokoła.

W pobliżu stłoczonych „Ikarusów” stała grupka kierowców. Jeden z nich coś mówił, pomagając sobie energiczną gestykulacją. Usłyszałem wybuch

śmiechu. „Na pewno opowiadają dowcipy” — skomentowałem w duchu. Wszyscy kierowcy ubrani byli w jednakowe bluzy z niebieskiego płótna. „Bardzo dobry pomysł — pochwaliłem — Ekspozytury kupują bluzy hurtem, bo tak taniej, poza tym płótno nie brudzi się i jest świetne na upały...” Trochę dalej widniała budka dyspozytora.

Wyobraziłem sobie szkic sytuacyjny przechodniego podwórka, gdzie zamordowano Tarasa Michajłowicza Iszczenkę. Długo siedziałem nad nim w gabinecie Szimkusa. Podwórko miało wyjście na rynek. Poszukałem wzrokiem sklepionej łukowato bramy. Oto ona, jakieś sto metrów ode mnie. To że miejsce zbrodni znajdowało się tak blisko dworca autobusowego, także powinno było wcześniej zwrócić moją uwagę. Szczerze mówiąc, Wałdmanis również przegapił tę okoliczność. No, trudno. Wyobraźmy sobie teraz, że jestem mordercą. Wysiadam z autobusu o 11.00 i idę tam, gdzie nazaczyłem Iszczence spotkanie.

Przebiegłem na ukos rynek i spojrzałem na zegarek. Upłynęło pięćdziesiąt sekund. Powiedzmy, że pokręciłem się jeszcze chwilę po rynku. Nie, raczej nie powinienem włączyć ludziom w oczy. Ruszyłem tam więc od razu, ale nie najprostszą drogą, nie pod dziesiątkami spojrzeń, lecz skręciłem za ten długi bu

126

dynek przywodzący na myśl nale targowe. Co w nim się mieści?

„Magazyn wytwórni artykułów użytku kulturalnego” — odczytałem mrużąc w słońcu oczy. W porządku. Czy budynek ma na zapleczu przejście? Obserwowałem niemłodego mężczyznę z teczką, który zniknął za magazynem. Już po chwili minął mnie, a zatem przejście istnieje.

Dobra. Idziemy na podwórko. Leniwie rozejrzałem się dokoła i wszedłem

do bramy.

Tutaj słońce nie docierało i od wysokich murów z czerwonej cegły ciągnęło wilgocia. „Takie same podwórka są w Azji Środkowej — przypomniałem sobie. — Doskonałe schronienie przed upałem”. Przejście ostro skręcało w lewo, teraz nikt nie mógł mnie już dostrzec z rynku. Pod murem piętrzyła się sterta węgla, a obok leżał zardzewiały zlew i jakieś rury. W murze widniały zbite z desek drzwi, na których wisiała kłódka. Obejrzałem ją uważnie. Gruba warstwa rdzy wskazywała, że drzwi dawno już nie używano. Idziemy dalej. Drugi zakręt i wtedy spostrzegłem skrzynię śmietnika, właśnie tego śmietnika. Podwórko było tu szersze i całkowicie bezludne. Przebiegłem wzrokiem po murach — nigdzie ani jednego okna. Można tu krzyczeć na cały głos i nikt nie usłyszy.

Sprawdziłem czas na zegarku — minęła jeszcze jedna minuta. Jeśli wysiądę z autobusu przyjeżdżającego o jedenastej i przyjdę tu bez pośpiechu, będzie to akurat pora, w której dokonano zbrodni, choć moje wyliczenie było nieco naciągnięte, bo nasi lekarze ustalili godzinę zabójstwa na 10— 15 minut później, ale na razie to nieważne.

Skręciłem jeszcze dwukrotnie i znalazłem się na małym, okrągłym placu. Tędy musiał przechodzić Iszczenko, ponieważ wszedł na przechodnie podwórko od strony śródmieścia. Zawróciłem, wcielając się z kolei w Tarasa Michajłowicza. Spieszę więc na spotkanie. Jeżeli jednak obawiam się człowieka, który czeka na mnie (a przecież powinienem, bo jeśli hipoteza śledcza jest trafna, to wiem o nim coś, co on chciałby ukryć), dlaczego zgodziłem się spotkać z nim na takim

55

odludziu? Oczywiście znam to podwórko — kiedy dwóch ludzi ustala

miejsce spotkania, obaj muszą je znać. Boję się, a jednak idę. Co mną kieruje? To jest niejasne. Za mną spieszy Bystrycką, z którą godzinę temu rozmawiałem o czymś na plaży. Jakie są jej zamiary? Chce mnie ostrzec? Nie, mogła to zrobić wcześniej, dwudziestotrzyletnia dziewczyna bez trudu dogoniłaby niemłodego mężczyznę. Może mnie śledzi? Ale w jakim celu? To też jest niejasne. Jeżeli skręciła za mną w podwórko, musiała widzieć zarówno mordercę, jak i samo morderstwo. Czyżby zbrodniarz dokonał swego dzieła w jej obecności i pozwolił dziewczynie odejść? Na pewno nie byłby taki głupi, a wątpliwe, by w jego sytuacji jedno morderstwo więcej miało jakiegokolwiek znaczenie. (Chyba że mieliśmy do czynienia z kimś, kto mścił się na Centaurze za swych bliskich, co wyglądało zresztą nieprawdopodobnie, ponieważ zbrodnia została obmyślona zbyt precyzyjnie i z zimną krwią; ponadto Iszczenko jakoś nie kojarzył się z Centaurem). Jakiegokolwiek motywy kierowały przestępcą, pozostawał mordercą, a Bystrycką — jego współniczką. „Nie — odrzuciłem tę myśl. — Nigdy w to nie uwierzę”. A jednak nie zgłosiła się na milicję... No, dobra, dedukujmy dalej, choć nic takie to proste... Zakręt. Śmietnik. Morderstwo popełnione w jego pobliżu. Potem o n zaciągnął zwłoki za skrzynię śmietnika. Teraz musiał zwiewać, i to jak najszybciej. Dokąd mógł pójść? Tylko na rynek, gdzie jest dworzec autobusowy, ponieważ kastet leżał trzydzieści metrów od miejsca zbrodni, właśnie na drodze do rynku.

Jeżeli założyć, że kastet należał do Surkina, jaką rolę odgrywał w tej historii autobus z Radzute? Piątego Surkin miał zwolnienie lekarskie. Nie wyjeżdżał przecież z miasta tylko po to, by o jedenastej wrócić i czekać tu na Iszczenkę!

Bystrycką szła za Iszczenką w pewnej odległości, powiedzmy, wynosiła ona czterdzieści metrów. Iszczenko wchodzi w podwórze i znika z pola widzenia dziewczyny. Potem znajduje się za kolejnym zakrętem i to go gubi. Na przejście czter

55

dziestu metrów szybkim krokiem potrzeba dwudziestu sekund, tyle właśnie miał do dyspozycji morderca. Uderzył, podtrzymał upadające ciało. Ofiara gotowa? Gotowa. Obrzucił spojrzeniem podwórko. Aa, jest śmietnik. Szybko zaciągnął tam zwłoki. Teraz, jeśli nawet ktoś będzie tędy szedł, niczego nie zauważy... Przy wprawie w podobnych „akcjach” dwadzieścia sekund doskonale wystarczy. I w nogi.

Bystrycką mogła więc niczego nie zauważyć. Minęła podwórko, ale Iszczenki nie znalazła. Cóż, i to jest prawdopodobne. Tylko po co za nim szła? Dlaczego wszystko, co związane jest z Iszczenką, natychmiast budzi jej czujność?... No dobrze, Bystrycką zostawmy na razie w spokoju.

Całą tę wersję morderstwa zbudowałem na hipotezie o szczególnej roli autobusu z Radzute, kojarząc rozkład jazdy, trzeci i piąty czerwca, godzinę jedenastą. Był to zaledwie jeden z możliwych wariantów i wszystko mogło odbyć się zupełnie inaczej. Nie wykluczone, na przykład, że godzina jedenasta była całkiem przypadkowa. Równie dobrze morderca wcale nie musiał czekać na Iszczenkę, lecz, dajmy na to, szedł za nim, wyprzedzając Bystrycką, która przy takim założeniu na pewno go widziała. Hm!... W tej wersji należało jednak wykluczyć wcześniej ustalone spotkanie. Wobec tego, dokąd spieszył się tak piątego Iszczenko?

Podwórze idealnie odpowiadało planom zbrodniarza. Przez cały czas, kiedy je oglądałem, nie spotkałem ani jednego człowieka. Istna pustynia.

„Musieli być jednak umówieni” — doszedłem do wniosku.

Wróciłem na rynek. Zajrzałem do budki dyspozytora. Unosiły się w niej kłęby dymu z papierosów, prześwietlone promieniami słońca wpadającego przez brudne okienko. Na stole stał baniak napełniony wodą, z przyczepionym doń kubkiem na łańcuszku. Na ławach, ustawionych wokół ścian, rozsiedli się rozgadani kierowcy w płóciennych bluzach. Z rękami w kieszeniach, pogwizdując niefrasobliwie, opuściłem rynek.

„Poproszę Wałdmanisa, żeby zebrał dla mnie

8 — Kastet — . 129

kilka informacji — obmyślałem plan dalszego działania. — Chociażby, jak często zmieniają się kierowcy na linii do Radzute i kto prowadził autobus trzeciego i piątego? Może zwrócił uwagę na kogoś, kto w obu tych dniach jeździł tam i z powrotem...”

Kiedy wróciłem do hotelu, Puchalskiego nie zastałem. Uznałem ten fakt za nieco dziwny. Nikołaj Gawriłowicz umył się i rozłożył na łóżku z wyraźnym zamiarem drzemki. Czyżby wezwały go jakieś niecierpiące zwłoki sprawy? A może postanowił jednak pójść na spacer? Tak czy inaczej, wszystko to było niesłychanie interesujące

Rozpiąłem koszulę, zapaliłem papierosa. Postanowiłem trochę odsapnąć, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi i wsadził przez nie głowę Wilenkin. „Przepraszam! — powiedział. — Trafiłem do niewłaściwego pokoju”. I zniknął, wobec czego szybko zbiegłem po schodach i wyszedłem na ulicę. Przechodząc obok Wilenkina oglądającego czasopisma w witrynach kiosku, zwolniłem kroku

Rzucił półgłosem:

— Surkin siedzi. Zgłosił się sam. Po przesłuchaniu Wałdmanis

natychmiast posłał mnie po was.

## 19. CZYŻBY ISTNIAŁY DWA KASTETY?

Postępek Surkina zaskoczył mnie. „Trzeciego czerwca normalnie był w pracy, piątego siedział w domu — rozmyślałem po drodze. — I w dodatku tajemnicza historia z kastetem...”

Po kwadransie siedziałem w znanym mi już pomieszczeniu z półokrągło sklepionym sufitem i sielankowym pejzażykiem na ścianie, śledząc uważnie to, co utrzymała taśma magnetofonu podczas przesłuchania Surkina. (Prowadzili je wspólnie kapitan Siparis i szef urzędu bezpieczeństwa Wałdmanis.)

55

KAPITAN. Może powiecie nam parę słów o sobie

SURKIN. Pracuję w Zarządzie Połowów Dalekomorskich. Nazywam się Surkin.

KAPITAN. Siadajcie, towarzyszu Surkin. A imię?

SURKIN. Jurij Pietrowicz. No więc (pauza), chyba już dawno powinienem złożyć to oświadczenie, ale (pauza) dopiero dziś rano, podczas przypadkowej rozmowy z moim sąsiadem, Gienrichem Osipowiczem Buschem, dowiedziałem się, że piątego czerwca popełniono w naszym mieście zbrodnię, a mianowicie zabito Tarasa Iszczenkę. (Po chwili). Znałem go jeszcze z czasów wojny.

KAPITAN. Mówicie o Iszczence?

SURKIN. Tak. Tutaj przeniosłem się dopiero w czterdziestym piątym, przedtem mieszkałem w Radzute. ,

WAŁDMANIS. Chwileczkę. Poprosimy o szczegóły. Przeprowadziliście się pod koniec czy na początku roku?

SURKIN. Jeszcze trwała wojna, ale tutaj wkroczyli już nasL To było chyba w lutym.

WAŁDMANIS. Co was skłoniło do przeprowadzki?

SURKIN. Odziedziczyłem część domku po mojej zmarłej krewnej.

WAŁDMANIS. Rozumiem. Proszę mówić dalej. SURKIN. Otóż Iszczenko od początku okupacji służył w policji w Radzute.

KAPITAN. Jesteście tego pewni?

SURKIN. Niejednokrotnie widywałem go w mundurze. Z powodu kalectwa nie dostałem powołania do Armii Czerwonej i w ten sposób znalazłem się na terenach okupowanych. Podlegałem obowiązkowi pracy, skierowano mnie do zarządu miejskiego i z racji swych funkcji stykałem się pośrednio z policją. Byłem właściwie gońcem, nosiłem tam jedynie papiery do podpisu. Wtedy zetknąłem się z Iszczenką. Mniej więcej tydzień temu zobaczyłem go u Gienricha Osipowicza Buscha. Nie miałem pewności, czy to on, bo przecież upłynęło wiele lat, kiedy jednak Busch wymienił dziś jego

131

nazwisko, moje podejrzenia potwierdziły się. Busch powiedział mi, że do tej pory nie odnaleziono mordercy. Sądzę, że cała ta sprawa związana jest z przeszłością Iszczenki. KAPITAN. Dlaczego tak sądzicie?

SURKIN (po chwili milczenia). N-nie wiem. Tak mi się wydaje.

KAPITAN. Ale muszą istnieć po temu jakieś podstawy!

SURKIN. Gienrich Osipowicz powiedział, że chyba nie było to morderstwo rabunkowe. Jakie więc mogły być inne przyczyny?

Morderstwo to ciężka zbrodnia i nawet groźni przestępcy rzadko się na nie decydują.

KAPITAN. Szkoda, że nie przyszliście do nas wcześniej, Juriju Pietrewiczu.

SURKIN. Nie chciałem znaleźć się w głupiej sytuacji, nie wykluczałem przecież omyłki. O tym, że to naprawdę był Iszczenko, dowiedziałem się dopiero dzisiaj.

KAPITAN. Tak... Może jednak wasze wcześniejsze zeznania zapobiegłyby zbrodni? Jak sądzą? Oczywiście pod warunkiem, że jest związana z przeszłością Iszczenki.

SURKIN. Czuję się, oczywiście, winny...

KAPITAN. Nikt was o nic nie obwinia. (Pauza). Na razie. SURKIN (stłumionym głosem). Dlaczego na razie? KAPITAN. Gdzie byliście w chwili popełnienia morderstwa?

SURKIN. W domu. Źle się czułem tego dnia i nie poszedłem do pracy.

WAŁDMANIS. Chodziliście do przychodni po zwolnienie? SURKIN.

Wezwałem lekarza do domu. WAŁDMANIS. Jaką postawił diagnozę?

SURKIN. Mam chore serce. Osłabienie mięśnia sercowego.

WAŁDMANIS. O której przyszedł lekarz? SURKIN. O dziesiątej.

WAŁDMANIS. Nie wychodziliście tego dnia z domu? SURKIN. O drugiej — po sprawunki, bo żona wyjechała i nie miałem niczego do jedzenia.

55

WAŁDMANIS. Skąd wiecie, że morderstwa dokonano przed drugą? Powiedzieliście, że w chwili, gdy zostało popełnione, byliście w domu.

SURKIN. Ja... słyszałem od Gienricha Osipowicza. (W tym momencie zrobiłem drugą notatkę. Pierwsza dotyczyła tego miejsca zeznań Surkina, kiedy oświadczył, że Busch nie sądzi, by w grę' wchodziło morderstwo

rabunkowe.) KAPITAN. Co robiliście w domu? SURKIN. Co robiłem?

Leżałem, czytałem książkę... KAPITAN. Jaka?

SURKIN. Naprawdę nie pamiętam... Czy to takie ważne? WAŁDMANIS.

Bardzo ważne! Morderstwo popełniono około pół do dwunastej i (pauza)...

SURKIN (niecierpliwie). Tak?

WAŁDMANIS. Mniej więcej o tej samej porze Busch, który sadił w ogródku kwiaty, zajrzał do domu, gdzie spostrzegł, że ma zalany sufit.

Poszedł więc do was na górę i pukał do drzwi. Nie było was w domu.

SURKIN (pospiesznie). Tak, istotnie wychodziłem... Zbieraliście już o mnie informacje?

KAPITAN. Proszę nie zadawać pytań. Proszę odpowiadać!

Wychodziliście? Po co? Tylko mówcie prawdę.

SURKIN. Zobaczyłem... (pauza) zobaczyłem przez okno idącego ulicą Iszczenkę. Postanowiłem wtedy... właśnie miałem się kąpać, ale natychmiast włożyłem ubranie i wybiegłem z domu. Zapomniałem zakręcić kran.

KAPITAN. Czy Busch was widział?

SURKIN. Nie, ponieważ posłużyłem się tylnym wejściem, od Krasnoarmiejskiej. To ulica równoległa do Czernyszew-skiego, wiecie, gdzie to jest? Iszczenko szedł właśnie tamtędy.

KAPITAN. Co było dalej?

SURKIN. Nic... Nie zauważyłem go już na ulicy, musiał dokądś skręcić.

133

KAPITAN. Czy wyglądając przez okno, nie odnieśliście wrażenia, że Iszczenkę ktoś śledzi?

SURKIN. Moim. zdaniem, nie... W tym samym kierunku szła tylko jakaś

dziewczyna. Poza nią nikogo na ulicy nie było.

KAPITAN. Szła za czy przed Iszczenką? SURKIN. Za.

KAPITAN. Proszę ją opisać.

SURKIN. Bo ja wiem... Miała takie długie, rozpuszczone włosy...

KAPITAN. Proszę mówić dalej!

SURKIN. Widziałem ją tylko od tyłu.

KAPITAN. Jak była ubrana?

SURKIN. Nie pamiętam, towarzyszu kapitanie!

KAPITAN. Czy Iszczenko się spieszył?

SURKIN. Raczej tak.

WAŁDMANIS (szybko). Czy spotkaliście wtedy kogoś znajomego?

SURKIN. Nie.

KAPITAN. Czy znacie Raisę Bystrycką, która pracuje w hotelu?

SURKIN. Nie. Nie bywam tam.

WAŁDMANIS. Czy na klatce schodowej waszego domu jest okno?

SURKIN. Tak.

WAŁDMANIS. Czy wychodzi na ogródek? SURKIN. Tak.

WAŁDMANIS. Czy kiedy schodziliście na dół, Busch pra- ? co wał w ogródku? Widzieliście go może?

SURKIN. Nie zwróciłem na niego uwagi. Spieszyłem się.

WAŁDMANIS. Co robiliście po wyjściu z domu?

SURKIN. Przeszedłem się kawałeczek i postanowiłem wracać.

KAPITAN. Radzę wam mówić prawdę. SURKIN. Ależ ja mówię prawdę!

134

KAPITAN. Nie! Byliście tego dnia w tych samych butach?

SURKIN (niepewnie). Tak... No dobrze,, zaraz wszystko opowiem!

Rozumiem już, tam była ziemia, zachowały się ślady, a ja stałem tuż obok... Wszystko opowiem, tylko chwileczkę!...

(„Zuch z kapitana! — pochwaliłem w duchu Siparisa. — Zwłoki znalazła stara kobieta, która zamierzała wyrzucić dziurawe wiadro. Na jej krzyk zbiegło się tyle ludzi, że najgenialniejszy ekspert nie zdołałby tych śladów wokół zwłok rozplatać. Wokół zwłok, albowiem był jeszcze jeden ślad... Ale nie należał do Surkina, który nosi zupełnie inne obuwie"„..)

SURKIN. Kiedy wybiegłem na ulicę, dzieliło mnie od Isz-czenki jakieś sto metrów. Nie rzuciłem się za nim w pogoń, bo może to wcale nie był Iszczenko, tylko ktoś do niego podobny, nie rozmawiałem jeszcze wówczas z Gienrichem Osipowiczem i' mógłbym znaleźć się w głupiej sytuacji. Zdecydowałem, że lepiej będzie iść za nim, i jeśli zdarzy się okazja, nawiązać rozmowę. Przez jakiś czas szedłem z tyłu, utrzymując wciąż tę samą odległość. Nie bałem się stracić go z oczu, ponieważ dobrze znam miasto, a poza tym był upał i na ulicach panowały pustki. Aha, szła jeszcze ta dziewczyna. Myślę, że miała mniej więcej dwadzieścia lat. Gdyby Iszczenko wstąpił do kawiarni albo dokądkolwiek indziej, po prostu przysiadłbym się do niego. Wreszcie skręci! w przechodnie podwórko... Przepraszam, czy mogę napić się wody?

KAPITAN. Proszę.

(Brzęk karafki o szklanę, odgłos nalewanej wody.)

SURKIN. Dziękuję. Zaszło mi w gardle... No więc skręcił w przechodnie podwórko i kiedy po upływie jakiejś pół minuty wszedłem tam w ślad za nim. usłyszałem przed sobą szybkie kroki. Podwórko ostro tam zakręca... Mury są wysokie, dzięki czemu podwórko jest bardzo akustyczne, słyszałem kroki, lecz nikogo nie widziałem. Przyspieszyłem także.

Podwórze było puste.

55

KAPITAN. Czy nie słyszeliście krzyków, odgłosów bójki?

SURKIN. Nie, tylko kroki... Kiedy wybiegłem na rynek, zobaczyłem wiele ludzi, ale wśród nich nie dostrzegłem Iszczenki. Zawróciłem. Iszczenko nigdzie nie mógł się schować, bo podwórko otaczają ślepe mury, nie wychodzą na nie żadne klatki schodowe. Zresztą nie miałyby to sensu, bo po cóż miałyby się chować. Na wszelki wypadek zajrzałem za śmietnik.

KAPITAN. I tam znaleźliście Iszczenkę? SURKIN. Tak. Próbowałem domacać się tętna, ale... on już nie żył...

WAŁDMANIS. Momencik. Czy odwracaliście zwłoki albo próbowaliście je podnieść?

SURKIN. Nie. Leżał twarzą do ziemi, całą skroń miał we krwi. Niczym nie można już było mu pomóc. Przeraziłem się. Nie jestem bohaterem...

KAPITAN. Rozumiem. I odeszliście?

SURKIN. Wyobraziłem sobie, jak będę musiał wszystko tłumaczyć — i to, że szedłem za nim, i to, że zamordowano go niemal w moich oczach, a ja niczego nie potrafię powiedzieć...

KAPITAN. Baliście się, że będziecie podejrzani o morderstwo?

SURKIN. Tak.

WAŁDMANIS. Czy mieliście jakieś powody, aby go zabić? SURKIN. Nie! Skądże!

KAPITAN. Przecież nie spadliście z księżycy i powinniście wiedzieć, że nie można skazać człowieka nie udowodniwszy mu winy.

SURKIN. Byłem bardzo przerażony.

WAŁDMANIS. Co stało się z dziewczyną, o której wspominaliście?

SURKIN. Nie wiem... Chyba musiała gdzieś skręcić. Gdybym przewidział, że to będzie ważne... WAŁDMANIS. W którym miejscu straciliście ją z oczu?

55

SURKIN. Nie pamiętam.

WAŁDMANIS. Ale na podwórku jej nie było? SURKIN. Nie, na pewno nie.

KAPITAN. No dobrze. Zatem skłamaliście zeznając, że o morderstwie dowiedzieliście się dopiero dzisiaj?

SURKIN (ledwie dosłyszalnie). Tak.

KAPITAN. Dlaczego przyszliście do nas właśnie dziś?

SURKIN. Nie wiem. Przez cały czas zadreślałem się i bałem. Ogarnął mnie strach, że wytropi mnie pies, stałem przecież tuż obok trupa i długo potem kluczyłem po mieście, zanim wróciłem do domu. Zdawało mi się, że jestem pod obserwacją. Wczoraj odwiedził Buscha pewien młody człowiek, to spotęgowało moje obawy...

WAŁDMANIS. Jaki młody człowiek?

SURKIN. Student z Moskwy. Dzisiaj był u mnie w zarządzie, stara się o pracę na morzu. Rzeczywiście jest studentem.

WAŁDMANIS. Dlaczego ta wizyta was przestraszyła?

SURKIN. Bo sądziłem, że on... jest z milicji.

WAŁDMANIS. Co wam kazało tak sądzić?

SURKIN. Nie wiem... Gienrich Osipowicz niesłychanie natarczywie wypytywał mnie, gdzie byłem podczas tej historii z wodą... Po tym, co się stało, bałem się wszystkiego, dosłownie nie wszystkiego. Miałem takie

uczucie, że wszyscy mnie podejrzewają.

WAŁDMANIS. Kiedy Busch tak „natarczywie” was wypytywał?

SURKIN. W dniu tego... morderstwa, kiedy wróciłem z pracy. Zacząłem go od tej pory unikać...

WAŁDMANIS. Tak. Proszę mówić dalej.

SURKIN. Chciałem... chciałem, żeby to się już jakoś wyjaśniło. Po dzisiejszej rozmowie z Buschem?— zdołał przyłapać mnie na schodach — podjąłem decyzję. Od razu poczułem ulgę. Wiedziałem, że złożenie zeznań o przeszłości Iszczenki jest moim obowiązkiem. Być może, Gienrich Osipowicz nie-

137

•świadomie skłonił mnie do tego. Zrozumiałem, że dalej nie mogę milczeć...

KAPITAN. Dobrze. Chciałbym wam pokazać pewien dokument. (Odgłos wysuwanej szuflady, prawdopodobnie kapitan wyjmował z niej anonim.) Proszę to przeczytać.

SURKIN (długa cisza, potem prawie krzyk). To nie ja. nie ja, przysięgam, zrozumcie, że to nie ja!

KAPITAN. Niczego nie chcecie dodać do swoich zeznań?

SURKIN. Nie, ale to nie ja... naprawdę nie ja! Opowiedziałem wam wszystko. Całą prawdę!

KAPITAN. Ten list. jest nie podpisany. Zastanówcie się, kto może być jego autorem.

SURKIN (zgaszonym głosem). Nie wiem.

KAPITAN. Czy ktoś mógł was widzieć w przechodnim podwórku?

SURKIN. Nie. Bałem się, że ktoś nadejdzie, ale cały czas było pusto.

Okien też tam nie ma, tylko same ślepe mury dokoła.

KAPITAN. Czy macie kogoś, no, powiedzmy, niezyczliwego? Albo może to po prostu żart?

SURKIN. Ładny żart! Nie, nie mam nikogo niezyczliwego. (Ze znużeniem.) Ale to nie ja, zrozumcie. Powinniście szukać prawdziwego mordercy.

KAPITAN, Chciałbym wam wierzyć, Juriju Piotrowiczu...

(Cofnąłem taśmę i jeszcze raz przesłuchałem ostatni jej odcinek. Kiedy rozmawiałem dziś z Surkinem w zarządzie, odniosłem wrażenie, że gdyby nawet chciał udawać, nic by z tego nie wyszło. Nie nadawał się na aktora. Słowa: „To nie ja!...” brzmiały szczerze. Potem puściłem taśmę dalej.)

KAPITAN. Chcielibyśmy jeszcze wyjaśnić pewien szczegół. (Powtórne skrzyknięcie szuflady.) Czy znacie ten przedmiot?

SURKIN (po chwili milczenia, z lekkim zdziwieniem). Tak, to kastet. To... mój kastet.

KAPITAN. Proszę się nie spieszyć. Obejrzyjcie go uważnie.

138

SURKIN (mniej pewnie). Chyba jednak mój... O, tu jest dębowy listek. Tak, chyba mój. Ale jak tutaj trafił?

KAPITAN. Tym właśnie kastetem namordowano Tarasa Michajłowicza Iszczenkę!

(Głośny stuk. Pewnie Surkin upuścił kastet na podłogę.)

SURKIN (drżącym głosem). Mój kastet wyrzuciłem ubiegłego lata do wygodki, kiedy byłem na lotnisku u mego krewnego Kramviciusa. Spędziłem tam wtedy cały miesiąc.

WAŁDMANIS. Dlaczego wywieźliście kastet aż tak daleko?

SURKIN. Nie wiem. To jednak broń... Pewnie bałem się, że znajdą go u mnie i zaczną dochodzić, skąd kastet mam i po co przechowuję.

WAŁDMANIS. Nie wiecie, czy baliście się?

SURKIN. Macie rację. Po prostu bałem się.

WAŁDMANIS. Czy wasz krewny wiedział o kastecie?

SURKIN. Nie.

KAPITAN. Gdzie znajduje się to lotnisko? SURKIN. Mogę tam pojechać i...

KAPITAN. To- my pojedziemy. Wy tylko wskażecie miejsce.

SURKIN (półgłosem). Rozumiem. Wszystko jest przeciwko mnie. Ale on musi tam być. Musi.

KAPITAN (tonem nauczyciela prowadzącego lekcję). Istnieją zatem dwa kastety, podobne do siebie niczym bracia, można powiedzieć: wręcz bliźniaki. Jeden, którym zabito człowieka, i drugi — wasz. Zdarza się i tak, chociaż bardzo rzadko. Wiedzieliście, że posiadanie białej broni jest karalne?

SURKIN. Tak. Właśnie dlatego w końcu kastet wyrzuciłem. Dobierał się do niego mój siostrzeniec, młody chłopak, i to mi przypomniało o kastecie. Przedtem poniewierał się w mojej skrzynce z narzędziami. I jak oczywiście domyślacie się towarzyszu kapitanie — nie używany.

KAPITAN. Kto go widział u was?

SURKIN. Trudno mi powiedzieć.

KAPITAN. Zastanówcie się. To ważne.

55

SURKIN. Nie wiem. Może Gienrich Osipowicz, bo często pożyczają ode mnie narzędzia.

KAPITAN. Jak układają się stosunki między wami?

SURKIN. Bardzo dobrze. Żyjemy ze sobą w zgodzie.

KAPITAN. Czy wasz sąsiad wie, że wyrzuciliście kastet?

SURKIN. Bardzo wątpię.

WAŁDMANIS. Czy znacie Puchalskiego? ? SURKIN. Przepraszam — kogo?

WAŁDMANIS. Puchalskiego. Przyjechał służbowo do wytwórni mebli, był u Buscha z wizytą.

SURKIN. Nie. Nie znam. Nie wykluczone, że gdzieś go widziałem, ale z nazwiska go nie znam

KAPITAN. Widzieliście u kogoś podobny kastet?

SURKIN. Nie.

KAPITAN. Skąd mieliście swój?

SURKIN. Znalazłem go na ulicy podczas odwrotu Niemców i podniosłem bez zastanowienia. Byłem wtedy młody i zbierałem wszelkie śmiecie.

KAPITAN. Rozumiem. Musimy was na jakiś czas zatrzymać.

SURKIN. Aresztujecie mnie?

KAPITAN. Będę z wami szczerzy. Zgodnie z przepisami powinienem was zwolnić, żądając tylko, abyście nie opuszczali miasta. Przeciwno wam nie ma bezpośrednich dowodów. Oczywiście poza kastetem

SURKIN. Swój wyrzuciłem w ubiegłym roku.

KAPITAN. Sprawi mi satysfakcję, jeśli go odnajdziemy, Juriju Pietrowiczu. Ale musicie nam pomóc. Ktoś napisał na was anonim i dla śledztwa jest rzeczą bardzo istotną ustalić — kto. Najprawdopodobniej zrobił to morderca. Kiedy dowie się, że was aresztowano, być może, zacznie postępować nieostrożnie...

SURKIN. Ale co powiedzą w pracy, kiedy usłyszą, że... siedzę?

KAPITAN. Jeżeli jesteście niewinni, nie macie się o co

55

martwić. Sami potem pojedziemy do waszego zarządu i wszystko wyjaśnimy. Jeszcze zostaniecie bohaterem! A na razie prosimy was o cierpliwość.

SURKIN. Rozumiem, towarzyszu kapitanie. I... dziękuję, że mi wierzycie.

KAPITAN. Dostaniecie teraz przybory do pisania. Opiszcie szczegółowo wszystko, co tu od was usłyszeliśmy. Wskażcie dokładnie, gdzie wyrzuciliście kastet. Najważniejsze, żebyście napisali, co wiecie o Iszczence z epoki Radzute.

SURKIN. Przepraszam, z jakiej epoki?

KAPITAN. No, z tego okresu, kiedy wy pracowaliście w zarządzie miejskim, a Iszczenko służył w policji.

SURKIN. Rozumiem. Postaram się jak najwięcej sobie przypomnieć.

WAŁDMANIS. Jeszcze chwileczkę, Juriju Pietrowiczu. Dlaczego zainteresowaliście się tak Iszczenką? No, służył w tej policji?\*

rozpoznaliście go i tyle. Tymczasem rzucacie się za nim w pogoń z takim zapalem, aż zapominacie zakręcić kran. I to jeszcze w dniu, kiedy niezbyt dobrze się czujecie. Nie chcieliście stracić go z oczu? Dlaczego?

SURKIN (po chwili). Dobrze, odpowiem. Zdaję sobie sprawę, że to świadczy przeciwko mnie, ale jednak odpowiem. Wtedy... w czterdziestym trzecim Iszczenko uderzył w twarz kobietę, która... z którą... słowem, ta kobieta nie była mi obojętna.

WAŁDMANIS. Uderzył? Za co?

SURKIN (z goryczą). Ze swego punktu widzenia postąpił zapewne słusznie. Ta kobieta go obraziła. Powiedziała mu, że tylko łajdak może nosić mundur policjanta. Działo się to na ulicy. Iszczenko próbował ją zaczepić, a ona... ona mu odpowiedziała.

WAŁDMANIS (szybko). Co się z nią stało?

SURKIN. Nic. Iszczenko jej nie aresztował i nie doniósł na nią. Ale uderzył ją w mojej obecności... Niczego bym mu dzisiaj oczywiście nie zrobił. Chciałem po prostu przypomnieć

141

Iszczence tę scenę. Jedynie przypomnieć. Na pewno byłoby, mu nieprzyjemnie, a o to właśnie mi chodziło... Ta kobieta •—to moja żona...

WAŁDMANIS. Rozumiem was, Juriju Pietrowiczu, doskonale rozumiem... Pozwólcie, że zadam wam jeszcze jedno pytanie, a mianowicie, czy słyszeliście coś o oddziale partyzanckim, który działał tu w latach wojny?

SURKIN. Oczywiście. To była głośna sprawa. Cały oddział, zginął.

WAŁDMANIS. Czy nikt się nie uratował? SURKIN. Mówiono, że nikt.

WAŁDMANIS. Czy znaliście osobiście kogoś z oddziału lubi miejskiej organizacji podziemnej?

SURKIN. Nie. W ogóle znałem tu niewiele osób, bo przecież mieszkałem w Radzute.

WAŁDMANIS. A Krugłową?

SURKIN. Opowiadano mi o niej tylko. Skazano ją na śmierć, a jej dom został spalony. Stał akurat obok mojegoJ obecnego domu.

WAŁDMANIS. Kto wam opowiadał? Pamiętacie?

SURKIN. Niestety, nie. Wtedy, po wojnie, mówili o tym wszyscy. Tyle

czasu już minęło od tej pory!

WAŁDMANIS. Ano tak. A czy wiedzieliście, że Iszczenko był partyzantem?

SURKIN. Słyszę o tym po raz pierwszy. Przecież służył w policji! Ach, rozumiem, wykonywał rozkaz...

WAŁDMANIS. Spotkaliście Iszczenkę w Radzute. A po przenosinach tutaj?

SURKIN. Nie.

WAŁDMANIS. No cóż, dziękuję. KAPITAN. Dziękujemy, Juriju Pietrowiczu.

— To wszystko — powiedział Wałdmanis, który razem ze mną przesłuchiwał taśmę.

142

## 20. HIPOTEZY

Wałdmanisowi nie spieszo było do rozmowy.

Po przyjsciu zdążyłem się tylko zameldować. Potem, gdy przesłuchiwalismy taśmę, siedział bez słowa. Teraz odszedł w odległy kąt pokoju, otworzył ścienną szafkę nad stoliczkiem i szukał tam czegoś, spoglądając na mnie od czasu do czasu. Miał dużą głowę, siwe włosy ostrzyżone na jeża, sylwetkę byłego ciężarowca oraz szybkie i zręczne ruchy, w czym nie przeszkadzała mu pokaźna tusza.

— Co powiecie o naszym „sekretnym” okienku? — wskazał ruchem głowy sielankowy pejzażyk. •— Ten dom zbudował dla siebie jakiś niemiecki baron, trudno się domyślić, do czego było mu to potrzebne. Mechanizm odkryliśmy przypadkowo. Jak wam odpowiada nasz klimat? A miasto? Często bywacie nad morzem?

Usiadł, wsparł głowę na dłoni i nie spuszczał ze mnie oczu. Wiedziałem, że jako osiemnastoletni chłopak należał do ochrony Lenina. „Ciekawe, co potrafi ten młody człowiek — zastanawiał się niewątpliwie. — Stołeczny francik! Do działania może i skory, ale żeby posiedzieć, porozwagać — o, na to takich nie stać. Mają zielono w głowach”.

—; Niełatwy orzech do zgryzienia ta sprawa, co? — spytał patrząc na mnie badawczo. — Co sądzicie o Surkinie?

— Ciekaw jestem, czy jego przyjsie ma jakiś związek z anonimem.

Ostatecznie dotychczas milczał i mógł to robić dalej. Ufacie mu?

Pozwoliłem sobie na mały fortel. Miałem już wyrobione zdanie o Surkinie, chciałem jednak spojrzeć na niego jakby z boku, cudzymi oczami.

Waldmanis obracał w palcach papierosa.

— Miałem kiedyś do czynienia z osobnikiem — powiedział — który napisał na siebie anonim, aby wprowadzić nas w błąd, w anonimie wymienione były łatwo dające się oba-

55

lić poszlaki. Wiedział, że go podejrzewamy, i w ten sposób chciał te podejrzenia obalić.

— Czy chcecie przez to powiedzieć, że historia się powtórzyła?

— Nie. Młodszy lejtnant Krasuchin wyruszył już na poszukiwanie kastetu.

— Będzie miał kłopoty z robotnikami asenizacyjnymi. Dziś sobota, krótszy dzień pracy.

— Da sobie radę.

— Surkin zgłosił się sam, właśnie dziś, w parę godzin potem, jak anonim trafił na wasze biurko. Dlaczego? Czy to tylko przypadek?

— Z wnioskami poczekamy na Krasuchina. Sądzę jednak, że Surkin mówi

prawdę. Kłamać warto wówczas, gdy rzecz jest nie do sprawdzenia.

Ciekawe, czy przypomni sobie coś jeszcze o Iszczence.

— Też o tym myślałem — przyznałem.

— Iszczenko był policjantem, ale później wstąpił do oddziału partyzanckiego.

— Dość zaskakująca metamorfoza!

— Sądzicie, że to on jest Centaurem? — szybko spytał Waldmanis.

Było w nas coś z zapaśników, którzy przed rozpoczęciem walki badają się nawzajem, krążąc wokół siebie na macie z napiętymi mięśniami. I tak być powinno, bo człowiek zawsze chce sprawdzić, ile wart jest ten drugi, z którym wspólnie przyjdzie wykonać zadanie.

— Nie — odparłem. ?— To mało prawdopodobne. Policjanta nie używa się jako prowokatora. Zbyt nikle są szanse, że nie zostanie rozpoznany.

— W oddziale go nie rozpoznano.

— Zgoda. Ale gestapo nie mogło na to liczyć. Myślę, że Iszczenko po prostu wolał powitać naszą armię jako partyzant niż w mundurze okupacyjnego policjanta. No i zaryzykował.

55

— Dlaczego więc ocalał, podczas gdy wszyscy inni zginęli? Dlaczego wolał uchodzić za nieżyjącego?

— Tego jeszcze nie wiemy. Poza tym bał się przecież swojej okupacyjnej przeszłości i drżał ze strachu przez resztę życia.

— Jeśli odpowiemy na podstawowe pytanie, kto napisał anonim, wiele uda się nam wyjaśnić. Choć i tu nie brak wątpliwości... Załóżmy podkreślam, załóżmy — że Busch widział kastet u Surkina, ale tenże Busch nie wie, że Surkin go wyrzucił. Załóżmy również, że to on napisał anonim. Logiczny

wniosek: Iszczenkę zabił Busch, bo kto prócz mordercy może wiedzieć, jakim narzędziem zbrodni się posłużył? Ale — Wałdmanis uniósł palec — właściwy kastet morderca porzucił czy zgubił w pobliżu miejsca zbrodni i trudno sądzić, by o tym zapomniał. Jeśli więc Krasuchin znajdzie drugi kastet,- cały ten wywód traci sens...

— Oczywiście.

— Ale — kontynuował Wałdmanis — Busch często brał narzędzia od Surkina i mógł zauważyć, że kastetu już nie ma. Dowiedział się z przypadkowej rozmowy, o której Surkin, być może, zapomniał, że sąsiad kastet wyrzucił. Za to nie zapomniał o tej rozmowie Busch. W nadziei, że nie uwierzmy Surkinowi czy nie potrafimy kastetu odnaleźć, Busch pisze anonim, ponieważ sądzi, że w śledztwie będzie występował tylko jeden kastet.

— Będą potrzebni świadkowie, którzy zeznają, że widzieli go u Surkina.

— Takim świadkiem będzie właśnie Busch.

— Nie, to zbyt skomplikowane. Przecież o tym, że Surkin miał kastet, dowiedzieliśmy się zupełnie przypadkowo. Anonim o tym wcale nie wspomina.

— Słusznie — powiedział z uśmiechem Wałdmanis. — Zapomnieliście, że na początku zastrzegłem się: założmy. To zaledwie jedna z możliwych hipotez. Chciałem jedynie zwrócić waszą uwagę na fakt, że mamy do czynienia z dwoma identycznymi kastetami.

10 — Kastet...

145

— Jeszcze nie, drugiego na razie szukamy.

— Jestem pewny, że go znajdą.

— Poza tym zapomnieliście o murowanym alibi Buscha: sąsiedzi całe przedpołudnie widzieli go w ogródku.

— Nie.

— Jak to?

— Całe alibi Buscha nic nie jest warte. Sąsiedzi twierdzą że widzieli go przez cały czas, a to nieprawda. Przecież właśnie w tym samym czasie spostrzegł w łazience powódź, dobijał się do Surkina i na pewno usiłował jakoś tej katastrofie zaradzić. Potrzebował na to około dwudziestu minut, jeśli nie więcej.

— Sąsiedzi zatem kłamią?

— Ależ nie! Działa tu pewien figielek psychologiczny. Ustaliliśmy, że sąsiedzi — małżeństwo emerytów — przez całe przedpołudnie siedzieli na werandzie, pili herbatę, czytali gazety i, rzecz jasna, nie obserwowali Buscha ze szczególną uwagą. No więc widzą, że jest. Po chwili czymś się zajęli, a Busch — na zasadzie zwykłego przypadku — właśnie w tym momencie odszedł. Ponownie zajrzeli do ogródka, Busch' nadal krząta się koło kwiatów. Wobec tego skłonni są przysiąc, że bez przerwy mieli go na widoku, choć nie zauważyli nawet, kiedy zniknął w domu. Równie dobrze jego nieobecność mogła trwać choćby pół godziny.

— Wykluczone, żeby Busch miał coś wspólnego z wydarzeniami czterdziestego czwartego roku. Wiemy, że całą wojnę I spędził na froncie.

— Może mylimy się łącząc morderstwo ze sprawą oddziału partyzanckiego? Należy sądzić, że Kławdia Iszczenko jest kochanką Buscha. I została nią kilka dni po śmierci męża.

— Niekochanego męża.

Opowiedziałem Wałdmanisowi o Stendhalu i znów sobie-przypomniałem,

jak Kławdia Iszczenko cytowała: „Pani de Renal otuliła się szalem, stała się jakby obca i wtedy strze-ł lił...” Czy coś się za tym kryło?

146

— Nawiasem mówiąc\*\*rano był pogrzeb Iszczenki — poinformował mnie Wałdmanis.

— Widziałem dziś wdowę na plaży. Jest wesola. Beztroska. Zbyt beztroska, żeby mogła być zamieszana w tę sprawę. Zachowywałyby się wówczas mniej ostentacyjnie, by nie ściągnąć na siebie podejrzeń.

— A nuż robi to celowo?

— Wątpię.

— Kapitan Siparis spytał ją, jak długo zamierza pozostać w mieście, na co odparła, że całą tę historię zdecydowała wykorzystać jako okazję do wczasów i wypoczynku. Natomiast bezpośrednio po przyjeździe grała rolę zrozpaczonej wdowy.

— Bo nie od razu zorientowała się w swej nowej sytuacji. Czy dostała już dokumenty dla zakładu ubezpieczeń?

— Nie otrzyma ich przed zamknięciem dochodzenia. Przy okazji mogę wam zakomunikować, że Nowosybirsk dał znać, iż Karik nie wyjeżdżał i obecnie też tam jest.

— Ile ma lat?

— Czterdzieści.

— Ona pewnie puści go kantem.

— Najprawdopodobniej.

— A Busch od sześćdziesiątego trzeciego roku nie kontaktował się z Kławdia Iszczenko, czyli ewentualność zmowy w obu przypadkach należy wykluczyć. Z Iszczenką poznał się przygodnie nad Morzem Czarnym. U

Buscha trudno doszukać się jakichś racjonalnych motywów morderstwa, ona zaś jest po prostu paniusią żądną uciech. Wchodzi jeszcze w grę hipoteza, że autor anonimu (dajmy na to Busch) i morderca są dwiema różnymi osobami, których nic nie łączy. Busch na przykład widział Surkina idącego za Iszczenką i na tej podstawie wyciągnął wniosek, iż on jest zabójcą. Busch może także nie mieć pojęcia o kastecie jako narzędziu zbrodni, nie wykluczałbym tu po prostu zbiegu okoliczności.

— Wobec tego dlaczego naDisał anonim? Dlaczego nie zgłosił się sam?

55

Rozłożyłem ręce.

Rozmowa z Wałdmanisem była dla mnie prawdziwą przyjemnością, bo od dwu dni udawałem głupiego słysząc o morderstwie i wobec nikogo nie mogłem pozwolić sobie na szczerłość. Moją satysfakcję potęgowała mądrość Wałdmanisa i to, że znał się na swojej robocie. A jednak wciąż czułem niepokój, ponieważ sprawa nadal była mocno zagmatwana.

— W dalszym ciągu interesujemy się wszystkimi wyjeżdżającymi z miasta

— powiedział Wałdmanis. — Oczywiście o tyle, o ile jest to możliwe.

— I nic?

— Nic. Obejrzyjcie sobie przy okazji anonim. Napisany jest na maszynie, z kopią. My dostaliśmy kopię.

— A gdzie oryginał?

?— Należy przypuszczać, że u autora.

— Dziwne. Ludzie piszą anonimy, kiedy nie chcą się ujawnić. Po co więc przechowywać duplikat, który może zdemaskować piszącego? Coś tu nie klapuje.

— Brak odcisków palców tak samo jak na kastecie. Jeden błąd: przed „że”

brak przecinka.

Wziąłem do ręki anonim. Były to 'zaledwie trzy linijki tekstu: „Uważam za swój obowiązek zawiadomić że Iszczenkę zabił Surkin Jurij Pietrowicz, zamieszkały przy ulicy Czernyszewskiego 8 m. 2". I to wszystko.

— Interesujący szczegółik — autor zna nazwisko zamordowanego.

Waldmanis przytaknął skinieniem.

— On prawdopodobnie sporo wie o morderstwie Waldmanis skinął ponownie.

— Czy Busch ma własną maszynę do pisania?

— Nie.

— Wobec tego należy szukać maszyny, i to głównie w urzędach, bo prywatnej nikt nie doprowadza do takiego stanu. Połowa czcionek jest nieczytelna.

55

— Maszyny już szukamy, ale jutro mamy niedzielę. Poza tym — sędzicie, że to takie łatwe? Z miejskiego komitetu partii wydzwaniają nieustannie i poganiają nas z tą sprawą, tymczasem z pracownikami krucho. Zmęczony jestem, jak nie wiem co — poskarżył się. — Za areszt Surkina oberwiemy od prokuratora... Wracając jeszcze do maszyny, może być prywatna, nabyta przy okazji jakiejś likwidacji i dlatego jest w tak opłakanym stanie. A wtedy znacznie trudniej będzie ją znaleźć. Mnie jednak interesuje przede wszystkim kastet. Cios zadano z precyzją, powiedziałbym, z zawodową wprawą. Chociaż dzień był upalny, nie ma na nim odcisków palców. Morderca owinał go pewnie chusteczką. Przewidział wszystko, nawet to, że może kastet zgubić. Ale dlaczego użył właśnie kastetu, a nie czegoś bardziej „niewinnego" — na przykład cegły albo młotka? To nie

Ameryka, gdzie przestępcy spokojnie spacerują z bronią. Kastet wypycha kieszeń, z której może wypaść przy świadkach, a nuż ktoś się zainteresuje, co to jest...

— A jeżeli liczy się nawyk i wprawa? Morderstwo zostało przygotowane starannie i zabójca chciał mieć stuprocentową gwarancję skutku. Właśnie dlatego sięgnął po używany niegdyś kastet.

— Czyli wiedział, że Iszczenko będzie szedł przechodnim podwórkiem, i to o określonej porze?

— Tak należy sądzić.

Opowiedziałem Wałdmanisowi, jak spędziłem dziś czss w przechodnim podwórku.

— Zeznania Surkina potwierdzają moją wersję — zakończyłem. — Tyle, że za Iszczenką szedł on, a nie Bystrycka. Nastąpiła w tym momencie tajemnicza metamorfoza.

— Surkin nie słyszał żadnych odgłosów walki. Wynikałoby stąd, że morderca przyszedł pierwszy i czekał, kiedy Iszczenko wyłoni się zza zakrętu, po czym natychmiast uderzył.

— Tak. Tylko jak taki wytrawny zbrodniarz mógł zgubić kastet? Jasne, że chciał jak najszybciej oddalić się od miejsca

149

zbrodni — kastet leżał dość daleko od zwłok na drodze do rynku. Mimo to powinien był po niego wrócić.

— Zapewne spłoszył go Surkin; nie wrócił, bo całkiem słusznie zakładał, iż Surkin może przypadkiem znaleźć zwłoki! i narobić krzyku.

— No cóż, owszem — potwierdziłem z wahaniem.

— Sądzicie, że morderca umyślnie podrzucił kastet?

— W jakim celu? Jeszcze jedno pytanie, istne morze py-l tań... Aha, znalazłem chyba Siemiona, o którym wspomniał] podczas przesłuchania Busch, pamiętacie? To młody chłopak, zakochany w Bystryckiej. Często przychodzi do niej do hotelu i tam właśnie poznał Iszczenkę, który był wobec niego serdeczny i życzliwy. Wydaje mi się, że związek Bystryckiej z Iszczenką polegał na szantażu z jego strony, na moje wycucie całkiem to do niego podobne. Ale dlaczego Bystrycką szła za nim tego ranka? Co stało się z nią później?

— Oficjalnie nie chcecie jej, oczywiście, przesłuchiwać?

— Przecież zgodnie z procedurą kapitan Siparis wzywał już do siebie wszystkich zainteresowanych. Ja również. Nic to nie dało. Nie, nie ma co na nią naciskać. Boję się — przyznałem! szczerze. — Wciąż boję się, że go nie chcący spłoszę. Na razie wciąż jeszcze działamy po omacku, na ślepo. Pracuję tu już dwa dni, a rezultaty — jakby kot napłakał. Chociaż to i owo już mamy.

Wspomniałem Wałdmanisowi o notatce, którą — jak twierdził Wojtyn — pisał Iszczenko. — To by potwierdzało nasze domysły? — dodałem. Potem napomknąłem o 'młynarce Puchalskiego.

— Czy wzywaliście Wojtyna i Puchalskiego w celu rozpoznania zwłok?

— Tylko Puchalskiego, bo Wojtyn był pijany. No i dyrektora hotelu

— Nietypowy jakiś ten dyrektor dla naszego wybrzeża, prawda? Niezbyt comme il faut.

ISO

— Co? A tak... Z tym Puchalskim... momencik... Zostawiłem tam teczkę. Wałdmanis wyszedł do sąsiedniego pokoju i po chwili wrócił niosąc pismo z archiwum Ministerstwa Obrony. Prosiliśmy o charakterystykę

Puchalskiego z okresu jego służby w jednostkach stacjonujących w Niemczech. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Łarionow, który zabezpieczał mi tyły, spisał się doskonale. W charakterystyce stwierdzono, że Puchalski zajmował się w Berlinie spekulacją czarnorynkową, był za to sądzony i zakończył służbę w Homlu.

— Widziano go tu w towarzystwie miejscowego walucia-rza — uzupełnił Wałdmanis. — To cwany chłopaczek. Kapitan Siparis niejedno o nim wie, ale nigdy nie złapał go za rękę.

Opisałem poznanego dziś młodzieńca.

\_ Zgadza się. Nawiasem mówiąc Puchalski przyjeżdża służbowo do wytwórni mebli już po raz trzeci. Dziś kończy mu się delegacja. Załatwi sobie zaświadczenie lekarskie z diagnozą „nieżyt górnych dróg oddechowych”.

— Jest zupełnie zdrowy. Mnie powiedział, że jego delegacja kończy się za trzy dni. Coś go tu widocznie zatrzymuje.

— Kapitan zajął się jego kontaktami. Sądzę, że to po prostu kanciarz, a to już nie nasza sprawa. Moim zdaniem Wojtyn i Puchalski, oczywiście każdy z innych przyczyn, nie mają nic wspólnego z tą historią. Ja bym ich wyłączył ze śledztwa.

\_ Nie jestem tego pewny... Na razie na nikogo nie możemy wskazać palcem — to on! Nie znamy go jeszcze. Ponieważ nie ma żadnych sprecyzowanych poszlak, celowo obmyśliliśmy moją rolę w ten sposób, bym znalazł się w otoczeniu nieżyjącego Iszczenki i mógł szukać jakiegoś punktu zaczepienia. Wprawdzie wszyscy byli przesłuchiwanie, ale na przykład Wojtyn przemilczał — świadomie czy nieświadomie — notatkę Iszczenki. Dowiedziałem się o niej z przypadkowej rozmowy. Tak

samo może być z innymi.

?— Cóż, chyba macie rację.

i

151

— Jeszcze jedna sprawa... — zawahałem się chwilę, czy mówić dalej, bo ostatecznie były to tylko niejasne przypuszczenia. W końcu jednak spytałem: — Czy nie odnosicie wrażenia, że śledztwo może przenieść się do Radzute, chociaż przemawiałby za tym wyłącznie fakt, że właśnie tam Iszczenko służył w policji. Również intuicja...

— Nie wierzę w intuicję — uśmiechnął się Wałdmanis. Oczywiście miał rację, tylko że jakoś zbyt często natykałem się dziś na Radzute. Kto wymienił tę miejscowość pierwszy? „Stankene wspomniała, że jej letnicy przyjechali z Radzute” — przypomniałem sobie.

— Nawiązałem już kontakt z tamtejszym oddziałem i poprosiłem, żeby wyciągnęli z archiwów materiały, w których może figurować Iszczenko. Oczywiście jeśli takie materiały w ogóle istnieją — powiedział Wałdmanis.

— Ustalcie, proszę, kto trzeciego i piątego czerwca prowadził autobus na linii do Radzute. Warto by z tymi kierowcami porozmawiać.

Uzasadniłem swoją prośbę zbieżnością czasu morderstwa i ewentualnego spotkania Iszczenki trzeciego czerwca z godziną przyjazdu autobusu z Radzute.

Wałdmanis sceptycznie chrząknął.

— Zwróćcie uwagę, że Iszczenko podkreślił w rozkładzie właśnie ten kurs — dodałem. — Nawiasem mówiąc, Wojtyn też ma jakieś powody, by

interesować się tym autobusem: w dniu mego przyjazdu wychodził na jego spotkanie. Sprawdziłem dokładnie, że koło jedenastej przyjeżdża jedynie autobus z Radzute.

— Może jakiś odjeżdża?

— Sprawdziłem. Nie.

— To, że Iszczenko podkreślił ten właśnie kurs, wydaje mi się obecnie całkiem zrozumiałe. Po prostu ciągnęło go na stare śmiecie.

— Nie byłbym tego pewny.

152

— Wasza hipoteza jest chyba zbyt prosta, żeby mogła być prawdziwa.

— Owszem ?— przytaknąłem.

Waldmanis przyjrzał mi się uważnie, sięgnął po telefon i załatwił wszystko, o co prosiłem.

— Wyślijcie na rynek Jankauskasa — polecił swemu rozmówcy. — Ale niech to załatwi bezszmerowo i dvskretnie. Tak, tak. — Odłożył słuchawkę.

— Posiedzę tu jeszcze — powiedziałem — chciałbym przejrzeć zeznania Stankene.

Przerzucałem kartki oświadczenia Jewgienii Augustowny, które znałem niemal na pamięć, lecz nie znajdowałem w nim żadnego punktu zaczepienia. Jeden tylko akapit ponownie przykuł moją uwagę. „Kiedy nasze wojska zajęły już miasto i mogłam bezpiecznie poruszać się po ulicach — pisała Stankene ?— sąsiadka Władimira Ignatiewicza Malina opowiadała mi, że gestapowcy weszli kiedyś do domu Malina, rozległ się m strzał, po czym natychmiast zniknęli. Malin mieszkał sam. Po godzinie sąsiadka odważyła się zajrzeć do niego. Leżał na podłodze zabity strzałem

w skroń. Wydało mi się dziwne, że gestapo zamiast aresztować Malina i poddać swoim zwyczajem torturom zamordowało go na miejscu. Malin nie posiadał broni, jestem tego absolutnie pewna. Strzał był tylko jeden, to znaczy, że nie zabito go w trakcie stawiania oporu. U Malina zbierali się zazwyczaj członkowie kierownictwa organizacji podziemnej. Jego sąsiadka nazywała się Ella Gu-stawowna Pikus, umarła na serce w 51 roku, mając wówczas koło sześćdziesiątki. Moim zdaniem Malin był człowiekiem w pełni godnym zaufania. Może cechowała go pewna lekkomyślność, ale kategorycznie wykluczam, by to on był zdrajcą..." Zeznania Stankene nie wyjaśniały, dlaczego gestapowcy zastrzelili Malina od razu.

— Czy udało się zebrać jakieś dodatkowe informacje o Malinie? — spytałem.

— Nie.

55

— Nie miał żadnych krewnych?

— Nikogo nie znaleźliśmy.

Zadzwoił telefon. Odebrał go Wałdmanis.

— Słucham? Tak... Zatem w oba interesujące nas dni pracował ten sam kierowca. Nazywa się Czerkiz Władimir Pan-talejmonowicz. Tak... A, to taka sprawa!... — przysłonił dłonią słuchawkę i wyjaśnił mi: — Piątego jeździł ten sam kierowca co trzeciego, choć według grafiku przypadła kolejność innego. To zaczyna być interesujące... Co jeszcze? — rzucił w słuchawkę. ?— Jaki chłopiec? Dziesięcioletni? Piątego przyjechał razem z Czerkizem, siedział w zamkniętym autohusie, a potem Czerkiz zabrał go z powrotem? — Wałdmanis spojrzał na mnie pytająco. Skinąłem. —

Bierzcie samochód, jedźcie do Radzute. Zbierzcie informacje o tym Czerkizie i koniecznie znajdźcie chłopca. Tak. To wszystko.

Odłożył słuchawkę i zamyślony obracał przez chwilę ołówek w palcach.

— Interesujące... — powiedział wreszcie. ?— Ale... radzę wam jednak jak najszybciej wyjaśnić sprawę Bystryckiej.

— To nie będzie trudne — odparłem. — Dziewczyna ma dwadzieścia trzy lata i jest bardzo głupiutka.

Nasze spotkanie dobiegło końca. Okropnie nie chciało mi się wstać i wyjść z tego pokoju.

Wałdmanis uśmiechem dodał mi otuchy. — Od dawna u nas pracujecie?

— Sześć lat — odparłem.

## 21. NIEZUPEŁNIE MIJAJĄC SIĘ Z PRAWDĄ...

Jeszcze tego dnia wstąpiłem do Buscha

Był przygnębiony, cisnął rannym pantoflem w kota i powiedział, że Kławdia Nikolajewna śpi. Jest w złym humorze, ogarnęła ją chandra i wcześniej położyła się do łóżka.

154

— Urządzimy sobie kawalerski wieczór, Boria.

— Świetnie.

— I wypijemy! — Wyjął z kredensu napoczętą butelkę, tym razem koniaku. — O, mamy grzybki, maślaczki. Bardzo .smaczne.

— Dla mnie, jak zawsze, sok pomidorowy, oczywiście jeśli jest.

— Jest. Jak tam noga?

— Dzięki udzielonej mi w porę przez pana pomocy — w porządku.

?— No to co, pijemy?

— Pańskie zdrowie!

Busch spytał, co słyhać z moją pracą i czy Surkin coś załatwił.

Opowiedziałem o mojej wizycie u Surkina i że przed chwilą widziałem go w raczej dziwnej sytuacji: siedział w samochodzie prowadzonym przez milicjanta w mundurze, wciśnięty między dwu mężczyzn. Samochód stał właśnie pod światłami i dlatego mogłem to wszystko dokładnie obejrzeć.

— Tak? — Busch nie był bynajmniej zaskoczony; mrugał swymi grubymi powiekami, przez co znów upodobił się do hipopotama.

— W ten sposób przewozi się aresztowanych!

— A za co by go mieli aresztować? — spytał obojętnie, dziubiąc w tym momencie widelcem w słoiku z maślakami, których z kawalerskiego nawyku nie wyłożył na talerzyk.

— Bo ja wiem? Może mi się coś przywidziało... Tylko ten kierowca w milicyjnym mundurze... Uhm, jakie te grzybki smaczne! Miejscowej produkcji?

— Nie patrzyłem. Pewnie jest napisane na słoiku.

— Białoruskie — przeczytałem głośno.

— A gdzie go wieźli?

— Po... no, jakże ta ulica się nazywa? ... a, Prudisa. — Połknąłem śliski grzybek. — W sumie sytuacja jest niewesoła!

— Czyja sytuacja?

55

•— Jasne, że moja! Na te wszystkie papierki trzeba będzie czekać pewnie z miesiąc, a pieniędzy' mam na tydzień.

— Chętnie panu pożyczę.

— Dziękuję, pamiętam o pańskiej propozycji, ale póki nie mam pewności, że będę mógł zwrócić, nie wezmę. Taką już mam zasadę. Surkin obiecał,

że da mi na razie pracę w porcie, chyba jakoś sobie poradzę.

Ma dwoje babka wróżyła!

— Obiecał mi to na pewno. Powiedział, żebym zgłosił się w przyszłym tygodniu

— Ale przecież jego aresztowano!

— Tego nie powiedziałem. Po prostu odniosłem takie wrażenie

— Na wszelki wypadek niech pan jeszcze gdzieś poszuka pracy — doradził. — Różnie w życiu bywa.

„Hm” — pomyślałem.

— Jeden z moich kolegów nieźle dorabia sobie wierszami. Zawsze pichci je na różne okazje: na Dzień Kobiet, Dzień Sportowca i tak dalej. Może i ja bym spróbował?

— Do tego trzeba mieć talent!

— Chyba pan żartuje! Czasem drukują taką chałę! „Znakomicie czujecie się w skórze studenta towarzyszu

starszy lejtnancie — pochwaliłem siebie w duchu. — Czy aby nie za dobrze? Należy trochę zmienić ton”.

— Cóż, niech pan próbuje.

— Kiedy nie mam maszyny do pisania. Wszyscy poeci piszą wiersze na maszynie, bo rękopis wygląda niesolidnie i nikt go w redakcji nawet nie czyta. Dział literacki odpowiada wtedy, że wiersze są dobre, ale trzeba się jeszcze troszkę poduczyć.

„Wolnego, starszy lejtnancie, wolnego!”

— W naszej fabryce jest maszyna — zakomunikował mi beznamiętnie Gienrich Osipowicz.

— Ale mnie do niej nie dopuszczą!

— Może pan pisać do woli. Stoi w świetlicy i byłe kto wali w nią paluchami. Powiem, żeby pana wpuścili.

— E, żartuję tylko — powiedziałem. — Jaki tam ze mnie poeta!

„Wobec tego Puchalski również ma dostęp do maszyny” — rozważałem. Przypomniałem sobie jego opowieść o dziwnym zachowaniu Surkina na widok Iszczenki. W jakim celu Puchalski kierowałby moją uwagę na Surkina? Tylko w tym wypadku, gdyby wiedział, kim jestem, co było nader wątpliwe.

Posiedziałem u Buscha jeszcze godzinkę i nie dowiedziawszy się niczego więcej, postanowiłem wrócić do hotelu. Niebo na zachodzie jaśniało seledynowo i przezroczyście. Nad zamkiem wisiał księżyc, drzewa przesiewały jego blask przez gałęzie. „Kto napisał anonim — rozmyślałem — morderca czy ktoś nie mający z zabójstwem nic wspólnego?...”

Puchalski leżał na łóżku, palił i czytał „Dziesięć lat później”, odrywając się od książki tylko po to, by wydmuchnąć smużkę dymu w sufit. Nagle pojąłem, co mnie razi w jego sposobie bycia. Zachowywał się z pańska, jak ktoś, kto posiada — może niewielki, ale własny — kapitał. Nie potrafiłbym sprecyzować tego inaczej.

Wojtyna nie było od rana. Jakby się zmówili — jeden przepadał do późnej nocy wczoraj, a drugi dziś.

— Gdzie nasz rybak? Puchalski błysnął okularami.

— Nie wiem — odparł obojętnie.

Zdejmowałem koszulę krzywiąc się z bólu, bo przy unoszeniu rąk mięśnie napinały skórę na spalonych plecach.

— Widziałem sąsiada Buscha. Gienrich Osipowicz poznał mnie z nim

wczoraj — powiedziałem. — Wie pan, tego, który... no, wspominał pan o nim

— Wiem — zwięźle skwitował Puchalski.

— Otóż chyba go aresztowano! ?— Co pan powie?

— W każdym razie w filmach tak pokazują aresztowa

55

nie. — Powtórzyłem historyjkę o samochodzie i kierowcy-mi-licjancie.

Może zabierali go po prostu do szpitala? Ten człowiek zrobił na mnie niesamowite wrażenie. Niewykluczone, że jest chory psychicznie.

„Surkin bynajmniej nie robi takiego wrażenia” — pomyślałem.

— Milicja nikogo nie odwozi do szpitala.

— To prawda.

Puchalski ziewnął i odłożył książkę. Poprawił poduszkę, pokręcił się w łóżku, szukając najwygodniejszej pozycji.

— Gasimy światło?

— Możemy. Wstałem.

— I niech pan przekręci klucz w zamku — poradził Puchalski. — Kiedy przyjdzie nasz współlokator, zapuka, a przy zamkniętych drzwiach śpi się spokojniej.

Neonowa reklama PZU, jak i ubiegłego wieczoru, rozjaśniała pokój mdłym" czerwonawym blaskiem. Nie mogłem zasnąć. Dobiegał końca drugi dzień mego pobytu w tym mieście. Ten, kogo szukałem, mógł dojść do wniosku, że minęło już dostatecznie dużo czasu i że nadeszła pora zacierania śladów.

„Dlaczego anonim napisano w dwu egzemplarzach? — zastanawiałem się.

— Na wszelki wypadek? Jaki?"

## 22. ZNOWU RADZUTE

Rano okazało się, że Wojtyn nie wrócił na noc.

Nikt do nas nie pukał, łóżko Wojtyna było starannie zasłane, tylko na kołdrze — jak mogłem tego wczoraj nie zauważyć! — leżał zmięty ręcznik, który Wojtyn zazwyczaj pedantycznie rozprostowywał i wieszał na metalowej poręczy łóżka. Widocznie znów bardzo się spieszył. Ale dokąd? Nowa

55

zagadka. Czy Puchalski wiedział coś na ten temat? Szczerze mówiąc, wszystko to nie bardzo mi się podobało. Przypomniałem sobie, że poprzedniego ranka ja wychodziłem pierwszy i drzwi były otwarte. Przedwczoraj ostatni wrócił Puchalski, w nocy żaden z nich nie wychodził, na pewno to by mnie obudziło. Czyżby wiedział, że rybak nie będzie dziś nocował w hotelu? Dlaczego prosił wieczorem, żeby zamknąć drzwi na klucz?

Ale nasz współlokator gdzieś się zahulał! Może znalazł sobie jaką ciepłą wdówkę... — zwróciłem się do Puchalskiego, który przesunął stół pod okno, żeby mieć miejsce na poranną gimnastykę.

Nie od razu odpowiedział, ponieważ kontrolował oddech, licząc zapewne w myśli: raz, dwa, trzy, cztery.;. — wydech!

— Wątpię — rzekł, opuszczając ręce. Powtórzył ćwiczenie i dodał: — Jakoś to do niego nie pasuje.

— No to gdzie się podział? Raz, dwa, trzy, cztery...

— Może wyjechał. Zajrzałem do szafy.

— Przecież wisi tu jego płaszcz! I na oknie leżą przybory toaletowe!

— Wobec tego — nie wyjechał. Chce pan potrenować rękę?

— Jak to, potrenować?

— Tak! — pokazał. — Mam podziębiony mięsień przedramienia i rano zawsze mnie boli. Lekarz mi poradził żeby tę rękę gimnastykować.

— Dobra.

Przesunęliśmy stół na miejsce, a że kiwał się, pod jedną nogę podłożyłem zwinięty papierek. Usiedliśmy naprzeciwko siebie i splatając dłonie wsparliśmy łokcie o blat stołu. Puchalski miał krzepę, niełatwo było przygiąć jego rękę. Zacisnął zęby, na policzkach mocno zarysowały się szczęki. Potem doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zwycięz-

159  
cą zostanie on. Stopniowo osłabiałem nacisk. Puchalski przycisnął moją rękę do stołu. Odsapnął i powiedział protekcjonalnie:

— Trzeba się co rano gimnastykować, młody człowieku! Uff! Jest pan świetnie zbudowany i co z tego? Wysiada pan wobec staruszka!

— Ładny mi staruszek! Oby wszyscy tacy byli. Na pewno nie ma pan jeszcze czterdziestki.

„Gdzie jest Wojtyn?” — rozmyślałem gorączkowo.

— Czterdzieści jeden. Może jeszcze raz? ?— Chętnie! — podchwyciłem z zapałem.

Ponownie przygiął moją rękę, a ja westchnąłem głośno: -- Fantastycznie!

— Pan też nieźle się spisuje — pochwalił mnie wielkodusznie. — Siły panu nie brak, za pierwszym razem o mało mnie pan nie pokonał. Tylko wytrwałość nie dopisuje.

Wpadł w doskonały nastrój.

Ruszyliśmy do umywalni. On mył się pierwszy, ja — po nim. Kiedy czyściłem zęby, stał za moimi plecami. Opowiedział mi jakiś dowcip. Nie

mogłem śmiać się ze szczotką w ustach i tylko w lustrze oczami dałem mu znak, że dowcip jest wyśmienity. Pochwalił mnie za wyborne poczucie humoru. Gdy wracaliśmy do pokoju, zauważyłem:

— Dziwny facet z tego Wojtyna! Albo pije na umór, albo gdzieś znika.

— Co on pana obchodzi, Boria? Przecież to dorosły człowiek.

— Ma pan rację — zgodziłem się potulnie. — Pójdziemy razem na śniadanie?

Spojrzał na zegar wiszący w korytarzu.

— Troszkę później.

— Wobec tego zbiegnę po papierosy.

Na chwilę zatrzymałem się przy kiosku i szybko ruszyłem bulwarem.

Wilenkin już na mnie czekał. Ten odcinek bulwaru był niewidoczny z okien hotelu, ponieważ zasłaniał go

160

czteropiętrowy gmach Przysiadłem się do Wilenkina i powtarzając wczorajszą manipulację, wyjąłem z książki karteczkę.

— Nie trzeba nic przekazać? — spytał Wilenkin wpatrzony melancholijnie przed siebie.

— Należy ustalić, gdzie Wojtyn spędził noc i gdzie znajduje się obecnie.

— Tak jest.

— Czy macie coś nowego w sprawie kierowcy autobusu z Radzute?

— Znaleźliśmy chłopca. Ten Czerkiz nic nam nie daje. Piątego ani na minutę nie opuszczał rynku.

— Według zeznań chłopca?

— Tak. W meldunku jest o tym mowa.

— Podaj mi szczegóły.

— Jankauskas, który jeździł do Radzute, składał raport w mojej obecności, tak że mogę nawet opowiedzieć z detalami. Chłopca znalazł pod wieczór...

— W jaki sposób?

— Przez dwie godziny łąził po ulicach i zawierał znajomości z pętakami. Dzięki temu wyjaśniło się, że rodzice „Loń-ki z sąsiedniej ulicy” pojechali na wycieczkę do Polski, a jego mieli zostawić u krewnej. Lońka przejechał się nawet autobusem do innego miasta — to znaczy do nas — ale ccś tam nie wyszło i obecnie mieszka u sąsiadów. Zresztą ci rodzice, zdaje się, nie przesadzają z troskliwością i nie mają pretensji, jeśli całe dnie spędza na plaży... — Wilenkin mówił szybko, bez pauz. — Wobec tego Jankauskas wyruszył na „sąsiednią ulicę”. Dobrze trafił, bo Lońka właśnie siedział na ganku i czytał książkę. Okazało się, że to ten sam chłopaczek, który piątego jeździł z Czerkizem. Ma jedenaście lat, bez przerwy czyta, pochłonął już między innymi „Don Kichota”, „Otella” i całego Karola Maya, przy czym wszystko podoba mu się jednakowo. Jankauskas nawet pograł z nim w piłkę na jakimś pustkowiu. Prowadzić piłkę to ten Lońka jeszcze umie

11 — Kastet...

161

jako tako, ale kiedy Jankauskas stanął w bramce, ani rusz nie mógł do niej trafić...

— Może jednak wrócimy do tematu — przerwałem mu z rozdrażnieniem

— Prosiliście o szczegóły.

— Przepraszam... Nerwy mi wysiadają, bo sprawa wciąż tkwi w martwym punkcie. Mów dalej.

— Rodzice Lońki zatelefonowali do tutejszej krewniacz-ki z prośbą, żeby

wyszła po niego na przystanek i zabrała chłopca do siebie —kontynuował Wilenkin, zmieniając ton na chłodno służbowy.

— Nie złość się już — poprosiłem.

— W porządku, przecież rozumiem... Ci rodzice oddali Loń-kę pod opiekę Czerkizowi. Po przyjeździe Czerkiz na wszelki wypadek zamknął autobus, żeby potem chłopaka nie szukać, i obiecał mu lody. Lońka, rzecz jasna, nie spuszczał z niego oczu, czekając na zrealizowanie obietnicy. Poza tym — znalazł się w obcym mieście, siedzi w zamkniętym autobusie, jedynym człowiekiem, którego tu zna, jest Czerkiz... słowem, bał się go zgubić. Twierdzi, że widział kierowcę przez cały czas. Ten zaś dwukrotnie zaglądał do budki dyspozytora, kręcił się po rynku, gadał z innymi szoferami, ale ani na chwilę nigdzie nie odchodził. Po upływie pół godziny kupił chłopcu lody, a sam zaczął grzebać w silniku. Silnik znajduje się w wozie, tak że Lońka i tu miał go na widoku. Potem znów krążył po rynku, później nadal dłubał w silniku. Zeznania chłopca potwierdziła dyspozytorka, która także widziała Czerkiza i na rynku, i przy naprawie silnika. Spytała go nawet, czyj to ten miły chłopaczek, może jego syn? Czerkiz powiedział tylko: „A niech go!...” i machnął ręką. Oczywiście dyspozytorka specjalnie nim się nie zajmowała. Chwaliła go, że to znakomity kierowca, oszczędza paliwo, a ostatnio nawet skrócił czas przebiegu na trasie i przyprowadza . autobus wcześniej, niż przewiduje to rozkład.

„Celowo skoncentrował na sobie uwagę, aby mieć alibi

162

i obiecał chłopcu lody, żeby ten nie spuszczał z niego oczu? Ależ to absurd! Raczej powinien był pozbyć się nieproszonego świadka, jeśli...”

— Czy ten chłopiec przypadkiem nie miał ze sobą jakiejś pasjonującej książki? — spytałem.

— Jankauskas jest facetem pedantycznym — uśmiechnął się Wilenkin — i to też sprawdził. Nie, tym razem Lońka niczego nie czytał.

Może było ich dwu? Jeden zabijał, a Czerkiz... Niby co Czerkiz? Wszystko to bez sensu. Tak, kompletny niewypał.

— Dlaczego ta krewna nie przyszła po chłopca?

— Była bardzo zajęta i po prostu zapomniała, a Lońka nie znał jej adresu.

— Czy Czerkiz nie zastraszył chłopca? Albo na odwrót — może mu coś obiecał za odpowiednie zeznania? — upewniłem się, ale bez cienia nadziei, bo Centaur na pewno by tak nie postąpił.

— Jankauskas twierdzi, że to wykluczone. Chłopiec zachowuje się bardzo naturalnie, poza tym z usposobienia jest uczciwy i szczery. Jankauskas zna się na dzieciach, bo kiedyś pracował w milicyjnej Izbie Dziecka.

Nasze spotkanie przeciągało się niebezpiecznie, wybiegłem przecież tylko po papierosy, a chociaż mówiliśmy bardzo szybko i bez pauz, zabierało to jednak dużo czasu.

— Ankieta Czerkiza jest w porządku?

— Tak, z jednym „ale”: kiedy Jankauskas poprosił o jego akta, kierownik działu kadr dodał, że Czerkiz biegle zna niemiecki — chwalił się tym po pijanemu — natomiast do ankiety tego nie wpisał.

— Kiedy osiedlił się w Radzute?

— Był ranny podczas ofensywy, trafił do szpitala, gdzie przeleżał się do końca wojny i potem już tu został.

— Dlaczego piątego przyjął zastępstwo?

— Inicjatywa wyszła nie od niego, jego zmiennik prosił o to kierownictwo

bazy.

55

— Czy Jankauskas pytał chłopca o ewentualnego pasażera, który mógł wracać razem z nimi?

— Owszem. Nikogo takiego nie było.

— Kiedy Czerkiz znów tu będzie?

— Dzisiaj.

— W porządku.

„Pójdę go obejrzyć — pomyślałem apatycznie — choć właściwie nie warto. Przecież chłopiec go widział. Widział. Widział...” Wyobraziłem sobie rynek i Czerkiza, który wałęsa się w oczekiwaniu na godzinę powrotnego kursu, pogaduje z palącymi papierosy, spluwającymi, śmiejącymi się kierowcami innych autobusów, grzebie w silniku — oraz chłopca nieustannie śledzącego kierowcę wzrokiem. Hm.

— W porządku — powtórzyłem, wstając. — Cześć. Na mnie już czas.

— W meldunku jest dla was niespodzianka — powiedział z przebiegłym uśmiechem Wilenkin. — Moje gratulacje.

Puściłem jego słowa mimo uszu — jest, to świetnie, zaraz" sobie przeczytam — wróciłem pospiesznie do hotelu, zamknąłem się w ubikacji na parterze i rozwinąłem karteczkę. O Czerkizie nieważne — wszystko już wiem. Jedziemy dalej. Wałdmanis zawiadamiał mnie, że kastetu na letnisku nie znaleziono. A! Zatem Surkin kłamał, co zupełnie zmieniało sytuację. Tylko po co kłamał, skoro zdawał sobie sprawę, że z łatwością można go zdemaskować? W dodatku zgłosił się do nas sam. Co prawda nie przypuszczał, że spytamy go o kastet. A może istotne jest dla niego lub jeszcze kogoś właśnie to, że zgłosił się s a m? Hm. Dzień zaczynał się

nieszczególnie. Z meldunku dowiedziałem się również, że anonim napisano na maszynie, która należy do wytwórni mebli. Dzielne chłopaki, załatwili rzecz błyskawicznie. Kto więc jest autorem anonimu? „Busch albo Puchalski — doszedłem do wniosku. — Raczej Busch, bo Puchalski nie zna Surkina nawet z nazwiska. Widział go zaledwie raz, i to przelotnie. Wiemy to co prawda właśnie od Puchalskiego, potwierdzenia nie

55

rna, ale po cóż kłamałby wobec studenta? Choć równie dobrze anonim mógł napisać jeszcze ktoś inny..." Nadal błądziłem jak w lesie. Na brzeżku kartki spostrzegłem nagle dopisek: „Wczoraj, dziewczynka, W — 3600, Wz — 51, czują się świetnie, gratulujemy". Początkowo nie rozumiałem, o cc chodzi. Wreszcie do mnie dotarło. O rany, Tamara urodziła! Mam córkę! Litery „W" i „Wz" oznaczały wagę i wzrost. O tej więc niespodziance mówił Wilenkin! Zapaliłem papierosa. Umówiliśmy się, że jeśli będzie syn, damy mu imię Siergiej, a dziewczynce — Tatiana, Tania, Tanieczka. Tania! A ja siedzę tutaj... O, do diabła! Zamknąłem oczy, usiłując przywołać obraz Tamary. Wózek pożyczymy? na razie od naszych sąsiadów Lingisów, bo ich dziecko już z niego wyrosło. Wszystkie drobiazgi kupiliśmy zawczasu, tylko wózków ciągle nie było, ostatnio powiedziano nam w sklepie, żebyśmy zajrzeli pod koniec miesiąca, bo mają być niemieckie. Łarionow przesiaduje na pewno w klinice, nosi kwiaty i owoce, przysięga w liścikach, że ze mną wszystko jest w porządku i że niedługo będę w domu. Niedługo?... Otworzyłem oczy. Przez maleńkie, do połowy zamalowane okienko wpadało słońce. Spojrzałem na zegarek — spędziłem tu już trzy minuty. Pobiegnę do naszego pokoju.

Cłryba nie zdążyłem zapanować nad twarzą, bo Puchalski spytał:

— Co się stało? Po prostu tryska pan radością. Należało wrócić do właściwej roli.

— Poderwałem dziewczymę. Może spotkamy się wieczorem. A jak pańskie sprawy sercowe?

— Moje? Tak sobie... Udała się panu wczorajsza randka?

— O kayd Pan jest żonaty?

— Mam żonę i dwoje dzieci. Wie pan, jak w tym dowcipie... Zaserwował mi „żołnierski” kawał. Wypadało się roześmiać.

— Idziemy na śniadanie? — spytałem.

— Tak. Niech pan tylko chwilę poczeka,

MS

— Dlaczego?

— Muszę zatelefonować.

— Telefon jest w korytarzu.

— W korytarzu? Nie, zejść na dół i zadzwonię z automatu. — To po drodze.

— Nie, proszę tu na mnie poczekać.

— Po co ma pan wracać na górę?

— Nie szkodzi, to krótko potrwa. Poczeka pan? Wzruszyłem ramionami.

?— Dobrze. Wyszedł.

Było to chyba coś w rodzaju mojej „skrzynki” na bulwarze. Ukryty za firanką czekałem, kiedy Puchalski pokaże się na ulicy. Przeszedł na drugą stronę i rzeczywiście zniknął w budce telefonicznej. Nie chciał więc, żebym słyszał jego rozmowę. Ciekawe... W przeciwieństwie do mnie wrócił wyraźnie zasepiony.

— Wszystko w porządku?

— Co? A nie, niezupełnie — powiedział z roztargnieniem. — Wie pan co, mam dla pana pewną propozycję. Zupełny dro-biażdżek. Zdaje się, że potrzebuje pan pieniędzy?

— Jeszcze jak! — wykrzyknąłem, nie pytając o dalsze szczegóły.

— Idziemy coś zjeść — rzekł energicznie.

Wyszliśmy z hotelu. Jasny, upalny poranek zamieniał się powoli w dzień.

Przed sklepem dla marynarzy stała kolejka.

Ulicą przejechała polewaczka. Minęliśmy grupę turystów, którzy rozglądając się dokoła maszerowali starym brukowanym zaułkiem.

Ostrożnie stawiali nogi na kocich łbach. Rozmawiali po francusku.

Puchalski obrzucił ich oceniającym spojrzeniem.

— Niewąsko się ubierają, co? Prawdziwa Europa! — zauważyłem głośno.

— Ciszej — zmitygował mnie.

166

?— Przecież oni po rosyjsku ani dudu... Idziemy do knajpki, gdzie byliśmy wczoraj?

— Tam nie można dostać jajecznicy, a ja przywykłem do jajek na śniadanie. To bardzo zdrowo, tak jadają Anglicy.

— Oni chyba jadają sadzone? A w ogóle, o ile wiem, z rana napychają się owsianką.

— Pan zapewne dużo czyta, Boria — pochwalił Puchalski. — Bardzo to dobrze o panu świadczy.

Czułem, że waha się jeszcze, czy istotnie ma mi zrobić „pewną propozycję”. Widocznie coś nawaliło, może zawiodła jakaś śrubka w nienagannie dotychczas funkcjonującej maszynie i nie miał innego

wyboru. To był mój atut, ale nie należało przeciągać struny — im naturalniej wszystko wypadnie, tym lepiej.

— Czytam najczęściej z nudów, od czasu do czasu. Zresztą nad książki przekładam życie. Nie cierpię moli książkowych.

— Zdarzają się książki ciekawsze niż życie — mgliście za-replikował Puchalski.

— E! Zależy, jakie życie — plotłem trzy po trzy. — Ja lubię takie z fasonem! Pan mnie rozumie, no nie? Na dziewczyny nie narzekam — w domu mam ciuchowy garniturek w paseczki. idę ulicą, krok sprężysty, w zębach dobry papieros, oko błyszczy — każda się złamie... — Urwałem nagle jakby w obawie, że posuwam się w tych „zwierzeniach” za daleko. Skręciliśmy za róg.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Puchalski. — To tutaj. Była to sympatyczna kawiarenka w modnym ludowym stylu. Miała przytulne wnętrze ze ścianami „pod boazerię”, stare sztychy i wiszące latarenki. Wybraliśmy stolik i siedzieliśmy chwilę v/ milczeniu. Przerwałem je pytaniem, czy Puchalski wie już coś o meblach dla profesora.

— Zrobi się — rzucił krótko.

— Obgadane?

— Obgadane.

55

W wytwórni od wczoraj nie był, musiał więc rozmawiać z kimś przez telefon albo przy okazji jakiegoś spotkania.

— Drogo?

— Z dodatkowymi kosztami czterysta pięćdziesiąt. Pan wie, trzeba dać w

łapę jednemu, drugiemu... Profesor to wytrzyma?

— Jasne! Niedawno wydał podręcznik i forsy ma jak lodu. Serdecznie panu dziękuję.

Ani na chwałę nie opuszczała mnie myśl o tajemniczym zniknięciu Wojtyna.

— Potem mi pan podziękuje. A na razie — przysługa za przf^ługę.

— Cały zamieniam się w słuch. — Skwapliwie przysunąłem fotelik bliżej.

— Chodzi o drobiazg, a opłata jest królewska. Zresztą to nawet nie moja sprawa, lecz jednego z moich dalekich znajomych.

„Jaki ostrożny” — zauważyłem w duchu.

Puchalski pedantycznie smarował chleb. Ugryzł. Przełknął. Czekałem cierpliwie.

— Sprawa jest następująca... Pan dysponuje dziś czasem?

— Dzisiaj i zawsze

— Trzeba odwieźć walizeczkę, niezbyt daleko i komuś ją oddać. To wszystko.

Cała kombinacja mogła być sprytnym manewrem. Powiedzmy, że Puchalski zabił Iszczenkę i urządziło go aresztowanie za spekulację. Dostanie wyrok, zniknie ze sceny — i spokój, a nuż śledztwo utknie w ślepej uliczce. Licząc, że na niego doniosę, celowo zwrócił się z tą propozycją do pierwszego, kogo ma pod ręką. Jak na Centaura był to chwyt raczej prymitywny. A jeżeli Puchalski i to przewidział, zakładając, że nie będziemy kopać pod nim zbyt głęboko, zbici z tropu jego nieudolnością? Nie, to byłoby nadmiernie skomplikowane, poza tym Puchalski badał mnie przecież ostrożnie, czy może mi zaufać, w czym zresztą starałem się go utwierdzić. Uświa

domiłem sobie ponadto rzecz paradoksalną — że historia z marynarką przemawia na jego korzyść. Powiedziałem:

— Niech pan daje tę swoją walizeczkę.

Czy jednak rozumiem trafnie? Puchalski niewątpliwie jest kanciarzem i przyjechał tu załatwiać swoje brudne interesy, ale te sprawy mnie nie obchodzą. Co przemawia za tym, że mógł być Centaurem? „Doskonale zna niemiecki, jest sprawny fizycznie...” — brzmiała charakterystyka zdrajcy. Puchalski teraz nie pił, ale dawniej, jak sam twierdzi, lubił zaglądać do kieliszka. Tatuaz. Luka w życiorysie w latach 43-44 — dotychczas nie zdołaliśmy ustalić, co w tym okresie robił i gdzie się znajdował. Ale marynarka! Moim zdaniem historia z marynarką dawała się wyjaśnić w jeden tylko sposób, który wykluczał udział Puchalskiego w zabójstwie Iszczenki. Być może, w moim rozumowaniu brakowało jakiegoś ogniwa, które naruszało logiczny ciąg faktów prowadzących do wniosku, że Centaurem jest Puchalski. Ale przeciw temu świadczy znowu fakt, że Centaur miałby alibi, zresztą też jedynie według schematycznych reguł gry. A jeżeli, na przykład, w odpowiednim momencie „przypomni” sobie nagle, że ma alibi? Czyżby Puchalski zdolny był prowadzić tę grę na tak wyrafinowanym poziomie? Nie, na razie nie mogę podejmować ostatecznej decyzji w sprawie Puchalskiego — postanowiłem. — Trzeba z tym jeszcze poczekać.

Puchalski podciągnął mankiet koszuli i spojrzął na zegarek.

— Nie tak ostro, młody człowieku! Chwilowo jej w ogóle nie mam.

Zawieźć ją trzeba do Radzute, jednej z tutejszych nadmorskich miejscowości.

Oślupiałem. Znowu Radzute. Zaczynało mnie to już fascynować. Wybierałem się tam. ale dopiero po jakimś czasie, teraz nie mogłem stąd wyjechać. Wziąć walizkę i gdzieś z nią przeczekać? To też źle, bo wyłączało mnie z akcji, a w każdej chwili coś mogło się zdarzyć, napięcie wyraźnie wzrastało,

169

wciąż myślałem o zniknięciu Wojtyna. Odmówić? To znów Puchalskiemu wyda się podejrzanе. Zauważył moje wahanie.

— No więc jak?

— Koniecznie dzisiaj trzeba jechać?

— Tak.

Podjąłem już decyzję.

— Ile? — spytałem z całą obojętnością, na jaką było mnie stać.

— Chodzi panu o zapłatę? Naprawdę dobra.

— Chciałbym wiedzieć... Zastanowił się chwilę.

— Może pan uważać, że dwadzieścia pięć nowych rubli ma pan już w kieszeni.

Popęłnił kolejny błąd: jeśli nie on był „klientem”, to cena została już ustalona, i nie powinien się zastanawiać.

— Tak mało?!

Na jego twarzy odczytałem zdumienie.

— Mało? A ile pan by chciał? Wystarczy pojechać i bez jakichkolwiek kłopotów oddać tylko walizeczkę.

— O tych kłopotach coś niecoś wiem. Z Kodeksem Karnym znamy się, jak dotychczas, tylko zaocznie. I chwała Bogu! Proponuje pan dwadzieścia pięć rubli za oddanie wa-li-zecz-ki, co mi pachnie bliższą znajomością z

KK. Nic mnie nie obchodzi, co jest w tej walizeczce, nie zamierzam jednak ryzykować wolnością za taką nędzną sumkę.

Znowu zajął się smarowaniem chleba.

— Nie zamierzam pana namawiać — powiedział wreszcie — aie to jest coś zupełnie innego, niż pan sądzi I nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu mój znajomy znalazł się w kłopotliwej sytuacji i natychmiast trzeba mu przesłać rzeczy. Właśnie dlatego oferuje taką sumę. W końcu to jego rzecz, i powtarzam — nic zamierzam pana namawiać. Jaka jest pańska cena?

— Dlaczego sam pan nie pospieszy znajomemu z pomocą?

55

— To już inna sprawa. Więc ile pan żąda?

Teraz ja zastanawiałem się chwilę i wreszcie rąbnąłem:

— Sto pięćdziesiąt.

— Ile?

?— Sto pięćdziesiąt rubli i zero zero kopiejek. Połowa z góry.

Obejrzał mnie z dużym zainteresowaniem. Potem, zdjął okulary i zaczął je przecierać. Przestraszyłem się, że go razi apopleksja.

— To zupełnie nierealne i nie mogę tej sumy zaakceptować — odparł. —

A właściwie nie ja, lecz mój znajomy. Nie jest aż tak bogaty, żeby płacić tyle pieniędzy za zwykłe przewiezienie paczki. Niech pan uważa naszą rozmowę za niebyłą.

— Poznałem tu pewnego chłopaka, może on by się zgodził — powiedziałem obojętnie.

Puchalski omiółł mnie przelotnym spojrzeniem i skoncentrował całą uwagę na jajeczniczy.

, — Och, dziękuję — rzekł. — Niech pan o tym w ogóle zapomni. To był

tylko żart.

— Jeszcze jeden z kolekcji pańskich dowcipów?

— Uhm.

Chyba niepotrzebnie wystąpiłem z tą propozycją, bo Puchalski jakby stracił do mnie zaufanie. Znajdował się jednak w sytuacji bez wyjścia i albo nadal będzie kogoś szukał, albo pojedzie do Radzute sam.

Prześledzenie jego kontaktów nie przedstawiało najmniejszych trudności.

Pod pretekstem wyprawy do toalety poszedłem do automatu

telefonicznego, który wisiał przy szatni za portierą. W pobliżu nie było

nikogo. Stałem tak, żeby nie być widocznym z salki (sam natomiast

widziałem Puchalskiego przez szparę między drzwiami i portierą) i szybko

nakręciłem numer. „Dobrze, że dzwonicie — ucieszył się dyżurny. — Szef

kazał was powiadomić o znalezieniu tej zabaweczki. Tam, na lotnisku,

były dwa »domki z serduszkami«, klient niedokładnie wskazał miejsce".

Więc

171

jednak istniały dwa kastety. Swoją drogą, co za niezwykły zbieg

okoliczności — obydwie ujawniły się jednocześnie z okazji śledztwa,

przeleżawszy tyle lat „bez pożytku". Niestety, to „bez pożytku"

niezupełnie odpowiadało prawdzie... „Jestem w kawiarni »Waldija« —

powiedziałem — ze współ-lokatorem z hotelu, ale nie rybakiem, lecz tym

drugim. A propos — czy o rybaku nadal nic nie wiadomo?" „Na razie nie".

„Dobrze, przyślijcie kogoś do kawiarni. Zatrzymam mego towarzysza

przez dziesięć minut. Chce przesłać do Radzute walizkę, pojedzie z nią

sam albo kogoś pośle. Należy wziąć go pod obserwację. Porozumcie się z

tamtejszym oddziałem". - „Tak jest" — odparł dyżurny. Odwiesiłem

słuchawkę i wróciłem do stolika.

Po chwili milczenia zaproponowałem:

— Może wypijemy po jednym?

— Nie piję.

— Wcale?

— Wcale.

— Pozbawia się pan jednej z większych przyjemności! Zna pan może dowcip o chorym, który podczas kolejnej wizyty powiada do lekarza: „Zgodnie z zaleceniem pana doktora rzuciłem palenie, przestałem pić i biegać za kobietami”, a lekarz na to: „Po co więc pan w ogóle żyje, drogi przyjacielu?”

— Mnie też lekarze zabronili pić.

— „Oj, to niedobrze! Wie pan, te kawiarenki tu, na Wybrzeżu, są ogromnie sympatyczne! Na przykład nasza. Same latarenki ile są warte! Po prostu przyjemnie posiedzieć. Zupełnie co innego niż jakiś bar szybkiej obsługi w Moskwie, chociaż tam też zdarzają się teraz sympatyczne miejsca. Bywa pan w Moskwie?”

— Niekiedy — odparł Puchalski tonem prawdziwego dżentelmena.

— Bo ja bardzo lubię Moskwę. Ostatecznie przeżyłem<sup>^</sup> w niej te swoje świadome lata. Może zatrzymuje się pan w „Mińsku”? Tam jest teraz szalowa restauracja! W ogóle

55

dobra restauracja — na stoliku koniak, muzyczka gra... Ech!... Wie pan co? Załatwię to za sto trzydzieści, zgoda?

— Nie. Wyjaśniłem już panu, że to tylko żart i nie mówmy więcej na ten temat.

— No to sto dwadzieścia!

— Idziemy?

— Jak pan sobie życzy.

Dziesięć minut minęło, mój kolega powinien tu już być. Wyszliśmy z kawiarni. Ulica była pusta, tylko naprzeciw wyjścia siedział na ławce jakiś mężczyzna.

— Wraca pan do hotelu? — spytałem Puchalskiego.

— Nie. Idę w przeciwnym kierunku.

— A ja wstąpię po kąpielówki. Może pójdę na plażę.

— Powodzenia — pożegnał mnie chłodno Puchalski. Rozeszliśmy się w różne strony. Po jakimś czasie rzuciłem spojrzenie do tyłu. Człowiek siedzący na ławce starannie złożył gazetę i ruszył śladem Puchalskiego.

Szedł powoli, oglądając wystawy.

Ktoś wziął mnie pod rękę

— Co słyhać? Nie nudzi się panu? Była to Bystrycka.

— A pani?

— Cały ranek spędziłam na plaży.

— Spiesz się pani teraz?

— I to bardzo. Ciotka skrobie ryby, a mnie wysłała po żelatynę do galarety

— Kiedy się spotkamy?

— Dzisiaj wieczorem będę w „Majaku”. Wprawdzie zaprosił mnie tam Siemion... ale ucieszę się, jeśli pan przyjdzie.

— Doskonale. Przyjdę na pewno, potańczymy sobie... — Bystrycka znów nie będzie sama. Trudno, coś się wymyśli na miejscu. — No to cześć.

Niech pani pędzi, bo ciotka będzie zła.

— Cześć!

Surkin zeznał, że kiedy skręcił w przechodnie podwórko,

17S

Bystryckiej tam nie było. Jeśli to prawda, można by przypuszczać, iż jej zadanie polegało na ustaleniu, czy Iszczenko pójdzie tamtędy, czy nie. A na podwórzu czekał na niego Centaur. Hm, „Czyżbym się mylił co do Bystryckiej?” — za-^ dałem sobie w duchu pytanie.

### 23. GDZIE BYŁ WOJTYN?

Istotnie postanowiłem wstąpić na chwilę do hotelu, by zobaczyć, czy przypadkiem nie wrócił Wojtyn — nie na żartJ byłem zaniepokojony jego nieobecnością. Klucz od naszego pokoju wisiał na tablicy w recepcji, kiedy zaś otworzyłem drzwi, stało się jasne, że podczas mojej nieobecności nikt do pokoju nie wchodził.

Usiadłem na łóżku wpatrzony tępo w przeciwległą ścianę. Pokój kapał się w słońcu. Było cicho, tylko gdzieś na końcu korytarza huczał odkurzacz. Zbyt wiele działało w tej sprawie przypadków. Zabity^ Iszczenko ubrany był w marynarkę Puchalskiego. Mieszkanie Buscha zalane zostało właśnie w chwili morderstwa. W tym samym momencie Wojtyn schodził po papierosy. Surkin miał kastet podobny jak dwie krople wody do tego, którym zamordowano Iszczenkę. Bystrycką śledziła Iszczenkę na parę minut przed morderstwem. Śledził go również Surkin. A kierowca autobusu z Radzute? Tu już wchodziły w grę aż dwa zbiegi okoliczności — rozkład jazdy oraz zastępstwo akurat piątego czerwca. Właściwie, nawet trzy, bo Czerkiz ukrywa znajomość niemieckiego. Ma jednak alibi, które zabezpieczył mu Lonia, i to alibi murowane. Najważniejsze zaś, że było ono przypadkowe i nie mogło być przygotowane zawczasuJ Hm...

Postanowiłem iść na rynek, żeby jeszcze raz się rozejrzeć. Rynek przyciągał mnie jak magnes. Przy okazji chciałem obejrzeć sobie Czerkiza. Spojrzałem na zegarek: aut bus już przyszedł. Wypadłem z pokoju, szybko zbiegłem z

174

schodów i znalazłem się na ulicy. „Muszę skrócić w prawo” — podpowiedziała mi pamięć. I natychmiast za rogiem zderzyłem się z Wojtynem. Mruczał coś do siebie, pogrążony w myślach.

— Halo!

— A, to ty, studencie — odparł apatycznie.

— Dzień dobry! — powiedziałem i z miejsca na niego wsiadłem: — Gdzie pan przepada? Byłem już niespokojny, że coś się panu stało!

— Co mi się może stać?

— Należałoby przynajmniej uprzedzić o swoich nocnych wyprawach!

— Już od dawna tego nie robię, wyrosłem z tych lat.

— Wyjeżdżał pan dokądś?

— Wyjeżdżałem.

— Znudziło się tu panu?

— Uhm.

— No i co?

— I nic.

Znalazłem się w ślepej uliczce, postanowiłem więc zacząć od drugiego końca.

— Chętnie bym coś wypił, a nasz współlokator to abstynent, lekarze zabronili mu pić. No i czekałem na pana. Może gdzieś wstąpimy?

— Podobno wyznajesz zasadę, że rano się nie pije! — burknął marynarz.

— Zasady dopiero wtedy mają sens, kiedy się je łamie! To zresztą nie moja rnyśl, lecz któregoś z klasyków, ale całkowicie go popieram.- To co, wypijemy?

— Za rogiem jest barek z automatami. Można dostać port-wajn na szklanki.

— Świetnie! A zakąska?

— Bez niej nie umiesz? Kup sobie cukierek — też tam są. Zegarek wskazywał piętnaście po jedenastej — nie musiałem się spieszyć na dworzec autobusowy. Na razie ważniejszy

55

był Wojtyn. Zabrzęczałem drobniakami w kieszeni i ruszyliśmy do barku.

— Ja stawiam! — oświadczyłem kategorycznie.

— Nie podskakuj. Przecież potrzebujesz pieniędzy.

— Wszyscy potrzebują, ale poprzednim razem ja piłem pańskie wino.

— Nie cierpię takich rozliczeń! — powiedział Wojtyn. Nie znoszę! Jesteś za młody, żeby ze mną się sprzeczać i mi stawiać. A może to znów jakaś twoja zasada?

— Wobec tego po połowie — uległem.

Weszliśmy do barku, gdzie stały automaty, takie same jak z wodą sodową. W ich okienkach wystawione były etykiety z butelek, odpowiadające zawartości automatów: „Portwajn”, „Winiak”, „Wermut”... Wojtyn wziął w kasie żetony, jeden podał mnie.

— Potem — odsunął moją rękę z pieniędzmi. — Mamy czas na rachunki. Ejże. szklanki znowu brudne?

— Patrzcie go, jaki wybredny! — zawołała kasjerka. — Znalazł się książę Walii! — W jej głosie brzmiała wyraźna sympatia dla Wojtyna. —

Przychodzi ze dwa razy na dzień i za każdym razem wybrzydza, że brudne! Tylko wczoraj go nie było, a tak to przychodzi punktualnie jak do roboty.

Wojtyn puścił ostatnie zdanie mimo uszu.

— Właściwie ona ma rację, alkohol zabija bakterie. — Nacisnął guziczek.

Wewnątrz automatu coś zafurczało, z kranu pociekł cieniutki strumyczek.

Wojtyn obejrzał szklankę pod światło i trącił się ze mną.

— Nie wybiera się pan na plażę? — spytałem odstawiając szklankę.

— Po diabła miałbym tam chodzić?

— Słoneczko grzeje, piasek gorący. W ogóle przyroda spisuje się na medal.

— Za to nastrój nie ten. No, pij!

— Jakoś mi nie idzie... A nastrój zaraz się poprawi! Jedziemy?

55

— Nie.

— Jutro będzie deszcz! — zapowiedziałem. — Będzie pan chciał się opalać, a tu klops.

„Jutro... ?— przemknęło mi przez myśl. — Jutro minie tydzień od zabójstwa Iszczenki”.

— Ja już nie wierzę w żadne przepowiednie. Co będzie jutro, tylko jeden Pan Bóg wie. Zresztą ja też — posepnie odparł Wojtyn ze wzrokiem wbitym w brudne kafelki podłogi.

— Może i mnie pan powie? Wtedy będziemy wiedzieli we trójkę: Bóg, pan i ja.

— Co?

— Co będzie jutro.

Uniósł głowę i popatrzył na mnie ironicznie zmrużonymi oczami.

— Za dużo chciałbyś wiedzieć, jeszcze ci zaszkodzi.

— Lepiej, żeby nie.

— To nie zadawaj pytań. Gdybyś był rybakiem na moim trawlerze, raz-dwa bym cię tego oduczyl.

— „...płynie ryba-cud, a za nią w ślad rybacy” — zanuciłem.

— Ano właśnie — powiedział ze smutkiem Wojtyn. — Wypijemy?

— Pomalutku. Dokąd pan się spieszy?

— Na dokądkową górkę. Do lepszych ludzi. Na tamten świat. Wystarczy ci?

— Trochę tam na pana za wcześnie.

— Sama pora.

— Jeśli będzie pan tak złopał, długo pan nie pożyje — wtrąciła kasjerka, potrząsając olśniewającą fryzurą — i migiem odwali kite.

— Nie kracz — uciał Wojtyn i nieoczekiwanie stał się rozmowny: —

Kapujesz, studencie, najważniejsze, żeby mieć cierpliwość, bo cierpliwość to duża rzecz. Byłem jungą na „handlowcu”, kiedyś wpłynęliśmy do Port Saidu. Przy trapie

12 — Kastet...

177

stał bosy policjant ze strzelbą na ramieniu. Miała tak ze dwieście lat, niosła na pięćdziesiąt kroków okrągłymi kulkami. Poprosiłem policjanta, żeby mi ją pokazał. Ten wydał policzki\* zrobił groźną minę i wyjaśnia na migi, że nie wolno. Proszę go znowu, a on się przede mną tylko opęda. Ale w południe! rozesłał dywanik, odłożył broń i zaczął się modlić. Rozmawiał ze swoim bogiem. Rąbnąłem mu strzelbę i rozebrałem.<sup>1</sup> To była

bardzo ciekawa broń... A jaki stąd morał? Zwyciężyłem cierpliwością... Rozumiesz, do czego piję? Co? Nie rozumiałem, ale o nic nie pytałem. Kasjerka słuchała wsparta biustem o kasę, podpierając! dłońmi tłuste policzki.

— Nareszcie postawię kropkę. Najwyższy czas. Cierpliwość] to duża rzecz — mamrotał niewyraźnie, oglądając swoją dłoń. Ścisnął palcami szklanke, która wysliznęła mu się z ręki i rozbiła na podłodze. — Ech!

— Ja posprzątam! — krzyknęła kasjerka. — Niech pan sid nie fatyguje!

— Zresztą, co ty tam wiesz — dodał Wojtyn. — Wylegaj się na słoneczku i opalaj.

— To z tym właśnie związane jest pańskie nocne zniknie-] cie? — spytałem już teraz serio.

Ponownie spojrzał na mnie zmrużonymi oczami. Wyczytałem w nich niechęć.

— Przepraszam, jeśli...

— Znowu zaczynasz? Wciąż tylko przepraszasz. Wypijesz! jeszcze? Nie?

No, to idziemy. Ja do hotelu, a ty wędruj natęł swoją plażę. I nie rób obrażonej miny, bo tego nie lubię. Że-] gnaj, tłuscioszko — skinął kasjerce.

— Niezbyt optymistycznie patrzy pan na życie — zauwa-] żyłem.

— A, bzdury! — machnął ręką i szybko odszedł, zataczając] się lekko.

„Chwała Bogu, nic mu się nie stało — rozmyślałem, kie-]

178

rując się w stronę rynku. — Ale co miało się stać? Nie wiem. W ogóle niczego nie wiem. Niczego, niczego nie wiem..." Zdałem sobie sprawę, że moje nerwy zaczynają zawodzić. Niedobrze.

Po kilku minutach dotarłem do rynku. Ogromne lśniące autobusy tłoczyły się jeden tuż obok drugiego jak stado prehistorycznych zwierząt.

Przy jednym z nich, stojącym nieco na uboczu, wiercił się przed bocznym lusterkiem kierowca w niebieskiej płóciennej bluzie. Był krępy i łysy.

Palcem rozciągał wargi, usiłując zajrzeć jak najgłębiej do ust. Potem mruknął coś ze złością i splunął.

Skończyły mi się zapalki, podszedłem więc do niego.

— Boli pana ząb? — zagadnąłem.

— Rwał mnie przez całą noc cholera!

— Musi pan iść do dentysty.

— A kto za mnie będzie robił! Krasnoludki? — splunął ponownie. Miał chyba z pięćdziesiątkę.

— Można prosić o ogień?

Obmacał kieszenie kurtki i wyjął zapalki.

— Pięknie dziękuję.

Pod stopą poczułem jakby kamyk. Odsunąłem nogę. Na ziemi leżał klucz. Podniosłem go.

— Może Jo pan zgubił?

— Ja, chłopcze, klucze noszę na kółku. O, proszę. I nie jestem z tych, co je gubią.

Już chciałem klucz wyrzucić, ale moją uwagę przykuł jego niezwykły kształt. Rany boskie, toż to klucz Wojtyna! A więc był tu dzisiaj.

Schowałem klucz do kieszeni i mrugnąłem do kierowcy.

— Po co ma zmarnieć, w gospodarstwie wszystko się przyda. Staliśmy obok przednich drzwi autobusu. Spojrzałem na tabliczkę z trasą. Autobus przyjechał z Radzute. Wewnątrz siedzieli już

pasażerowie.

?— Od razu po przyjeździe wpuszcza pan pasażerów do wo

55

zu? Nie podjeżdża pan na przystanek? — spytałem tonem peł-] nym szacunku dla szoferskiej profesji. To chyba był Czerkiz. Jego dużą twarz, zniekształcał grymas bólu.

— Po cholere miałbym podjeżdżać?

— Ci z kolejki tłamszą wysiadających!

— Nie tłamszą. Och, jak boli!

— Prędko pan odjeżdża?

— Za pięć minut. Właż, bo nie będę na ciebie czekał.

Hm. Klucz Wojtyna. To znaczy, że... Diabli wiedzą, co to znaczy! Jasne było zaledwie tyle, że Wojtyn miał jakieś inte-l resy w Radzute. Ale jakie? Jeszcze jeden zbieg okoliczności?

Tamtego ranka Czerkiz dwukrotnie grzebał w silniku. Sil—I nik znajduje się w kabinie. Jeśli podnieść chroniącą go klapę,] z zewnątrz nie widać, czy ktoś za nią jest. Czerkiz zrobił to jakby umyślnie, dzięki czemu inni kierowcy zachowali wrażenie jego ciągłej obecności i nie mogą powiedzieć, że znajdował się poza zasięgiem ich wzroku tylko jeden raz. Odchodził, wracał. Nawet jeśli przesłuchać wszystkich, zeznania będą zgodne, że kręcił się tu cały czas. Jedni widzieli go przy reperacji silnika, inni — w budce dyspozytora. Ale chłopiec... Ten widział go przez cały czas, także gdy Czerkiz sprawdzał silnik, bo część dla pasażerów jest położona wyżej niż szoferka. Uświadomiłem sobie z niepokojem, że zaczynam-gubić się w szczegółach i zatracam umiejętność oddzielania rzeczy istotnych od mało ważnych. A wszystko dlatego, że) boję się g o

przegapić. Jak tak dalej pójdzie, przegapię naprawdę...

Czerkiz znowu jęknął, chwycił się za policzek i zawołał do mijającego nas kierowcy w takiej samej niebieskiej bluzie:

?— Cześć, Piotrze Karpyczu! Ząb mnie tak boli, że mam ochotę wyć. Całą noc nie dawał mi spać!...

Odszedłem od autobusu. Zajrzałem do budki dyspozytora. Miała tylko jedno drzwi, dokładnie na wprost przystanku. Tutaj nie było gdzie się ukryć. Wszyscy kierowcy noszą nie

55

bieskie bluzy. „I. co z tego? — ciekły ospale moje myśli. — przecież to nie czapki-niewidki”. Chłopiec nie spuszczał Czerkiza z oka. Czekał na obiecane lody, a nie, na przykład, kopał piłkę. Zresztą nie bardzo mu to kopanie wychodzi, prowadzić piłkę umie, a do bramki nie trafia. Zaraz, zaraz, nie trafia? Stop Lońka czyta bardzo dużo, nieustannie. Rodzice o niego nie dbają. Do bramki nie trafia. No? E tam, bzdury. A jednak...

Wróciłem do słupa z rozkładem jazdy. Autobus do Radzute właśnie odjeżdżał. Odprowadziłem go wzrokiem: nie było w nim ani Puchalskiego, ani towarzyszącego mu wywiadowcy.

„To zaledwie jedna szansa na tysiąc — myślałem opuszczając rynek — ale ją również muszę brać pod uwagę...”

## 24. KTO KOGO?

Wchodziłem na hotelowe schody powoli, bo i tu upał dawał się we znaki.

Na podeście między parterem i pierwszym piętrzem znana mi już sprzątaczką („Taki łajdak! — przypomniałem sobie. — Uszczypnął mnie...”) posypywała chodnik zużytą herbatą i czyściła go szczotką. Nieco wyżej bawił się ołowianymi żołnierzami siedzący na stopniu

dziewięcioletni chłopczyk — pewnie jej syn.

— Dzień dobry — powiedziałem.

— Z którego pan jest pokoju?

— Trzysta pięć.

— U panów już sprzątnęłam. Myślałam, że może z trzysta dziewięć, bo stamtąd wszyscy wyszli i zabrali ze sobą klucz.

— My jesteśmy zdyscyplinowani — odparłem, kierując się do naszego pokoju. v

Był zamknięty.

Wróciłem na pierwsze piętro.

181

Dyżurna — dama z wyskubanymi brwiami — zakomunikol wała podając mi klucz:

— Tutaj ktoś pana szukał. Czekali na pana, ale bezskuteczni nie.

— Kilka osób? — zdziwiłem się.

— Dlaczego kilka? Jeden pan. Taki okrągłutki i bez przerw mruga oczami. Powie słówko i zaraz mrugnie.

Domyśliłem się, że chodzi o Buscha.

— Czekał na mnie tutaj?

— Nie, oddał mi klucz.

— Jaki klucz? Może pani opowie wszystko po kolei.

— No od waszego pokoju! Przynosi klucz i oddaje. Powiał dam, że przecież u nas nie mieszka. A on na to: „Nie mieszkał kam, ale czekałem na młodego człowieka z pokoju trzysta pięć, dłużej czekać nie mogę, może on wróci dopiero wieczorem! niech pani weźmie ode mnie klucz". Proszę nie niepokoić się o rzeczy. Ja tego pana znam. Przychodził tu do gościa,

któregl zabili. Na pewno pan o tym słyszał.

— Ale skąd wziął klucz?

— Od rybaka. To jest pijaczysko, niech ręka boska bronil Nie wiadomo dlaczego uświadomiłem sobie nagle, że jutro wypada dyżur Bystryckiej.

— Ten okrągłutki pan nie zostawił dla mnie żadnej wia-1 domości?

— Nie. Przysiadł tu na chwilę, sięgnął po jakieś czasopismo! westchnął, powiedział: „Okropnie nudno żyć na bożym świe-1 cie” — i poszedł sobie. W pokoju było duszno.

Dochodziła pierwsza. Niedziela, upał. Postanowiłem zabrać! kąpielówki i skoczyć na plażę. Mogłem tam teraz spotkać pra-1 wie wszystkich, którzy mnie interesowali.

Wyciągnąłem walizkę spod łóżka (nigdy nie zamykałem jej na kluczyk) i podniosłem wieko. Wśród rzeczy czegoś brako-1 wało. Nie od razu zdałem sobie sprawę, że chodzi o aparat fo-1 tograficzny. N8 pewno nie przełożyłem go do nocnej szafki!

55

Wczoraj, kiedy wyjmowałem przybory do golenia, jeszcze był. Dzisiaj rano też. Ukradli?

W portfelu niczego nie brakowało.

— Bardzo to dziwne — powiedziałem na głos.

Wojtyn? Oczywiście nie. Puchalski? Nie zniżyłby się do kradzieży w pokoju hotelowym. Busch? To już całkiem bez sensu.

—? Poszkodowanym jest student. Co wam szkodzi, towarzyszu starszy lejtnancie, przeprowadzić śledztwo i pomóc biednemu studentowi? — mamrotałem głośno. — Niech mi pan pomoże, bardzo proszę.

Zapaliłem papierosa. Trzeba będzie pobiec do dyżurnej i gwałtownie gestykułując podzielić się z nią zmartwieniem Swoją drogą znakomicie wszedłem „w rolę”. Zwracanie na siebie uwagi nie bardzo było mi na rękę, ale aparat fotograficzny to dla studenta cały majątek.

Wróciłem więc znowu na pierwsze piętro.

Kiedy szedłem korytarzem, o mało nie rymnąłem na deski porzucone pod ścianą, bo nastąpiłem na sznurowadło. Pochyliłem się, by je zawiązać, między deskami coś zamajaczyło. Uniosłem nieco leżącą najwyżej. Pod nią zobaczyłem moją „Smienę-2” w rozpiętym futerale. A więc to tak! Natychmiast odłożyłem deskę na miejsce. Nie ja tu aparat schowałem i nie ja będę go stąd wyjmował. Nikt mnie chyba nie zauważył. Biurka dyżurnej z tego miejsca nie było widać, ponieważ korytarz skręcał, a zatem i ona nie mogła mnie widzieć.

W pokoju wyciągnąłem się na łóżku.

Ktoś wykradł aparat fotograficzny i ukrył. Dziwny złodziej, który tak bezmyślnie chowa skradziony przedmiot. Wzięłeś — i zwiewaj jak najdalej. Może ktoś go spłoszył? Niemożliwe! Jeśli udało się już wynieść aparat z pokoju i zejść z nim piętro niżej, nasłuszniej byłoby udawać, że jest po prostu własny.

Ułożyłem się wygodniej i zacząłem kombinować dalej. A nuż ten ktoś tylko upozorował kradzież i chodziło mu wy

183

łącznie o to, bym zauważył zniknięcie „Smieny”? W takich przypadkach jako właściciel aparatu miałbym szczęście, i to du-1 że! Powstawało jednak pytanie, dlaczego ukryto go wśród de-1 sek? No, dobrze, dzisiaj jest niedziela, ale jutro przecież mogą przyjść malarze.

Na razie przyjąłem hipotezę, że złodziej nie był złodziejem.] Po co ta inscenizacja? Anonim napisany w celu wprowadzenia] nas w błąd dawał się logicznie wytłumaczyć, ale co ja, moskiewski student, miałem wspólnego ze sprawą zabójstwa?

Doszedłem ostatecznie do wniosku, że tajemniczy złodziej! ma wątpliwości, czy naprawdę jestem studentem. Kradzież] była mu potrzebna, by przekonać się, jak na nią zareaguję,] a mogłem zareagować dwojako: albo jeśli jestem studentem —1 narobić krzyku, albo — jeśli jestem bardzo młodym (mój wy-1 gład wprowadzał w błąd absolutnie wszystkich) i nie doświad-1 czonym pracownikiem organów śledczych — siedzieć cicho] co mnie zdemaskuje. Tak zresztą zamierzałem właśnie zrobić i kiedy odkry-łem kradzież. Swoją drogą, ta metoda ustalenia] mojej tożsamości była raczej oryginalna i prymitywna. Skoro] jednak sprawa wyglądała w ten sposób, należało dowiedzieć] się, czy jutro przyjdą malarze, a jeżeli nie — to kto może] o tym wiedzieć?

No tak.

Idziemy zameldować o kradzieży.

I w tym momencie doznałem olśnienia. Aparat leży między] deskami, o czym nie powinienem wiedzieć. Co o n zrobi, je-j żeli połknę haczyk?

Przecież zastawił tę pułapkę nie z samej I ciekawości i doskonale wie, że prędzej czy później musi wpaść.] Jak więc teraz postąpi? W przypadku reakcji biernej będzie] wystrzegał się przede wszystkim mnie, tracąc czujność wobec] innych. Jeżeli przejawię aktywność — może się skryć. I wresz-1 cie, gdyby uznał, że jestem na właściwym tropie, spróbuje]

?inie sprzątnąć. Tak, tylko że nowe zabójstwo to dodatkowe! poszlaki, i

taka kombinacja mogła być dla niego użyteczna] jedynie w wypadku, gdyby podejrzenie o to morderstwo zdo-

55

łał skierować na kogoś innego, dzięki czemu uniknąłby również oskarżenia o zabicie Iszczenki. Równie dobrze zbrodniarz może uważać się za już wykrytego, na przykład wskutek własnej nieostrożności, a wtedy pójdzie na całego, w nadziei że nie zdążyłem podzielić się z nikim swoimi podejrzeniami, o czym świadczyłby fakt jego przebywania na wolności i moje dalsze poszukiwania. Wygląda to mało prawdopodobnie — rozważałem dalej — ale stwarza pewną szansę. Jedno zabójstwo więcej nie ma dla niego znaczenia, bo i tak czeka go najwyższy wymiar kary. Niewykluczone że również za stare grzechy. W tym punkcie swoich rozmyślań zacząłem się bać. Nie o siebie. Uświadomiłem sobie nagle, że po ulicach miasteczka spaceruje człowiek, który w każdej chwili może popełnić kolejne morderstwo. Wpadając w jego sidła, mogę przyspieszyć wyniki śledztwa. Może więc zostać tą przynętą, koźlątkiem przywiązany do drzewa, a zarazem myśliwym, i kierując ogień na siebie, ostatecznie zdemaskować przeciwnika? No? Tylko spokojnie. Wszystko należy starannie przemyśleć. „Ukryj się jak bułgarskie pomidorki w puszcze — powiedział mi na pożegnanie szef naszego oddziału Szimkus. — Ujawniaj się jedynie w ostateczności”. Czy to jest ostateczność? I czym ryzykuję? Niczym.

Prawie niczym.

Jeśli on ma pistolet albo obrzynek, może mi strzelić wieczorem w plecy. Wątpię, by poszedł na to, ale gdyby tak się stało, moi koledzy będą musieli zaczynać wszystko od początku. Nie mam prawa podejmować ryzyka

samotnie, a zatem nie obejdzie się bez pomocy Wałdmanisa. „Łarionow i reszta nieźle sobie na mnie użyją, jeżeli ta koncepcja okaże się niewypałem” — przemknęło mi przez myśl. E, co tam! Szimkus mawiał zazwyczaj: „Nie bójcie się własnych błędów, nie popełniają ich tylko lenie, natomiast uczcie się je naprawiać”. Mam rację czy nie, Centaur pozostawał aktualnie „w stanie spoczynku”, używając języka fizyki. Dokonawszy odkrycia, że

185

jestem funkcjonariuszem organów bezpieczeństwa, powinien jakoś zareagować, a ja powinienem tę reakcję uchwycić. Lol gicnie, jak w matematyce. Odegram więc rolę sejsmografu! Albo może tarczy strzelniczej.

Podjąłem już decyzję. Zgniotłem niedopałek w popichiiczeJ wstałem i wyszedłem na korytarz.

Był pusty.

Spróbowałem swoim kluczem otworzyć pokój 309. Sprzątaczk-]ka mówiła, że nikogo w nim nie ma. Jeśli uda mi się do niegoJ dostać, równie dobrze do naszego pokoju mógł wejść ktoś obcy, a nie tylko Busch, Puchalski czy Wojtyn. Zamek niJ ustępował. Podeszedłem z kolei do pokoju 307 i chwilę nasłuchiwałem. Za drzwiami panowała cisza. Były zamknięte, kluczk-] nie tkwił w dziurce. W najgorszym wypadku powiem, że siJ pomyliłem.

Włożyłem klucz, obrócił się bez trudu!

Zszedłem do dyżurnej.

— Proszę pani, kiedy wreszcie skończy się ten bałagan? Jaki można zacząć remont i nie skończyć?

— Malarze będą w środę

„Hm” — skomentowałem tylko dla siebie.

— Ale przecież to skandal!

— Oczywiście, ma pan rację! Musicie nam państwo wyba-ł czyć. Dyrektor telefonował już do rady narodowej, ale oni się uparli, że oddadzą nam malarzy dopiero w środe, bo mu-ł sza uruchomić krąg taneczny w parku. Sezon już trwa, a tań-ł czyć nie ma gdzie, bo opóźniono roboty i w dodatku desku przegniły.

- Ładne porządki! — Nie lubiłem używać tego tonu, alei niekiedy usprawiedliwiały go wymogi mojej pracy.

— Pański współlokator też zrobił dziś awanturę o ten ba-i łagan. Potknął się o drabinę i zaczął mi wymyślać. Wezwałam! dyrektora, obiecał, że praca ruszy od środy. A tamten wciąż! krzyczał: „Do środy może mnie już nie być, a ktoś inny do, tego czasu połamie sobie przez ten zamęt ręce albo nogi” No i wtedy dyrektor kazał znieść drabiny do piwnicy.

55

— Bardzo słusznie. Który to z moich współlokatorów, ten w okularach?

— Nie, rybak. Ten w okularach też szedł właśnie korytarzem, ale bez słowa zabrał klucz i poszedł na górę.

O środowym terminie wiedzieli więc wszyscy poza mną. Hm!

W hallu o mało nie wpadłem na dyrektora.

— Stop! — trącił mnie wskazującym palcem ,w pierś. •— Dlaczego nie zajrzysz do mnie, chłopcze, chociaż cię zapraszałem? A tak w ogóle co słychać, studencie z Moskwy?

Do diabła! Miał wyjątkowy talent zjawiania się zawsze nie w porę.

Odparłem z wyszukaną uprzejmością, że kiedyś na pewno do niego wpadnę i nie wątpię, że bardzo miło spędzimy razem czas. Teraz, niestety,

ogromnie się spieszę.

— Bo ja, rozumiesz, lubię kulturalnie porozmawiać — tłumaczył mi wytrwale. — Wczoraj wypiliśmy trochę, z jednym aktorem, który mieszka w sto siódmym. Gra w filmie niemieckiego pułkownika.

Fantastycznie zgrzyta zębami! Co za talent!

Znów odniosłem wrażenie, że dyrektor jest znacznie mądrzejszy od swoich tekstów. Miał ironiczne, mądre spojrzenie i uśmiech w kącikach ust. Zdumiewająca nieadekwatność formy i treści, jak by zapewne powiedział krytyk literacki.

— Ale ja nie jestem aktorem!

— Doskonale o tym wiem. Jesteś za to bystrym chłopcem z językiem jak brzytwa. Prawdziwy student. Lubię takich! Z Ajwazowskim nie masz jednak racji...

Na ulicy wszedłem do budki telefonicznej i wykręciłem numer. Telefon odebrał Wałdmanis, on też nie miał teraz świąt. „Chłopiec bardzo dużo czyta — powiedziałem — co, jak wiadomo, psuje wzrok”. Podejrzanie, które przyszło mi do głowy na rynku, uważałem teraz za nonsensowne, bo historia z aparatem fotograficznym wszystko wywróciła do góry nogami, ale przywykłem pracować sumiennie. „On nie używa

187

okularów — zaprotestował Wałdmanis. — Jankauskas nie po-l minąłby takiego szczegółu”. „Ale rodzice o niego nie dbają” „A szkoła?” „Może siedzi w pierwszej ławce... Jeśli jesf krótkowidzem, Czerkiz mógł zmieszać się z tłumkiem kierowi ców w takich samych niebieskich bluzach i zniknąć z rynku a chłopcu wciąż się wydawało, że go widzi”. „To niegłupie —i z jawnym sceptycyzmem pochwalił Wałdmanis. —

Dobrzej sprawdzimy". Bawiłem się myślą, co Wałdmanis powie na wiadomość o zniknięciu aparatu: Na razie mówił dalej I „Dostatek w domu Gienricha Osipowicza budzi we mnie wątpliwości. Żyje wyraźnie ponad stan. Skąd bierze na to pieniądze? Proszę, żebyście to też sprawdzili". „Już" — odparł Wałdmanis. „Co już?" „Sprawdzone. Wy tłumaczenie jest bardzo proste. Robił kiedyś prywatnie piękne meble i obecnie od czasu do czasu tym dorabia" „No cóż, wobec tego w porządku". Celowo przeciągałem rozmowę. W końcu krótko referowałem Wałdmanisowi historię z aparatem. „Weźcie pod obserwację sprzątaczkę" — poprosiłem. „Czy ma na imię Marta?" „Tak". „Znam ją. Kiedyś nam bardzo pomogła. Tę absolutnie uczciwy człowiek". Chciałem również zaproponować, by Wałdmanis zainteresował się dyrektorem hotelu, ale po namyśle zrezygnowałem z tego. „Może dopatrujecie się w tej historii zbyt wiele i jest to zwykła kradzież?" „Dlaczego więc skradziono tylko aparat i ukryto go między deskami?" „Tak, istotnie dziwne". „Historię z aparatem można wytłumaczyć jedynie stawką na mój brak doświadczenia". Dopiero na tym etapie rozmowy referowałem swój plan. „Zgoda. Gdzie w tej chwili jesteście?" — spytał Wałdmanis. Powiedziałem, że na razie jeszcze za wcześnie na włączenie się jego ludzi, bo muszę przecież mieć czas na wykrycie kradzieży.] „Bądźmy lepiej ostrożni — przerwał mi stanowczo Wałdmanis. — Gdzie jesteście?" Opisałem okolice budki telefonicznej. „Przyślę Krasuchina, którego już znacie, bo spotykał się z wami za pierwszym razem", „robrze". „Ale w sumie coś mi się tu nie zgadza. To dość wątpliwa hipoteza"; Dla mnie

też była wątpliwa. „Pożyjemy — zobaczymy” — zakończyłem dziarsko i powiesiłem słuchawkę.

Po dziesięciu minutach na sąsiedniej ławce usiadł Krasuchin. Na głowie miał słomkowy kapelusz. „Zanadto rzuca się w oczy — pomyślałem. — Nikt teraz takich kapeluszy nie nosi”. Wstając odrzuciłem papierosa. Młodszy lejtnant ani drgnął, zanim nie odszedłem na pewną odległość. Usiłowałem dodzwonić się do Buscha, ale nikt nie odbierał telefonu. Skręciłem w jedną uliczkę, potem w drugą. Krasuchin szedł daleko z tyłu. W jego ręce znalazła się nagle siatka na sprawunki, a w niej — zwinięte gazety i jakaś paczuszka. Nie, przy takiej „charakteryzacji” kapelusz był całkiem na miejscu. Od razu widać, że to człowiek rodzinny i dzieciaty, wyruszył w niedzielę po sprawunki. Niepotrzebnie czepiałem się tego kapelusza.

Szedłem przez miasto.

Gdyby przed laty nie zginął Władimir Ignatiewicz Malin, ten spacerek byłby zbędny.

## 25. „KOŻŁĄTKO PRZYWIĄZANE DO DRZEWA”

Szedłem przez miasto z uczuciem, jakbym znajdował się na scenie oświetlonej reflektorami, a o n na widowni, i był dla mnie nierozpoznawalny. Później przyszło mi nagle na myśl, że ktoś, kto wziął „Smienę”, mógł przyczepić do walizki jakiś znak w rodzaju nitki, żeby mieć pewność, czy do niej zaglądałem. Chciałem wrócić do hotelu, sprawdzić, ale teraz to już nie miało znaczenia.

Czując chłodny dreszczyk na plecach i przygotowany na najgorsze, po raz pierwszy spacerowałem po mieście.

W oknie warsztatu szewskiego spostrzegłem obok doniczki z gerania

kopię chimery z Notre Dame rzeźbioną w drzewie. Wpatrywałem się w nią z pięć minut, bo diabeł nie był ślepym naśladownictwem paryskiego; zbyt wiele miał w sobie przekory, a zarazem dumy wykluczających obojętność wobec mijającego czasu. Można by powiedzieć, że raczej panował nad nim.

Wstąpiłem do warsztatu. Nie ogolony szewc w białej koszuli i krawacie poinformował mnie, że ta rzeźba to jedyna' pamiątka po jego bracie-rzeźbiarzu, którego zamęczyli gestapowcy.

— Był w partyzantce?

— Tak.

?— W tutejszym oddziale? \_

— Tak.

Zatem o n zabił również i tego człowieka. On, który być może idzie teraz w ślad za mną.

— Nie znał pan przypadkiem Malina? Władimira Ignaticwicz-a? — spytałem ostrożnie. — To był przyjaciel mojej rodziny. Jego też zamordowało tutejsze gestapo.

— Nie — odparł szewc i dodał wyjaśniająco. — Jestem tu przybyszem, dawniej mieszkałem w Kaunas.

Nie liczyłem na żadne rewelacje. Pytałem tylko tak, z ciekawości. „Surkin mieszkał przed wojną w Radzute — błąkały mi się po głowie chaotyczne myśli — a potem tutaj. Iszczenko przeciwnie, pochodził stąd, ale policjantem był w Radzute, później wrócił do miasta i został partyzantem. Obaj jakoś często zmieniali miejsce pobytu. Wszystko to nie ma za grosz sensu! Chwytam się byle czego. Przeprowadzki nie są przestępstwem i o niczym nie świadczą...”

— Szkoda. Pański brat miał wielki talent. Byłby na pewno wspaniałym rzeźbiarzem.

— Być może — przytaknął szewc.

„Ile jeszcze lat ludzie będą wspominali tę wojnę? Dwadzieścia, trzydzieści?” — rozmyślałem.

Skręciłem w brukowaną kocimi łbami krzywą uliczkę. Tutaj słońce prawie nie dochodziło, a kamienne ściany tchnęły piwniczną wilgocią. Przed bramami, na żelaznych słupach, wisiały staroświeckie latarnie. Prawie na każdym domu

190

widniała tabliczka z napisem: „Zabytek”. „Wtedy też bywały wojny — snułem swoje rozważania — ich bohaterowie i zdrajcy. Żyli również ludzie, którzy tych zdrajców tropili, a mimo to wielu spośród nich spokojnie dożyło starości, okrywając swą przeszłość tajemnicą i udając lojalnych, godnych szacunku obywateli. Ale ty się nie wymkniesz — poczułem napływającą złość. — Nie będziesz miał spokojnej starości!...”

Uliczka niespodziewanie wyprowadziła mnie nad rzekę, tę samą, której nazwą interesował się Puchalski.

Ruszyłem skrajem wody — wartkiej i nie po miejsku czystej. Brzeg zarósł pokrzywami, które nagrzane słońcem wydzielały ostry zapach. Za rzeką tuliły się do skarpy domki, na ich podwórkach schła bielizna po niedzielnej przepiórcie. Gdzieś zapał kogut. To już było przedmieście. Nad nim górował krzyżacki zamek, wysoko w niebo wznosząc swe wieże.

Obejrzałem się. Lejtnant został daleko w tyle.

Nagle zobaczyłem przed sobą dyrektora hotelu, który z zawiniątkiem pod pachą kroczył uliczką prowadzącą do rzeki. W jakimś punkcie nasze drogi

musiały się przeciąć. Jego obecność wydała mi się dziwna — jeszcze niedawno był w hotelu. Kiedy zdążył tu przyjść?

W tym momencie i on mnie zauważył, a może wcześniej, i tylko udawał zaskoczenie.

— Ha, ha! Przede mną nikt się nie ukryje! — zawołał jowialnie. — Sam los nam sprzyja! A od losu jak od wódki nie ma ucieczki.

— Istotnie. Nie sądziłem, że pana tu spotkam.

— Co tam mnie! Tutaj należy umówić się wieczorem z dziewczyną, Pusto, istny raj! Dokąd prowadzasz swoje dziewczyny? Masz jaką? Co? Dlaczego nie jesteś na plaży? Gdzie zamierzasz spędzić wieczór?

Zasypywał mnie wprost słowami, wiercił się jakoś podejrzanie i nerwowo gestykulował.

— Co za rzeka! A te obłoki! Spójrz, jak pięknie wygląda nasz zamek, prawda?

55

Zamek miałem za plecami.

— No spójrz! Obejrzyj się! — namawiał.

Lewą rękę wyciągnął przed siebie, w prawej trzymał zawiązaną niątko.

Chociaż nie robiło wrażenia ciężkiego, nie miałem ochoty stanąć do niego tyłem. Zza zakrętu wyszło dwóch mężczyzn. Na ich widok parsknąłem śmiechem, choć szczerzej mówiąc, nieco nerwowym. Skąd mi przyszło do głowy, że ten dyrektor jest mordercą? Był po prostu narwanym i może nawet całkiem porządnym facetem.

Iwan Siergiejewicz spytał podejrzliwie:

— Z czego się śmiejesz?

— Bo podobny pan jest do cicerone.

— Do kogo?

— Niech pan się nie obraża, to znaczy po włosku przewodnik. Zachwała pan swoje miasto z takim zapalem. Pochodzi pan stąd?

— Dawniej mieszkałem w Radzute, bądź co bądź to centrum! rejonu.

Teraz też bywam tam często u rodziców

Na końcu języka miałem już pytanie, czy przypadkiem nie jeździł do Radzute trzeciego albo piątego czerwca, ale zabrzmiałoby to co najmniej dziwnie. Spytałem tylko:

— Pan gdzieś tu w pobliżu mieszka czy coś załatwia? Minęła nas kobieta z wyładowanymi siatkami.

— Ja? Mieszkam — wolną ręką machnął w jakimś bliżej! nie określonym kierunku — niedaleko. Idę już, bo się spieszę.

Dziwne było, że w hotelu ciągnął mnie do siebie niemali siłą, a teraz ani mu w głowie zaprosiny. Może znów czepiam się niepotrzebnie.

Ostatecznie w domu mógł mieć, na przykład, chorą żonę albo czekali na niego zaproszeni znajomi. Jak wiadomo, miewa się tysiąc powodów, by unikać gości.

— Na schön, dann auf Wiedersehen — wypaliłem nieoczekiwanie.

— Wir treffen uns im Hotel. Macłrs gut — odpowiedział poprawną niemczyzną, nie okazując ani odrobiny zdziwienia.

55

— Komme ich auf diesem Wege zur Stadtmitte?

- Ja.

Po czym ruszył swoją drogą. Hm.

Otarłem pot z czoła.

„Gdyby żył Malin, mielibyśmy klucz do rozszyfrowania tej zbrodni. Ale

dlatego zginął, że znał zdrajcę. Taki sam los spotkał Iszczenkę".

Skręciłem w lewo, oddalając się od rzeki.

Znalazłem budkę telefoniczną i ponownie zadzwoniłem do Buscha. Tym razem podniósł słuchawkę. Umówiliśmy się na przystanku tramwajowym.

„Pojedziemy na plażę?” — spytałem. Kąpielówki miałem w kieszeni.

„Chętnie” — zgodził się Busch.

„Czyżby to on?” — zadałem sobie pytanie.

## 26. DRUGI SIEMION

Busch był chmurny i przygnębiony. Najprawdopodobniej winę za to ponosiła Kławdia Iszczenko, ale może nie tylko ona? Nie zapomniałem ani na moment, że anonim został napisany na maszynie należącej do wytwórni mebli.

— Wie pan co, bez entuzjazmu jakoś myślę o miejskiej plaży. O tej porze nie ma tam gdzie postawić nogi. Może pojedziemy na wydmy i znajdziemy sobie zaciszny kącik?

— Z przyjemnością — chętnie zgodził się Busch.

„Zbyt chętnie — zauważyłem w duchu. — Busch lubi przecież zgiełk i duże towarzystwo. Jeden zero na jego niekorzyść”. Na wydmach nie było ani kiosku z wodą sodową i kanapkami, ani koszy. Piasek mieszał się z korzeniami, wodorostami i wszelkim paskudztwem wyrzucanym przez morze. Mało kto tam plażował, choć zdarzali się poszukiwacze bursztynu brodzący w płytkiej wodzie.

13 — Kastet...

— Na wydmach pewnie jest pusto?

— Puściutko — przytaknął Busch. — Może by wziąć jaką butelczynę...

— Na ta"ki upał?

„Centaur lubił sobie popić. Busch był na froncie. Surkin ukrywał się przed Busciem...” — mknęły urywane myśli. Busch zamrugał powiekami.

— To nie.

W tramwaju przeszliśmy do przodu i usiedliśmy obok siebie. Położyłem rękę na oparciu drewnianego siedzenia (tramwaj był bardzo stary) i żeby zobaczyć twarz Buscha, odwróciłem się plecami do okna.

— Miał pan do mnie jakiś interes? — spytałem.

— Skąd pan wie, że byłem w hotelu? — odpowiedział pytaniem.

— Dyżurna dokładnie mi pana opisała. Domyśliłem się ód razu, że to pan.

— Nie, nie miałem żadnego interesu, tak sobie wstąpiłem — wyjaśnił melancholijnie.

Na każdym przystanku ubywało pasażerów. Amatorów plażowania na wydmach nie było zbyt wielu. Postanowiłem złapać byka za rogi.

— Nie wie pan przypadkiem, czy wykryto już mordercę? Busch prawie niedostrzegalnie drgnął.

— O czym pan mówi?

— Słyszałem, że mąż Kławdii Nikołajewny został zamordowany. Pan mi zresztą nic o tym nie powiedział? — dorzuciłem z pretensją w głosie.

— Gdzie pan słyszał?

— Ależ całe miasto aż huczy! No więc jak złapano już zabójcę?

— To już pan wie najlepiej — nagle powiedział Busch i filuternie zrobił do mnie oko

Łubudu!

— Ja? Niby skąd? 194

„Prowokacja w rodzaju tej z aparatem? Naiwniak. Czyżby on?

Niemożliwe”.

•— Przecież pan go widział — oświadczył Busch.

— Kogo?

— Mordercę. — Zniżył głos i podejrzliwie rozejrzał się dokoła. Zrobiłem to samo, byliśmy w tramwaju prawie sami. A potem roześmiałem się w głos, bo zrozumiałem, o co mu chodzi.

— Ale pan ma zagrania! A ja dałem się nabrać.

— Wcale nie żartuję. Tarasa Michajłowicza zamordował Surkin. Sam pan widział, jak go wieźli. Pewnie do więzienia w Radzute.

— Ależ to jakieś nieporozumienie!

— Wcale nie. Surkin nie nocował dziś w domu. Rano wróciła ze Smoleńska jego żona. Zaczęła go szukać, dzwonić do szpitala, kostnicy, milicji. I tam właśnie jej powiadają: pani mąż został aresztowany. Dostała ataku hysterii. Kławoczka zajęła się nią z całą życzliwością, choć była rodzoną żoną nieboszczyka. (Busch tak właśnie się wyraził). Widział pan coś podobnego?

Ustaliliśmy z Wałdmanisem, że nikogo nie będziemy informować, z a c o Surkin został aresztowany. Tak więc ani jego żona, ani Busch również nie mogli tego wiedzieć.

Busch napawał się osiągniętym efektem.

Potarłem czoło i oświadczyłem stanowczo:

?— Nie wierzę. Wszystko to pan sobie wymyślił.

?— No przecież Surkin jest aresztowany, a milicja wie, co robi.

— Tam też pracują tylko ludzie.

— Koniec trasy — powiedział motorniczy do mikrofonu.

Z nami wysiadł tylko Krasuchin, który zsunął kapelusz na tył głowy, rozpiął koszulę i odetchnął z ulgą — od razu widać, że człowiek dorwał

się wreszcie" do „łona natury".

Za drewnianymi domkami widniał lasek. Morze było blisko, słyszeliśmy jego szum. Powietrze pachniało solą i żywicą

55

„Śnieg pachnie arbuzami" - ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie wycytane gdzieś i później potwierdzone przez rzeczywistość zdanie. Znowu byłem zlany potem. Przywoływałem siłą wyobraźni lśniący w słońcu szron, ale przed moimi oczami pojawiał się uparcie sztuczny szron z lodówki.-Weszliśmy do lasu.

Postanowiłem zmienić temat rozmowy.

— Kławdia Nikołajewna znów nie w humorze?

— Bawi się — cieniutkim głosikiem odparł Busch.

— Dlaczego pan jej nie zabrał? Odniosłem wrażenie, że ona pana lubi i ceni sobie pańskie towarzystwo.

— Akurat jej zależy na moim towarzystwie! Jestem za stary — powiedział z goryczą. — Tego swojego ramola miała już po dziurki w nosie! No Tarasa Michajłowicza... A czy ja jestem od niego lepszy?

Minęliśmy ostatnie wzniesienie i zobaczyliśmy morze. Rozpościerało się gładkie, złagodniałe w upale. Zdjąłem buty. Piasek przyjemnie łaskotał bose stopy. W pobliżu nie było żywego ilucha.

— Jeśli dobrze pamiętam, twierdził pan, że Kławdia Nikołajewna bardzo ciężko przeżyła śmierć męża i jej pogodny nastrój to tylko pozory...

— E tam — odburknął, wieszając na gałęziach koszulę i zdejmując dalsze części garderoby. — Dlaczego pan się nie rozbiera? — spytał.

— Spiekłem sobie wczoraj plecy — wyjaśniłem, kontynuując bezlitośnie:

— Naprawdę nie rozumiem postępowania Kławdii Nikołajewny.

To jest kobieta pozbawiona wszelkich zasad. Gdybym mógł, parsknąłbym śmiechem, chociaż żal mi było Buscha, bo paskudnie się zaplątał.

— Czy to naprawdę tak źle — rzuciłem beztrosko. Busch milczał

A ja w tym czasie usiłowałem dociec, dlaczego tak się pospieszył z tym anonimem. Nikt go przecież nie niepokoił, tyle że

55

został — jak zresztą wszyscy zainteresowani — wezwany nr milicję.

Chciał wzmocnić swoje alibi? Działał na zasadzie „irr wcześniej, tym lepiej”? A może odwracał w ten sposób uwagi od Kławdii Iszczenko?

Mimo wszystko trudno twierdzić z całą pewnością, że to on jest autorem anonimu. Wprawdzie Buscho-wi nikt nie mówił, że Surkin został aresztowany w związku z morderstwem, ale wszyscy nieustannie o tym myślą i Busch mógł te dwa fakty skojarzyć.

— Z czego Kławdia Nikołajewna będzie teraz żyła? Pracuje?

— Nie. Jest jak ten konik polny z bajki Kryłowa, pamięta pan: „Piękno lata wciąż opiewa...”

— „...a tu zima już za progiem”. Pamiętam, oczywiście!

— Dostanie sporą sumkę z zakładu ubezpieczeń — mówił z namysłem Busch, a ja odniosłem wrażenie, że rad by co.c jeszcze dodać.

„Dobra — zdecydowałem — czas na kolejną zagrywkę”, pe czym rzuciłem pozornie bez związku:

— Szkoda, że nie mamy aparatu fotograficznego. Widoczki na medal.

Busch spojrzał na mnie i sam się podstawił.

— Lubi pan robić zdjęcia?

— Aha. Tylko że... •— przerwałem gorliwie zajęty zapalkami. I Busch spytał:

— Że co?

— Skradli mi aparat. Miałem „Smienę-2”, całkiem niezły.

— Jak mam to rozumieć?

— Dosłownie.

— W hotelu?

— Tak. Szukałem dziś czegoś w walizce, a tu aparatu nie ma.

— Zawiadomił pan milicję?

— Nie.

— Dlaczego?

?— Bo nie chcę.

197

— To chyba jakieś nieporozumienie, bo kio mógł ukraść aparat?

Widziałem- pańskich współlokatorów, wyglądają na przyzwoitych ludzi i nie mogli zrobić czegoś takiego!

Do diabła! Historia ze „Smieną” tak mi zamąciła w głowie, że skłonny już byłem przyjąć Buscha za niego. Tymczasem Buschowi nawet nie przyszło do głowy, że i on może być podejrzany o kradzież. Poznałem go już na tyle, by traktować tę okoliczność jako przemawiającą na jego korzyść, i miałbym wątpliwości raczej w przypadku, gdyby zbyt żarliwie odsuwał od siebie podejrzenia.

— Nie mam pojęcia — powiedziałem bezradnie.

— Wie pan, to jakieś kanalie! — z całkowitym brakiem konsekwencji kontynuował Busch. — Żeby okradać akurat pana! Przecież wiedzą, że pan nie ma pieniędzy.

?—• Już nawet nie o to chodzi. Po prostu szkoda mi aparatu.

W tym momencie tuż obok rozległ się warkot silnika. Słyszałem go już od

jakiegoś czasu, ale teraz samochód wtoczył się na piasek, miażdżąc niskie krzaczki. Za kierownicą „Moskwicza” siedziała kobieta. Poznałem ją — Już jest nas więcej, Boria — powiedział Busch.

Z samochodu wysiadł mężczyzna w szortach. Jego płaska twarz ponownie przykuła moją uwagę. Byli to letnicy Jewgienii Stankene.

Przez drugie drzwiczki wyfrunęła małżonka.

— Sioma! Jak tu cudownie! Nikogo nie ma! — przelotnie spojrzała na nas i natychmiast się odwróciła.

— Mówiłem ci przecież, mamusiu, że miejsce jest przepiękne. Ale znów zbyt gwałtownie zmieniasz biegi i Wasiljew w końcu nie będzie chciał ich reperować

— Ten twój Wasiljew to lepszy kombinator! „Mamusia” wyjęła z samochodu koc i rozłożyła go na piasku.

Znów zniknęła we wnętrzu „Moskwicza” wydobywając stamtąd jakieś paczki. „Sioma” rozwalił się na kocu owłosionym brzuchem do góry i natychmiast zaczął jeść. Przypomniałem sobie, że oni też przyjechali z Radzute.

55

Znowu Radzute! Pojawili się tu jednocześnie ze mną. On miał na imię Siemion. Może Iszczenko wcale nie zamierzał rozmawiać z „małym” Siemionem, zakochanym w Bystryckiej?

Zgodnie z teorią prawdopodobieństwa taki zbieg okoliczności był prawie niemożliwy, ale w naszej pracy często zdarzają się „cuda”. „Musicie mieć bujną wyobraźnię” — lubił powtarzać Szimkus. Nic nie przemawiało za „cudem” w tym przypadku, mało to mężczyzn ma na imię Siemion?

„Ciekawe, ilu Siemionów przypada, statystycznie rzecz biorąc, na tysiąc

mężczyzn?" — przyszło mi do głowy. Ale ten Siemion przyjechał z Radzute. Takich było już mniej. W każdym razie warto było „poniuchać”.

— Nieźle przypieka! Idziemy do wody? — zaproponowałem.

— Idziemy! — Busch wstał i podciągnął swoje spodenki kąpielowe sięgające mu do kolan.

Nowo przybyłe stadło uplasowało się bliżej wody. Kiedy ich mijaliśmy, spytałem głośno:

— Więc kto zamordował Iszczenkę?

Busch spojrzał na mnie zdumiony. Nie wiedział, że prowadzę grę dalej, stawiając teraz na tamtych dwoje.

— Był przecież pańskim przyjacielem. Nikogo pan nie podejrzewa?

— Surkina.

— Surkin nie mógł tego zrobić. Busch wzruszył opalonymi ramionami.

— Ci, co prowadzą śledztwo, wiedzą lepiej. Obejrzałem się.

Mężczyzna zwany Siemionem przestał ruszać szczęką i patrzył za nami.

Napotkawszy moje spojrzenie, natychmiast odwrócił wzrok, ale jego reakcja mogła być jedynie przejawem ciekawości pobudzonej słowem „zabił”.

Popij z termosu czymś ciepłym — dobiegło do nas.

Weszliśmy do wody.

?— Wie pan, nawet lubiłem Surkina („lubiłem” — czas przeszły). Od lat jesteśmy sąsiadami. Żyliśmy ze sobą bardzo zgod

199

nie. Jego żona ma złote serce... Ale to on zabił — podsumował Busch stanowczo.

— Skąd ta pewność? Przecież oskarżenie o morderstwo to nie byle co.

— Mam podstawy, by tak sądzić, Boria... Niech pan spojrzy, jak ten statek dymi. Tyle węgla idzie na wiatr!

Do licha! Czy on długo jeszcze będzie dreptał w kółko? Warto by go jeszcze raz przesłuchać. Nie. Nie można... Jego słowa o Surkinie brzmiały szczerze, mówił to, co naprawdę myślał, a my przecież zakładaliśmy, że autor anonimu celowo nas okłamuje. Dlaczego więc Busch był tak pewny winy Surkina? Może to jednak nie on napisał anonim, ale wobec tego czemu kojarzy aresztowanie Surkina z morderstwem? Myśl, główko, to kupię ci czapczkę.

Wyszliśmy na brzeg ociekając wodą. Zatrzymałem się przy „Moskwiczu”, Busch wrócił do naszych ubrań. Przykucnąłem spostrzegłszy na karoserii świeżo zamalowane uszkodzenie.

— Gdzieś już pana widziałem wczoraj — zwróciłem się do Siemiona. — Trzymał pan w rękach lornetkę... Zaraz, zaraz, państwo wynajmują pokój u takiej staruszki... przy końcu ulicy Prudisa... Jakże ona się nazywa? — Jewgienia Augustowna. Prawda, mamusiu? — Wyraźnie zdradzał ochotę do pogawędki.

— Tak — przytaknęła kobieta i popatrzyła na mnie pytająco.

— O! właśnie! — ucieszyłem się. — Musiałem państwa u niej widzieć. Przepraszam, że tak podszedłem, ale przecież jesteśmy na plaży, tu nie obowiązują smokingi i konwenanse. Czy nie przeszkadzam? Tutaj jest tak nudno! Może zagramy ? w preferansika?

Wobec takiej bezczelności ludzie na ogół tracą głowę i na wszystko przystają, a „Sioma” wręcz się ożywił.

— O, p&ci gra w preferansa?!

I natychmiast wpadł w poprzednie odrętwienie, ponieważ wtrąciła się jego

małżonka.

200

?— Co, karty? Nie ma mowy! Nienawidzę kart! Przyjechaliśmy tutaj odpocząć, a nie po to, żeby zarywać noce i kopcić papierosy. ?— Rzuciła mi wrogie spojrzenie.

?— Ależ teraz jest biały dzień Poza tym przy preferansie czas szybciej mija — posłałem jej ujmujący uśmiech.

— Przegrałem niedawno jakąś drobną sumkę i dlatego mamusia jest taka zła.

— Wcale nie będziemy grać na pieniądze! — Zacząłem sobie pomagać gestykulacją. — Pogramy wyłącznie dla zabawy. Kiedy się gra, łatwiej wysiedzieć na słońcu.

•— Wykluczone! ?— ucięła. — Siemion, kategorycznie zabraniam ci grać w karty! Jeśli moje słowa dla ciebie nic nie znaczą... natychmiast odjeżdżam. Wsiadam do samochodu i odjeżdżam.

W oczach Siemiona dostrzegłem przerażenie. Westchnął ciężko.

— Szczerze mówiąc, nawet nie mam kart — wyznałem. — Myślałem, że może jutro... Niepotrzebnie się pani denerwuje, naprawdę!

—• Całe szczęście, że pan ich nie ma! — Nadal patrzyła na mnie nieufnie. Rzuciłem ukradkowe spojrzenie na Buscha. Brnął przez piasek ku odległym zaroślom, pewnie po to, by wyżyć mokre spodenki.

— Był tu jeden człowiek, ten to ani na chwilę nie rozstawał się 7 kartami

— łgałem jak z nut. — Ciągle nosił je przy sobie. Nazywał się Taras Michajłowicz Iszczenko. — Uważnie obserwowałem „Siomę”. — Ale zdarzyło mu się nieszczęście. Kilka dni temu został zabity.

— Kto go zabił? Bracia preferansiści? Wyczułem w nim napięcie.

— Wcale nie żartuję. Na razie nie wiadomo i miejscowi detektywi padają już z nóg.

— Jak go zabito?

— Dostał po głowie. Wystarczyło.

55

?— IN a tle rabunkowym?

— O Boże! Nawet tu nie można zapomnieć o tych okropnościach — włączyła się do rozmowy madame.

- Ależ daj spokój, mamusiu! Nie przesadzajmy! To ci historia... Pracuję w kijowskiej adwokaturze — wyjaśnił mij dobrodusznie...

— Przepraszam bardzo, można spytać o pańskie nazwisko?

— Łojko — odparł po chwili.

— Pytam, ponieważ pracuje tam również mój przyjaciel.

— Jak się nazywa?

Podałem pierwsze lepsze nazwisko, jakie przyszło mi do głowy.

— Nie przypominam sobie takiego — potrząsnął głową.

— Man kann doch nicht mit allen Menschen auf der Welt bekannt sein.

Und ihre Gattin ist so streng. Und er ist ein geselliger Kerl — powiedziałem mrugając do niego.

- Das stört nicht.

— Dann ist alles in Ordnung.

— Mir scheint es auch so — odparł z nutą przechwałki.

— Co, co? Mówicie po niemiecku? Sioma cudownie zna niemiecki, tylko jakoś nie lubi się tym chwalić.

— Znow stawiasz mnie, mamusiu, w niezręcznej sytuacji — sposepniał.

— Wiesz przecież, że nie lubię się niczym chlępić.

— Państwo od dawna na wybrzeżu? — zmieniłem temat.

— Dwa tygodnie.

— To się widzi po opaleniźnie. I cały czas w tym miasteczku? Chociaż kiedy ma się samochód!... Na pewno zwiedzali państwo okolicę?-

— Tak.

- Co prawda z samochodem wciąż są kłopoty i to pomniejsza jego zalety. Państwo prowadzą oboje?

- Ja nie najgorzej... A mamusia... jako tako — powiedział Łojko z cierpiętnicznym grymasem.

— I gdzie państwo dotychczas byli?

— W Rydze — odparł pospiesznie.

20?

„Interesujące” — pomyślałem.

— O, to przepiękne miasto... Nigdzie więcej państwo nie jeździli?

— Nie.

— Podobno Radzute jest bardzo ładne. To niedaleko stąd, stolica rejonu. Nie wybierają się tam państwo?

„Mamusia” chyba drgnęła. A że wymienili szybkie spojrzenia, byłem absolutnie pewny.

— O nie. Nigdzie już nie zamierzamy jeździć. Posiedzimy teraz w jednym miejscu.

— Szkoda. Myślałem, że wproszę się do towarzystwa. W Radzute jest jakoby ładniejsza plaża, a piasek bardziej czysty i drobniejszy.

— Napije się pan z nami kawy? — spytała „mamusia”. Temat „Radzute” sprawił jej widocznie taką przykrość, że gotowa była zamienić się w uosobienie serdeczności i gościnności. — Wozimy ją zawsze w termosie.

Głos jej brzmiał już normalnie. Ale dlaczego przedtem drgnęła?

— Dziękuję pięknie. Za gorąco na gorącą kawę.

— Azjaci podczas czterdziestostopniowego upału noszą watowane chałaty i litrami żłopiają gorącą wodę, to im pomaga znosić wysokie temperatury — stwierdził autorytatywnie mecenas Łojko.

— Nie' mam. niestety, watowanego chałatu — odparłem z czarującym uśmiechem. Trzeba się było zbierać, żeby nie przeholować. — Pójdę już do mego towarzysza... nudzi się sam.-Co państwo zamierzają robić wieczorem?

— My wcześniej chodzimy spać —zainterweniowała z miejsca „mamusia”.

— Prowadzimy bardzo uregulowany tryb życia.

— Szkoda. Będą tu państwo jutro?

— Oczywiście — zapewnił adwokat, a ton jego świadczył, że jutro z całą pewnością ich tu nie będzie.

— Wobec tego do zobaczenia. Życzę miłego wypoczynku.

55

Gienrich Osipowicz leżał na brzuchu, wygrzewając się w słońcu.

Poszedłem w jego ślady.

— Zabawna para. Ona trzyma go pod pantoflem — przerwa-ł łem po jakimś czasie milczenie.

— Uhm — mruknał Busch. Ciekawe, czy słyszał naszą rozmowę.

Między małżonkami toczyła się ożywiona wymiana zdań sprawiająca wrażenie kłótni. Słów nie rozróżniałem. Pomyślał łem, że ta sprzeczka wybuchła zapewne nie bez przyczyny, i

Mój niepokój rósł. Coś mi podpowiadało, że sprawa dojrze-ł wa. W naszym wydziale to „coś” nazywało się „szóstymi zmysłem starszego

lejtnanta Waraksina", to znaczy nie „Wa-| raksina", tylko tak jak brzmi moje prawdziwe nazwisko. I W dodatku ta historia z aparatem... Nie byłem pewny, czy odczytałem ją właściwie.

Łojko po niemiecku mówił bardzo dobrze. Na imię miał Siemion.

Jewgienia Augustowna twierdziła, że Łojkowie przyjechali z Radzute, skarżąc się na tamtejszy tłok. Ciekawe, czy sami o tym powiedzieli, czy też mimo woli przyparła ich do muru swoją niezwykłą przenikliwością? Teraz utrzymują, że byli w Rydze. Interesujące... Stankene na pewno niczego nie zmyśliła...

Słońce opadało już dość nisko. W ukośnych promieniach kłębiły się nad nami drobne muszki. Widziałem je tu, nad morzem, po raz pierwszy.

Widocznie zazwyczaj znosił je wiatr, a tutaj znalazły ochronę w drzewach. Gienrich Osipowicz spał. Dotknąłem lekko jego ramienia.

— Co? — poderwał się gwałtownie. Pogroziłem mu żartobliwie palcem.

— Oj, chyba ma pan nieczyste sumienie! Zrywa się pan jak na trwogę.

— Że co? A, o to panu chodzi... Ja już jestem stary, Boria. Słoneczko mnie ogrzało, to i zasnąłem. Śniło mi się coś przyjemnego, a tu pan łapie mnie za ramię... W takiej sytuacji każdy podskoczy.

201

— Tłumaczyć będzie się pan w milicji. Niedługo słońce zajdzie, trzeba wracać do miasta.

— Chętnie. Do restauracji „Majak".

Do restauracji? Tam jeszcze nie zaglądałem, a chyba warto, tym bardziej że w „Majaku" ma być Bystrycką. Jednocześnie uprzytomniłem sobie, iż nie jadłem obiadu — i natychmiast poczułem głód.

— Niech będzie.

Ubraliśmy się. Pomachałem małżeństwu Łojko na pożegnanie, ale udah, że tego nie widzą. Kiedy byliśmy już daleko, usłyszałem warkot silnika. Wkrótce „Moskwicz” nas minął. Przy kierownicy sztywno siedziała „mamusia”, nie spuszczać oczu z drogi. Adwokat skrył się na tylnym siedzeniu. I pomyśleć, że wszystkiemu winne było króciutkie słowo „Radzute”! Po powrocie do miasta zadzwoniłem do dyżurnego. Wałdmanisa nie było. Poprosiłem o zebranie informacji o kijowskim adwokacie Siemionie Łojko, i to szczególnie na terenie Radzute.

## 27. WIECZOREM

W restauracji były kompletne pustki, bo obiad już się skończył, a dansing jeszcze nie zaczął. Kelner traktował nas jak dopust boski, nie przesadzając z tempem obsługi. Odłamy-wałem ukradkiem kawałeczki nakrytego serwetką chleba.

Busch powąchał kwiatek w wazoniku i wstał.

— Chwileczkę — rzucił mi, znikając w korytarzyku prowadzącym zapewne do kuchni.

Leniwie obwiodłem oczami salę. W kącie siedział Krasuchin. Kapelusz i siatka gdzieś zniknęły, lejtnant był teraz uczesany z przedziałkiem, surowy i skupiony. Miał innego koloru koszulę. Tak więc wyjaśniła się tajemnica siatki na sprawunki!

Busch wrócił. Za nim szedł maitre d'hotel we fraku, żując coś po drodze. Otarł usta chusteczką, którą wydobyl z tylnej

55

kieszoni spodni, zadzierając przy tym połę fraka, potem wyprostował się i od razu nabrał majestatu. Przywołał skinieniem kelnera. Busch usiadł przy stoliku i chrząknął zadowolony. Maitre d'hotel udzielił kelnerowi nagany i

dystyngowanie skłonił się Buschowi; ten w odpowiedzi wykonał kordialny gest.

— Widzę, że pana tu znają — zauważyłem.

— Niektórzy — nie bez przechwałki oświadczył Busch. „Skąd u niego to upodobanie do »wytworneaq<' życia?" - pomyślałem.

— Słucham panów — obok Buscha wyrósł nagle ruchliw kelner.

— Pan tu pracuje chyba od niedawna? — spytał protekcyjnie Gienrich Osipowicz.

— Tak jest. Zaledwie drugi dzień. Przedtem pracowałem w restauracji dworcowej.

— Tam zawsze są brudne obrusy... Myślę, Boria — zwrócił się do mnie — że zjemy obiad i poczekamy na dansing, tutaj bywa przyjemnie. Zgoda? Po chwili zastanowienia przystałem na tę propozycję. Busch zamówił dania (zdążył już nawiązać z kelnerem serdeczne stosunki, nazywał go po imieniu i czuł się jak u siebie w domu). To zabawne, jak człowiek zmienia się zależnie od sytuacji. Teraz wsadził nos w niedzielne gazety, które kupił pol drodze, a ja bezmyślnie rysowałem widelcem esy-floresy na obrusie i próbowałem podsumować całą moją wiedzę o sprawie zabójstwa Iszczenki.

Po pierwsze — Iszczenko służył w policji w Radzute, a potem znalazł się w oddziale partyzanckim. Jedno i drugie starannie ukrywał. Czy to znaczy, że jest Centaurem? Nie. Kog więc bał się? Prawdziwego Centaura? Stop. Jak raczyliście to sformułować, starszy lejtnancie? Prawdziwego? Czyżby Iszczenko był rzekomym Centaurem i przez całe życie bał się żeby nie uważano go za prawdziwego?... To wygląda prawd

podobnie. „Nie chciał żyć na widoku” — powiedziała Kławdia Iszczenko. Dalej — Iszczenko ocalał. Musiał zatem wiedzieć o zagładzie oddziału coś, czego nie wiedział nikt poza nim, i dlatego przypłacił to życiem... Teraz ja idę śladem Centaura. Albo on moim. Wojtyna ze sprawy wyłączyłem. Busch i jego związek z Kławdia Iszczenko? To raczej komedia niż dramat. Co mogłoby go zmusić do napisania anonimu? Albo? — kto?

Spojrzałem ukradkiem na Buscha. Siedział pogrążony w lekturze\* Nie. Moim zdaniem, żadne z nich nie mogło być mordercą. Ale wszystko zagmatwała kradzież aparatu... Drgnąłem, bo rozległy się nieprzyjemne, o?tre dźwięki — to muzycy na okrągłym podium stroili instrumenty. — Ejże, chłopcze! Pańskie nerwy też są niezupełnie w porządku — zauważył Busch, odkładając gazetę.

Kelner przyniósł zamówione dania. Zbliżył się do nas zgięty w niskim półukłonie.

— Jemy?

— Jemy.

„Przemyślę szczegóły — postanowiłem. :— Przede wszystkim kastet, a właściwie dwa kastety. Czy autor anonimu wiedział o istnieniu dwóch kastetów, kiedy oskarżał Surkina? Jeżeli tak, jest mordercą. Na liście nie ma odcisków palców, czyli ' nawet gdyby autorem anonimu był Busch, niczego nam nie powie, bo nie po to tak dokładnie przeciął ewentualną drogę śledztwa. Jeśli nim nie jest, wątpliwe, żeby miał cokolwiek do powiedzenia. W obu przypadkach przesłuchanie niczego nam nie da. A może da...?” — zastanowiłem się przez chwilę.

— Dlaczego nie pije pan piwa? Jest doskonale.

— Nie lubię piwa.

Gdyby Taras Michajłowicz działał śmieiej i nie podarł tamtej kartki, wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej. Rozwazał owego wieczoru, co jest bardziej niebezpieczne: prawda, czy Centaur, i ostatecznie popełnił błąd, za który zapłacił najwyższą cenę. Centaur dzięki temu znów się przy-

207

czaił. Je, pije, śpi, niewykluczone, że chodzi do kina, jeśli ja lubi — i zdecydowany jest usunąć każdego, kto mu może przeszkodzić.

— Doskonały barszcz. Tutejszy kucharz, Piotr Konstantinowicz, był kokiem na okręcie flagowym i gotował dla admirałów. Ma się tę szkołę!

— Admirałowie bardzo lubią dobry barszcz — przytaknąłem \*z roztargnieniem.

Ostatnie promienie słońca świeciły mi prosto w oczy. Przesunąłem się razem z krzesłem i spostrzegłem kapitana Siparisa który ze swym wydatnym nosem i smagłą cerą wcale nie wyglądał na Litwina.

Widziałem go podczas przesłuchania! Buscha przez sekretne okienko.

Busch też go zauważył i natychmiast odwrócił się do niego tyłem. Siparis siedział pośród palm, z głową wspartą na dłoni, w której trzymał dymiącego papierosa. Z jego twarzy biła bezdena nuda. Czy obecność kapitana w „Majaku” była przypadkowa? Przebiegłem wzrokiem po sali. Kilka stolików w bok od Siparisa, w pobliżu podium, rozsiadł się znany mi już młody człowiek, który wczoraj był w ciemnych okularach i bez ustanku kręcił na pale kluczyki samochodowe z breloczkami. To ten miejscowy wał łuciarz. Do niego podchodził właśnie Puchalski, wymijając stoliki.

Nikołaja Gawriłowicza opuściła, jak widać, właściwi mu przezorność.

— Mój współlokator — wskazałem go gestem głowy. — I Też mieszka w pokoju trzysta pięć.

— A, Nikołaj Gawriłowicz! — powiedział Busch.

— Zna go pan?

— Przyjechał służbowo z Saratowa do naszej wytwórni. Był kiedyś u mnie z wizytą. Niegłupi chłop i z rozmachem!

Obserwowałem dyskretnie" stolik Puchalskiego. Wyglądało na to, że się kłóca. „Oto dlaczego proponował mi wczoraj od-^ wiezienie walizeczki — pojąłem nagle. — Czy Puchalski nie boi się przypadkiem swego kompana? Może właśnie z myślą o nim prosił, żeby zamknąć drzwi na klucz?...”

208

— W jakim sensie? — spytałem. — W każdym. Ten umie żyć!

— Nawiasem mówiąc, bardzo żałuje Iszczenki.

— Kto? Nikołaj Gawriłowicz? Popili sobie u mnie i posprzeczali się na temat okupacji. Ale to była kłótnia! Nieboszczykowi aż oczy krwią nabiegły. Coś tam próbowali sobie nawzajem wyjaśnić w sprawie okupacyjnej policji.

— Co Nikołaj Gawriłowicz może wiedzieć o policji? Chyba jest na to za młody.

— Jeśli dobrze go zrozumiałem, mieszkał gdzieś w tych okolicach podczas wojny, tak że zasmakował wszystkich okupacyjnych rozkoszy.

— Iszczenko też?

— Nie mam pojęcia! Może pan o to spytać Nikołaja Gawriłowicza, zapewne pamięta więcej ode mnie.

— Aż tak dalece to mnie nie interesuje. Nowy szczegółlik. Jak go ocenić? Pod sufitem zajaśniały zyrandole i od razu zabrzmiała muzyka. Sala jakby się powiększyła. Znów ogarnąłem ją spojrzeniem. Gości wyraźnie przybyło. Niedaleko nas siedziała Bystrycka. Skinęła mi głową. Obok niej spostrzegłem Siemiona. Doskonale. Pomachałem im ręką.

— Niech pan zamawia swój koniak — mrugnąłem do Buscha — bo zaraz zabraknie. Proszę tylko spojrzeć, jaki robi się tłok.

— Eine Sekunde.

— Zaraz wrócę

Przeszedłem tuż obok stolika kapitana. Znał mnie na pewno z fotografii, ale ani drgnął. Znalazłem się w hallu ozdobionym palmami o owłosionych pniach — w tym mieście chyba przesadnie lubiano palmy. Zapaliłem papierosa i chwilę odczekałem. Kapitan nie nadchodził, co oznaczało, że nie jestem mu potrzebny. Wróciłem na salę. Orkiestra właśnie zaczęła grać tango i między stolikami przepychały się pary. Szybko prze-

14 — Kastet.

209

byłem odległość dzielącą mnie od stolika Bystryckiej i ukłóliłem się jej szarmancko.

— Rajeczko, zatańczymy? Pozwoli pan, Siemionie? Najpierw dreptaliśmy na skraju parkietu, potem wcisnęliśmy się między tańczących.

— Z kim pan tu przyszedł? — spytała Bystrycka.

— Z niejakim Buschem. Podoba się pani?

— Taki stary... Zresztą już go widywałam, bo przychodził do Iszczenki... Świetnie pan prowadzi.

— Dziękuję.

— To nie komplement, mówię poważnie.

Widać było, że już troszkę wypila, chyba przed przyjście do restauracji, bo zjawili się tu niedawno. Zdecydowałem się to wykorzystać.

— Rajeczko, szaleję z nudów! Wypełniam dziesiątki ankietl piszę życiorysy. Na pewno w końcu załatwię wyjście w morze! ale nie stać mnie na cierpliwość. Wyleguję się w łóżku der jedenastej. Potem łązę po mieście. Nudzę się! Nie daje mi spoT koju pytanie, kto zabił Iszczenkę i dlaczego? Śpię w hoteli! na jego łóżku — to oczywiście zwykły przyoadek. Chcę roz-l wikłać tę sprawę. Niech mi pani pomoże, co? Zgoda, RajeczT ko?... — Szedłem wprost do celu.

— Cóż ja mogę panu pomóc?

— Raja, czy pani mi ufa?

Obrzuciła mnie wymownym, powłóczystym spojrzenie Wypila jednak za dużo, może nie wszystko, co do niej mówił łem, rozumiała.

— Ufam bezgranicznie... „Oj, oj” — pomyślałem.

— Rajeczko, ja... Pani coś wie. Proszę mi to opowiedziećL Rybak, który ze mną mieszka, mówił, że Iszczenko pisał col przed śmiercią, a potem te notatki podarł i wyrzucił. Wydajl mi się, że Iszczenkę ktoś zastraszył. On się bał, rozumie panij Chciał zawiadomić, kogo należy i... zamordowano go.

— Tak, to prawda, on się bał — szepnęła Bystrycka.

210

Orkiestra przestała grać zupełnie nie w porę. Wyjść z Rają na dwór? Czekala nas poważna rozmowa. Niewykluczone że zmiana otoczenia może odmienić jej nastrój. Nie wolno mi dopuścić, by zebrała myśli.

— Poczekajmy chwileczkę! Zaraz będą grać dalej. Cierpłem z obawy, żeby nie urządzili przerwy. Niemal hipnotyzowałem Bystrycka, tak bardzo zależało mi na tym, co mogła opowiedzieć. Ryzykowałem sporo, ale na razie wszystko szło dobrze.

— Czy nie sądzi pan, że Siemion będzie zazdrosny? — zmrużyła zalotnie oczy.

Pał ją lichem z tą nieustającą kokieteryą!

— Jakoś nam wybaczy. Czego Iszczenko się bał, Rajeczko? -v- Nie wiem... Prosił mnie... — urwała

Rozległa się muzyka, zaśpiewała trąbka.

— Słucham!

— Z pewnym dziennikarzem z Leningradu... No, ten dziennikarz pocałował mnie na bulwarze. Iszczenko to widział. Znał także Siemiona, często z nim rozmawiał, kiedy Siemion przychodził do mnie do hotelu. Zachowywał się wobec niego tak dobrodusznie! A Siemion jest fajtłapa... Iszczenko zagroził mi-że wszystko Siemionowi opowie, jeśli nie spełnię jego prośby". To był wstrętny człowiek, a ja lubię Siemiona, choć szczerze mówiąc, jak... no, tak bardziej po macierzyńsku, rozumie pan? A on jest okropnie zazdrosny, sam pan o tym wie. Po prostu chciałam uniknąć skandalu. Tylko proszę mu nic nie mówić, obiecuje mi pan?

— Obiecuję.

— Nawet nie wiem, dlaczego to wszystko opowiadam. Dokoła kłębiły się tańczące pary, skłoniłem więc głowę tuż koło twarzy Bystryckiej. Jej włosy łaskotały mój policzek. Szeptła:

— Ta prośba była bardzo dziwna... Odnalazł mnie na plaży i powiedział, żebym szła za nirn, tuż za nim. Wyjaśnił, że ma się spotkać z pewnym

człowiekiem i potrzebna mu jest moja

55

obecność w pobliżu, ale tak, żeby nie było mnie widać. A jeśli oni dokądś pójdą — mam iść za nimi.

„Czyżby wszystko było tak proste — myślałem — i zaraz się wyjaśni?”

— Niczym swojej prośby nie tłumaczył?

— Powiedział, że ten człowiek winien jest mu pieniądzeJ dużą sumę, której nie chce oddać. Że może urządzić awanturę] i wtedy będę świadkiem. Wcale nie miałam na to wszystko ochoty, ale... Słowem, już panu mówiłam...

„Nie, wcale to nie jest proste. Iszczenko strzegł swej tajemnicy jak źrenicy oka”.

— Co było dalej?

— Poszliśmy, Iszczenko spieszył się i spoglądał na zegarek] bo pewnie był spóźniony. Ledwie za nim nadążałam. Taił minęliśmy śródmieście.

— I?

— I to już wszystko. Niedaleko przechodniego podwórka zatrzymał mnie Sioma, szedł nam naprzeciw. Był ciekawy, doi kąd tak pędzę.

Odpowiedziałam, że to nie jego sprawa. Zaczął wypytywać, dlaczego jestem zdenerwowana. Chciałam, żeby] się ode mnie odczepił, więc zachowywałam się po chamsku! ale wciąż nie dawał mi spokoju. Dlatego właśnie nie skręci]łam w przechodnie podwórko, sądziłam, że Iszczenko zatrzy]F ma się i na mnie poczeka... To wszystko.

— Staliście z Siemionem w pobliżu przechodniego po dworka?

— Tak.

— Czy ktoś tam jeszcze wszedł poza Iszczenką?

— W jakieś pół minuty po nim. Mężczyzna. „Surkin” — pomyślałem.

— Poznałaby go pani?

— Tak. Ma dziwną jedną rękę, taką jakby sztywną. „Tak, Surkin.

Opowieść Bystryckiej potwierdza jego ze-  
znania”.

55

— I nikt więcej was nie minął?

— Nie. Jestem tego pewna, bo odruchowo zwracałam na to uwagę.

„Wszystko się zgadza, morderca szedł Surkinowi naprzeciw”.

— Nie zaglądała pani potem na podwórko?

— Nie.

— Gdzie oni mieli się spotkać?

— Na rynku, przy dworcu autobusowym. Poszłam potem na rynek, ale inną drogą, dookoła, bo Siemion nie chciał się odczepić, ale Iszczenki nigdzie nie było.

Oto gdzie tkwi błąd w moim rozumowaniu! Mieli się spotkać nie na podwórku, lecz na rynku, a zatem morderca czekał na drodze do umówionego miejsca spotkania. Możliwa była jeszcze jedna wersja, mianowicie, że Iszczenko szedł na spotkanie nie z Centaurem, i do tego właśnie spotkania Centaur nie chciał dopuścić. Skąd jednak mógł wiedzieć o spotkaniu? Ale jak wynika z opowiadania Bystryckiej, Iszczenko bał się człowieka, z którym miał się spotkać... Czerkiz! Jeżeli on jest Centaurem i chciał przechwycić Iszczenkę, zanim dojdzie do dworca autobusowego, to wszystko się zgadza. W ostatnich dniach przyjeżdżał kilka minut wcześniej, niż przewidywał rozkład jazdy. „Ale Czerkiz nie mógł mi zrobić kawału z aparatem fotograficznym...” Znów niewypał. Ogarnęło

mnie zniechęcenie. Potem nagle nasunęła mi się oderwana myśl, że Surkin zbierał wojenne odznaczenia, hełmy i inne śmiecie, równie więc dobrze mógł mieć dwa jednakowe kastety... Ale tu znów wszystko rozbijało się o kradzież aparatu. „Dobra — pomyślałem ze złością — dość tej zabawy w ciuciubabkę. Muszę mieć fakty. Fakty!!”

— Ale przez podwórko jest bliżej? — spytałem.

— Tak. Wszyscy tutejsi używają tej drogi, jeśli idą przez tamtą część miasta. Wczasowicze — odwrotnie, zauważyłam, że zawsze chodzą dokoła. Mało kto z nich wie o tym podwórku. Jest długie jak uliczka, najpierw brama, potem zaraz zakręt

213

i dlatego przyjezdni sądzą, że kończy się murem, że to taki ślepy zaułek.

— Rozumiem, Rajeczko... Ale dlaczego nie powiedziała pani o tym w milicji?

— Nie" wiem przecież nic istotnego. Tamtego człowieka nie widziałam. Poza tym boję się, już i tale krzywo na mnie pa-i trzą... Przyczepią się do mnie, trzeba będzie o wszystkim opo-J wiadać, o tym dziennikarzu też... Sioma się dowie... Nie, niJ chcę.

Głupia gęś. Boi się, a przecież zna pracę milicji nie tylko z słyszenia, ostatecznie pracuje w hotelu.

— Niech pani spróbuje to zrozumieć, Rajeczko. Morderca, spaceruje na wolności. Pani zeznania mogą pomóc śledztwu!

— Jak?

— Tego nie wiem. Już oni" sobie poradzą... Trzeba przyznać] że w tym lokalu jest doskonała orkiestra. Przetkańczyliśmy cztery kawałki i nawet tego nie zauważyliśmy.

— Zmęczył się pan?

— Skąd! Tylko że Siemion siedzi sam.

— No to chodźmy — przystała niechętnie. Siemion siedział ponury, zapalał jednego papierosa od drugiego i unikał mojego wzroku.

•— Siemion, nie bądź zły, przecież umówiliśmy się, że j w tej zabawie nie uczestniczę.

— Może przysiadzicie się do nas? — zaproponował Siemion, zdecydowany widać zachować się po męsku.

— Dziękuję, zostaniemy przy swoim stoliku. Busch trzymał w dłoni kieliszek.

— Miła ta dziewczuszka, z którą pan tańczył — powiedział!.

— Z niemiłymi nie mam nic wspólnego. Zastanowiło mnie nagle, dlaczego Busch, kiedy zaproponowałem zamówienie koniaku, powiedział „eine Sekunde”. Pomyślałem, że chyba do niego nie zna niemieckiego... A, robiłem się chyba za bardzo podejrzliwy, bo bardzo wiele osób używa tego wyrażenia.

— Pozna mnie pan z nią?

55

Teraz dopiero zauważyłem, że jedna karafka jest już pusta i Busch napoczął następną. Ho, ho!

— Ona ma chłopaka.

„Tak —? podsumowałem. — Można ich wszystkich oczyścić od podejrzeń. Nikt nie umawia się na spotkanie ze współlokatorem z pokoju hotelowego, Busch odpada także. Powiedział prawdę o trzecim czerwca”

— Pańskie zdrowie! — powiedział Gienrich Osipowicz.

— Na zdrowie!

Oczyścić? A moja „Smiena”?

## 28. WOJTYN PISZE LIST

Gienrich Osipowicz został jeszcze w restauracji. Kiedy wychodziłem, był tam także Puchalski ze swoim waluciarzem.

Na ulicy panował mrok. Latarnie, jak na złość, świeciły bardzo słabo. Nie widziałem wprawdzie Krasuchina, ale byłem pewny, że idzie za mną.

Krażyliśmy po mieście, siadałem na ławkach, długo wystawiałem przed oświetlonymi witrynami. Nikt mnie nie śledził.

Kiedy zatrzymałem się przed wystawą zegarmistrza (wewnątrz było widno, lśniące mosiężne wahadła wysokich stojących zegarów najrozmaitszych marek kołysały się miarowo, odbijając światło lampy — zegary żyły pod nieobecność ludzi i robiło to niesamowite wrażenie), a młodszy lejtnant zniknął w gęstym cieniu drzewa, zza rogu wyszedł młody mężczyzna na niepewnych nogach i ruszył w moim kierunku.

— Może dasz papieroska?

— Dam.

Foczęstowałem go z paczki. Nieposłusznymi palcami 'wyłuskał z niej jednego.

— Do krówki przydałby się cebrzyk.

— Chodzi panu zapewne o zapałki?

— Właśnie. Masz lepsze gadane.

215

— Nauczyli mnie w szkole

Stałem zwrócony ku niemu bokiem i dalej patrzyłem na wy-] stawę, ale wszystkie mięśnie miałem napięte do ostateczności? — Zamiarujesz

skok?

— Co?

— Nic... Uważaj lepiej, bo zawołam milicję. U nas załatwia się takich raz dwa.

Roześmiałem się, ale wciąż gotów byłem uniemożliwić mj jakikolwiek ruch. Zapalił. Grzechocząc zapalkami, oddał ml pudełko. I odczepił się wreszcie, ruszywszy chwiejnie" swoj drogą. Uff!

W pobliżu hotelu napiłem się wody sodowej z automatu.

— Nie znajdzie pan przypadkiem trzykopieskówkí? — zawołałem do Krasuchina, który przystanął w pobliżu. — Marł tylko pojedyncze kopieski, a napiłbym się z sokiem.

Podszedł bliżej. ?

— Jesteście wolni — powiedziałem półgłosem, grzebią! w bilonie na jego dłoni. — Dziś nic już się nie stanie.

— A w hotelu?

— Tam nie mam się czego obawiać. Idźcie.

Przed wejściem obejrzałem się, stał jeszcze obok automatuł odprowadzając mnie wzrokiem.

Minąłem hall i wszedłem na pierwsze piętro. Lustra ni schodach nabrały głębi i zagadkowo lśniły. W pustym, pół ciemnym korytarzu upuściłem koło desek chusteczkę i schyl łając się, poświeciłem sobie zapalką.

Aparatu nie było. Odl sunąłem deskę. Puste. „Co za czary! —

pomyślałem. — Mojl ySmiena« to pojawia się, to znika na każde zawołanie. A rai czej na czyjeś zawołanie". Starannie strzepnąłem

chusteczkę! schowałem do kieszeni i powędrowałem do biurka dyżurnej!

Na mój widok ze skórzanej kanapki wstała sprzątaczkaj Przypomniałem

sobie, że ma na imię Marta. W ręku trzymała jakiś przedmiot owinięty w gazetę.

— Można poprosić pana na minutkę?

— Nawet na dziesięć.

— Tyle nie trzeba. Odejdźmy trochę dalej. — Rzuciła spojrzenie na dyżurną, która drzemała z głową opartą o rękę.

— Dobrze. Podała mi paczkę.

— Proszę!

— Nie rozumiem.

Na jej twarzy wystąpiły czerwone plamy, widoczne nawet w półmroku korytarza.

— To wszystko ten mój drań Paszka!... Nie mam z kim zostawić go w domu, całymi dniami łązi po ulicy. Wciąż mu powtarzam, żeby nie ważył się ruszać żadnych rzeczy należących do gości...

Przypomniałem sobie chłopczyka bawiącego się ołowianymi żołnierzykami na schodach. „Ależ ze mnie osioł! Beznadziejny, kosmaty i długouchy osioł! Dlaczego nie zwróciłem uwagi, że futerał był otwarty? Oczywiście, Paszka w jakimś kącie bawił się aparatem, a potem ukrył go między deskami”.

?— Sprzątnęłam pański pokój, poszłam wyrzucić śmiecie, a ten... wlaź pod łóżko i wyciągnął aparat z walizki. Niech pan się nie gniewa! Później wsadził go pod deski w korytarzu. Kiedy byliśmy już w domu, przyznał się, że to zrobił. Wróciłam pędem, patrząc: aparat leży całutki. Chwała Bogu! Tak się ucieszyłam!... Spuściłam lanie draniowi, choć było mi spieszno, porządnie mu przyłożyłam... Zobaczył, że z walizki sterczy rzemyk, i wyciągnął aparat. Czy pan zamyka walizkę?

— Nie.

— No, przynajmniej nie skłamał. Dobrze i to... Paszka jest jeszcze mały, nie wie, co robi. Niech pan się nie gniewa!

— Wcale się nie gniewam. Będę teraz zamykał walizkę i niech go pani nie bije.

— Już dostał! I jeszcze mu dodam! Trzeba smarkaczowi przyłożyć, żeby pamiętał, bo inaczej pójdzie na złą drogę. Jaki sprytny, że nawet niczego nie zauważyłam. Złapał aparat i buch pod koszulę! A potem tak boczkiem, boczkiem... Tylko

217

55

» ]

proszę, błagam, niech pan o tym nikomu nie mówi! U nas nie ma z tym żartów, a ja nigdy niczego...

— Oczywiście, proszę się nie denerwować. Cała ta sprawa zostanie między nami.

Wszedłem na nasze piętro.

Teraz wszystko wróciło na swoje miejsce. Ależ zrobiłem z siebie durnia!

W raporcie nie mogłem tej historii przemilczeć... „Chłopcze — powiedziałem sobie — bądź mężczyzną. I zapamiętaj raz na zawsze, że mistyka i spirytyzm to jedno wielkie oszukaństwo. Po prostu bywają starsi lejtnanci z głową i starsi lejtnanci — łajzy”.

Nie chciało mi się schodzić jeszcze raz na dół, było już późno i pusto, wobec czego przeszedłem w mroczny koniec korytarza, usiadłem na skórzanej kanapce koło telefonu i nakręciłem numer. „Puchalski jest kanciarzem — myślałem z irytacją. — Może handluje walutą. W gazecie

najprawdopodobniej były banknoty. I niech go diabli wezmą, trzeba odcinać niepotrzebne nici, to już sprawa Siparisa. Iszczenko z niewiadomego powodu wziął jego marynarkę i Puchalski stchórzył, kiedy zaproponowano mu rozpoznanie zwłok. Przestraszył się pytania, dlaczego zamordowany ubrany jest w jego marynarkę. Nie chciał zwracać na siebie uwagi na zasadzie „nic nie wiem i nic mnie nie obchodzi”-. Nie przewidział, że podejrzana wyda się właśnie rezygnacja z marynarki, której właściciela śledztwo i tak by w końcu ujawniło. Puchalski zrozumiał to za późno. Tak właśnie było i nie mogło być inaczej — przekonywałem sam siebie. — Busch też nie ma tu nic do rzeczy. Posyć tej ciuciubabki...”

— Halo — usłyszałem zmęczony głos dyżurnego. „Przekażcie Puchalskiego Siparisowi — powiedziałem, osłaniając słuchawkę dłonią. — I tak depcze mu już po piętach. Jutro z samego rana weźcie Buscha i przyciśnijcie go porządnie w sprawie anonim. Wyciągnijcie z niego wszystko, co wie, weźcie Dbowiązanie, że o przesłuchaniu będzie milczał. Zwolnijcie •10ją obstawę. Historia z aparatem okazała się nieporozumie

'8

niem. To wszystko. Dobranoc”. Bez pośpiechu poszedłem do pokoju. Siedział tam Wojtyn i coś pisał. Lampa z metalowym abażurem rzucała krąg światła na stół, na ścianie garbił się cień Wojtyna. Drgnął, kiedy otworzyłem drzwi: czasami warto wejść zniemacka. Zasłonił kartkę łokciem. „Tak samo pewnie pisał Iszczenko — przyszło mi na myśl. — A potem go zamordowano...”

— Czołem, żołnierze!

— Wałęsałeś się? — spytał po ojcowsku.

— Tak jest. Pozwoli pan, że teraz pójdę spać. Do samego rana, jeśli można. 1

— Spocznij, studencie. Nie wiesz przypadkiem, o której pierwszy raz wyjmują pocztę ze skrzynek?

— O siódmej. Dlaczego pan pyta? Zastanawiał się nad czymś, poruszając wargami.

— Skończ z tymi wiecznymi pytaniami. Dla niczego.

— Zgodnie z rozkazem, ekscelencjo. Ale jeśli panu chodzi o to, aby list wyjęło jak najwcześniej, należy wrzucić go teraz.

— Nie

Usiadłem na łóżku Wojtyn włożył kartkę do koperty, za-kleił ja, napisał adres. Bardzo krótki adres.

— Nie zauważyłeś, czy przechowalnia jest jeszcze otwarta?

— Otwarta. Przechowuje pan tam swoją rodzinną biżuterię?

— Tylko tam, studencie.

Wyszedł z kopertą w ręce, a wrócił po paru Tn minutach już bez niej.

Skrzynka pocztowa wisiała na ulicy przy wejściu do hotelu Wojtyn z hotelu nie wychodził, sprawdziłem prze-3' okno. Ubrany był w spodnie od piżamy, bez kieszeni, a w5cc musiał zostawić list w walizce w przechowalni. List do samego siebie?... I tu przypomniał mi się klucz, który znalazłem na dworcu autobusowym.

— Zorganizowałem ostatnio biuro rzeczy znalezionych — oświadczyłem.

— Firma „Waraksin i Synowie”.

— I co z tego?

— Konstatuję ze smutkiem, że pana to nie interesuje. Niczego pan nie zgubił?

— Nie •— uciał.

— A to? — otworzyłem dłoń.

— Gdzie znalazłeś?! Nie wiedziałem, że go zgubiłem, nie połapałem się jeszcze.

— Może to nie pana?

— Takiego drugiego nie ma. — Odebrał mi klucz.

— Leżał przy stopniach autobusu, który przyjechał z Radzute.

— Ach tak? — Wojtyn obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem.

— Ładnie tam w Radzute? — spytałem niewinnie.

— Trudno cię znieść w większych dawkach, studencie... Dziękuję.

Naprawdę dziękuję... Utrata tego klucza sprawiłaby mi wielką przykrość, przez całą wojnę miałem go przy sobie.' Myślałem, że wrócę i otworzę nim drzwi. Wyobrażałem to sobie tysiąc razy. Co tu mówić! — Zacisnął zęby. — Nawet w szpitalu leżał na mojej szafce przy łóżku.-Dziękuję!

— Nie ma za co. Szkoda, że pan nie powiedział mi o tej wycieczce do Radzute. Chętnie pojechałbym z panem.

Milczał.

?— Mówią, że tam są bardzo piękne kościoły, to prawda? ?— Nie znam się na tym — sucho odparł Wojtyn. — Jazda spać, Borysie... jak dalej?

— Andriejewiczu.

— No więc śpij, Borysie Andriejewiczu. Kimaj i odczep się ode mnie.

— Nie ma pan ochoty zagrać w szachy?

— Nie.

Ale sam długo nie mogłem zasnąć, słyszałem, jak przewraca się na łóżku.

Palilem w mroku i patrzyłem na różowiejący ogienek papierosa. Przygasał szybko, pokrywając się popiołem.

„Oto sedno rzeczy, towarzyszu Waraksin — monologowa

220

łem. — Ogień pod popiołem... Po co Wojtyn jeździł do Radzute? Dlaczego z takim uporem unika tego tematu? Do kogo pisał list? Poza tym — co łączy z Radzute kijowskiego adwokata Łojko? Siemiona Łojko?"

29. „SZAFKA GRA"

Kiedy się obudziłem, Wojtyn był już ubrany.

— Nie może pan spać? — spytałem, opuszczając nogi na podłogę.

?— Jestem rannym ptaszkiem, studencie. ?— Przyzwyczajenie z morza? -

— Ano właśnie.

'Człowiek morza pozbawiony morza.

— Czy odwoływał się pan do wyższych instancji?

— Niby w jakiej sprawie?

— Kiedy spisano pana na brzeg.

— Oczywiście! Rozbiłem kałamarz na biurku dyrektora.

— I co pan osiągnął?

— Dyrektor powiedział, że w takich sprawach decyduje wydział kadr i że on ma zaufanie do swoich pracowników. Poza tym, jego osobistym zdaniem, człowiek morza powinien mieć mocne nerwy, a rozbijanie kałamarzy na biurkach dyrektorów to zwykłe chuligaństwo.

— Srogi dyrektor.

— Ale skąd!

— Będzie pan teraz pracował na lądzie? Może w porcie?

— Będę... W ogóle wymówiłem.

Zauważyłem, że jest nienaturalnie podniecony Czyżby zdążył się już zaprawić? Chyba nie.

— Źle pan wygląda.

— A tam! — wykonał gest zniecierpliwienia.

— Naprawdę.

— Czy ja jestem panna na wydaniu?

55

Obudził się Puchalski. Unikał mojego spojrzenia. Kiedy Wojtyn spytał, jak mu się spało, mruknął coś „niezrozumiałego”. Szarpnięciem zdarł z poręczy łóżka ręcznik i poszedł do umywalni.

— Coś nasz generał nie w humorze — zauważył Wojtyn. • — Wstał widać lewą nogą.

— Dlaczego akurat generał?

— Bo taki więcej solidny, brzuch wciąga przy chodzeniu, pierś wypina... Zrezygnował dziś z gimnastyki. Cud się stał pewnego razu.

— Poniedziałek — dzionek niemiły. „Wszyscy są dziś podirytowani” — zauważyłem.

Była dopiero dziewiąta, a przez otwarte okno już buchał skwar. Dzień zapowiadał się upalny jak rzadko. Poczekałem na powrót Puchalskiego z umywalni, potem wziąłem zimny prysznic. Włożyłem czystą koszulę, zszedłem do hallu i dalej — na ulicę.

Do umówionej godziny brakowało trzydzieści pięć minut.

Wszedłem do budki telefonicznej. Wałdmanis podniósł słuchawkę od razu, jakby czekał na mój telefon. „Czy jest coś nowego?” — spytałem. „Tak” — odparł. Zakomunikował mi, że w wyniku informacji, o które prosiłem, trafili na Centaura, i jest już pod obserwacją. „Szafa gra, jak mawiają

klienci kapitana Siparisa — huczał w słuchawce wesoły głos Wałdmanisa. — Mielicie jednak rację. Ja tej hipotezy nie traktowałem poważnie, "a wy odtworzyliście wszystko z jubilerską precyzją..." Oparłem się ramieniem o ścianę budki. „Kiedy uzyskaliście pewność?” — „Godzinę temu”. — „Czy sprawdzono odcisk buta?” — „Piano, kiedy wyszedł z domu.

Zorganizowaliśmy kałużę koło cysterny z kwasem chlebowym. Wdepnął w nią..." Na wilgotnej ziemi obok śmietnika odnaleziono w swoim czasie wyraźny odcisk podeszwy. Znajdował się pod zwłokami Iszczenki, dlatego nie uległ zniszczeniu. Mógł go zostawić jedynie morderca przy ukrywaniu ciała, bo przecież nikt ni stąd, ni zowąd nie będzie wchodził za śmiet

55

rik — to był ślad dorosłego człowieka. Obuwie wszystkich podejrzanych zbadano w początkach śledztwa, ale bez rezultatu. „Pasował do odlewu?” — spytałem. „Tak” — „To w porządku, w porządeczku”. — „Przyszedł dla was meldunek z centrali. Jak można z niego wnioskować, Łarionow odwalił porządny kawałek roboty, ustalając, czy Centaur jest teraz związany z obcym wywiadem”. — „No i co?” — „Raczej nie”. — „Wobec tego bierzemy go dziś”. Omówiliśmy szczegóły akcji. „Samochód będzie tam o jedenastej” — podsumował Wałdmanis. Uprzedziłem, że przyjdę do komendy o wpół do jedenastej — to jest zaraz obok, z komendy pójdziemy na piechotę — i odwiesiłem słuchawkę.

„Ano tak — pomyślałem. — Właśnie tak, seńor Waraksin". I zacząłem pogwizdywać. Miałem ochotę krzyknąć na całe gardło albo przejść się po chodniku na rękach lub zrobić jeszcze coś w tym rodzaju. „Spokojnie, starszy lejtnancie — nakazałem sobie. — Jeszcze spokojniej. To po prostu nerwy i zaraz przejdzie"

Wróciłem do hotelu. Cudem uniknąłem spotkania z Iwanem Siergiejewiczem. Ledwie go spostrzegłem, ukryłem się za kolumną. Nie zauważył mnie, poszedł do swojego pokoju. Wcale nie przypominał siwowąsego junkra, domniemanego właściciela hotelu, który w dniu przyjazdu zrodził się na chwilę w mojej wyobraźni. Zacząłem iść po schodach i kiedy zrównałem się z lustrem, zrobiłem minę, która miała naśladować ow-ego junkra. „Nie uciekł — myślałem zarazem. — Nie uciekał łajdak. I nie mógł tego zrobić. Dziwny mu dali pseudonim.

Centaur — półczłowiek, półkoń"

W korytarzu natknąłem się na Puchalskiego. Bez słowa zrobił mi przejście. W pckcju usiadłem na oknie. Przy wejściu do hotelu dreptały po jezdni gołębie. Kiedy Puchalski wyszedł, poderwały się do lotu, a człowiek w szarej czapce zsuniętej na oczy (siedział w pobliżu na bulwarze) wstał i ruszył za nim. „Dość brudnych kombinacji, obywatelu Puchalski — pomyślałem. — Wszystko dobre, ale w miarę".

223

— Podaj mi gazetę, poczytam sobie — poprosił Wojtyn, leżąc z nogami w butach opartymi o poręcz łóżka

— Proszę.

— Słuchaj... — zaczął i urwał.

— Słucham.

— Nie, już nic.

Znów odniosłem wrażenie, że jest jakiś dziwny. Oczy błyszczały mu gorączkowo.

— Pójdzie pan coś zjeść?

— Nie. Nie jestem głodny, inaczej chętnie bym z tobą poszedł.

— Ano trudno.

Wyszedłem z hotelu i ruszyłem bulwarem. To było teraz najtrudniejsze: wytrzymać jakoś ten czas do jedenastej. Po drugiej stronie spostrzegłem otwartą już księgarnię. Wstąpiłem. Lubię grzebać w książkach. „Zupełnie jak Karol Marks” — pokpiwa zwykle ze mnie Tamara. W sklepie panował półmrok, pachniało klejem i farbą drukarską. Na ladzie leżał Katajew, nowa powieść Bakłanowa i wiersze A. Imermanisa. Wszystko to już miałem. Kupiłem zbiór opowiadań Lwa Tołstoja, w którym był „Bystronogi” i „Ojciec Sergiusz”.

Czekając w kawiarni na śniadanie, przerzucałem książkę. Zawsze na nowo wstrząsał mną w „Ojcu Sergiuszu” fragment, w którym niegdyś wspaniały oficer o olśniewającej urodzie, a obecnie łysy starzec wyciąga rękę po jałmużnę. Ludzie z wielkiego świata mówią o nim po francusku, on wszystko rozumie i robi rzecz najprostszą — bierze dwadzieścia kopiejek. Przez całe życie walczył ze swoją dumą. Przez całe życie siebie oszukiwał. Teraz nie tylko wszystko zrozumiał, ale zupełnie się zmienił — w łagodnego człowieka o spokojnym sercu. „Wojtyn też jest dumny, bardzo dumny...”

Wróciwszy do hotelu zajrzałem na pierwsze piętro. Dziś dyżurowała Bystrycką. Zmieszała się nieco na mój<sup>^</sup> widok.

— Cześć, Rajeczko! — powiedziałem siadając na kanapce przy jej biurku.

— Przyniosłem pani prezent.

224

— Mnie? Oj, dziękuję! Jaki?

— Proszę — podałem jej Tołstoja.

— Dziękuję bardzo — powiedziała już z mniejszym entuzjazmem.

— Nie teraz! Po przeczytaniu.

— Na pewno przeczytam. Jak tam wasze postępy, towarzyszu detektywie?

Hm!

?— W sprawie Iszczenki?

— Tak.

— Przemyślałem wasze oświadczenie, towarzyszko Bystrycką.

— I co?

— Kompletnie nic nie rozumiem.

— Może tamten zabił go z powodu tych pieniędzy?

— Może. Natomiast uważam, że powinna pani być lojalna wobec Siemiona. On panią bardzo kocha.

— Czyżby? — poprawiła loczek nad czołem. ?— Z całą pewnością.

— Ale Siemion taki nu-u-udny. Wciąż tylko siedzi i milczy.

— Oj, Rajeczko! Zgubią panią podrywacze.

— Nie zgubią, bo jestem sprytna. — Była dziś w zupełnie odmiennym nastroju niż ubiegłego wieczoru. Och, te kobiety!

— Daj Boże!

— Powiedział to pan jak Iszczenko. A wie pan, moim zdaniem on był wierzący.

?— Dlaczego pani tak sądzi?

Dla śledztwa nie miało to już żadnego znaczenia, ale byłem po prostu ciekawy.

— Kiedy szliśmy na to spotkanie, mijaliśmy cerkiew. Mamy tu tylko jedną, bo reszta to kościoły katolickie... Iszczenko wtedy się przeżegnał.

— Nic mu to nie pomogło. Udowodniono naukowo, że Bóg nie istnieje. Jesteśmy tylko my — ludzie...

Kiedy zajrzałem do pokoju,- Wojtyna już nie było.

15 — Kastet.

225

### 30. CENTAUR

Dwadzieścia po dziesiątej wyszedłem z hotelu „Pordus” Niebo nad czerwonymi dachami aż spłowiało od upału. Na pustym bulwarze nie czuło się najlżejszego powiewu. Miasto wyglądało jak wymarłe.

Niedawno w taki sam jasny i upalny dzień, mniej więcej o tej samej porze, zamordowany został Taras Michajłowicz Iszczenko. Za godzinę jego zabójca będzie siedział naprzeciw oficera śledczego i odpowiadał na pytania: „Nazwisko? Imię? Imię ojca? Data urodzenia?...” I będzie jeszcze prosił o papierosa. A może nie pali? „Pali” — przypomniałem sobie.

Mówiąc szczerze nie musiałem tam być, ludzie Wałdmanisą doskonale poradzą sobie beze mnie. Ale był to finał mojej pracy i z satysfakcją myślałem, że ja postawię ostatnią kropkę.

Na pierwszy rzut oka można by sadzić, że w p- Lliżu komendy miejskiej nie ma nikogo. Jednak na skwerze, naprzeciw wejścia, siedziało kilku mężczyzn. Wśród nich rozpoznałem Wilenkina i młodszego lejtnanta Krasuchina. Kiedy po I-?zedłem, bez pośpiechu ruszyli ulicą Od wejścia oderwał się Wałdmanis i z wyrzutem pokręcił głową (była dziesiąta trzydzieści trzy), potem dogonił mnie.

— Wszystko w porządku? — spytałem, patrząc przed siebie.

— Tak Obserwację prowadzą nasi ludzie z Radzute. Przekażą go nam z rąk do rąk.

— Nie spóźnimy się?

— Nie... Busch złożył oświadczenie, że to on napisał anonim.

— Gdzie jest oryginał?

— U niego.

Pokręciłem głową zdumiony.

— To facet typu „a jeżeli” ?— wyjaśnił Wałdmanis — i dlatego tak właśnie zachowywał się na przesłuchaniu. Listu dotykał przez papier, żeby nie zostały odciski palców.

— Dlaczego sądził, że mordercą jest Surkin?

?m

?— Ponieważ Surkin był mocno poruszony, widząc Iszczenkę u niego w gościnie, i zachowywał się nienaturalnie. Rano wypytywał go o Iszczenkę. Potem zalał mu mieszkanie. Nieprędko wrócił do domu owego pechowego dnia, Busch spotkał go przy furtce i kiedy spytał, gdzie Surkin przepadał, tamten był zmieszany i twierdził, że dopiero co wyszedł z domu. A przecież Busch dobijał się do niego... Potem Busch usłyszał podczas przesłuchania, że Iszczenkę zamordowano o dwunastej, i od razu pomyślał o Surkinie.

— Dlaczego nie zgłosił się osobiście?

— Bo strzeżonego pan Bóg strzeże — jak sam powiedział — i nie chciał, żeby ciągnano go na przesłuchania...

— Kławdia Iszczenko o tym anonimie, oczywiście, nie wiedziała?

— Nie. O kastecie Busch nie miał zielonego pojęcia. To tylko zwykły zbieg okoliczności.

— Uhm.

Skręciliśmy w wąską uliczkę. Obaj byliśmy w stanie napięcia i dlatego drgnęliśmy, kiedy zegar na wieży krzyżackiego zamku wybił „za kwadrans”. Potem wymieniliśmy spojrzenia.

— On posługuje się, rzecz jasna, cudzym nazwiskiem — powiedziałem.

— Najprawdopodobniej. Szliśmy kawałek w milczeniu.

— Wiecie co — przerwał je Wałdmanis — zazdroszczę wam tej kombinacji ze słabym wzrokiem chłopca.

— Miałem w szkole kolegę, który wymykał się wszystkim kontrolom lekarskim i aż do czwartej klasy był przekonany że wszyscy ludzie widzą tak samo niewyraźnie jak on. Sądził że tak powinno być, a kiedy pierwszy raz włożył okulary, osłupiał ze zdumienia.

Minęliśmy okrągły placyk.

— Tędy — powiedział Wałdmanis. — Tędy jest bliżej.

— Doskonale znam to podwórko — mruknąłem. — Obcaa-całem tu każdy centymetr.

327

Skreśliśmy w bramę. „Tak samo, jak wówczas Iszczenko — nasunęła mi się myśl. — Serce na pewno biło mu mocno”.

Z przodu, za zakrętem, rozległ się tupot, odgłosy szamotania. Akustyka murów mnożyła dźwięki. Usłyszeliśmy krótki, pełen wściekłości okrzyk. Pobiegliśmy przed siebie. Za zakrętem tarzało się na ziemi dwu wczepionych w siebie mężczyzn. Z przeciwka biegł ktoś jeszcze.

— Jankauskas — rzucił przez zęby Wałdmanis. — Czekał na dworcu autobusowym... Nic nie rozumiem!...

Ale ja już rozumiałem. Ach Wojtyn, Wojtyn! Wszystko chciał załatwić sam.

Walczący poderwali się z ziemi. Zrobili to jednocześnie. Wojtyn miał twarz zalaną krwią, ale trzymał się bardzo dzielnie, choć jego przeciwnik był na oko znacznie silniejszy. Nie głużył przecież rozpaczy alkoholem,

jak to robił od lat Wojtyn. Rybak wczepił się w niego niczym kleszcz i tamten nie mógł nabrać rozmachu do uderzenia. Podbiegając do nich wszystko to mimochodem rejestrowałem. „Szybciej, szybciej” — przynaglałem siebie. Spóźniliśmy się jednak. Ten drugi widząc nas zdążył uderzyć Wojtyna kolaniem w podbrzusze, a potem pięścią w twarz. Wojtyn upadł i leżał skulony na ziemi. Jego przeciwnik wyprostował się. Był to mocno zbudowany mężczyzna w niebieskiej płóciennej bluzie, kierowca autobusu na trasie do Radzute. Krótko mówiąc — niejaki Władimir Pantalejmonowicz Czerkiz.

Nie zdążyliśmy wmieszać się do bójki i tylko jakby nieumyślnie otoczyliśmy kołem leżącego Wojtyna i kierowcę. Czerkiz próbując się przedrzeć naparł między Wilenkina i Krasuchina wystawionym do przodu ramieniem. Wilenkin podstawił mu nogę, a upadającego chwycił Krasuchin.

— Czego od mnie chcecie, chłopcy? — płaczliwie jęknął Czerkiz. — Pobiliśmy się i to tylko nasza sprawa," no nie? Każdemu może się zdarzyć. Ja dosunąłem jemu, on mnie. Patrzcie, cały jestem zakrwawiony. Muszę biec do szpitala.

55

Puście mnie! Inaczej zaraz przyczepi się milicja, zaczną ciągać nas po sądach. Chodźcie, ja stawiam, zgoda?

— A nuż pan go zabił — powiedział Krasuchin, wskazując leżącego nieruchomo Wojtyna.

— Und iiberhaupt, machen Sie keine Dummheiten, Zen-taur — powiedziałem.

Szarpnął się gwałtownie. Ponad dwadzieścia lat temu niewątpliwie miał

mocniejsze nerwy, był wtedy młody i silny. Szczęknęły na jego rękach kajdanki. Wałdmanis westchnął z ulgą i wyjął rękę z kieszeni.

— Sprowadźcie samochód — nakazał nadbiegającemu Janka uskasowi. — Co się stało?

— Autobus przyjechał dziesięć minut wcześniej, niż należy. On przez całą drogę pędził jak oszalały. („Aha — i to nie pierwszy raz...”) Stał tu za zakrętem i czekał. Rybak przyszedł z tej samej strony co wy, od śródmieścia.

Ja o niczym nie wiem — zaczął krzyczeć falsetem kierowca. — Jesteście bandyci, chuligani! Puśćcie mnie! Ech, wy ścierwa! Puśćcie... Ratunku!

— Cicho — powiedział Wałdmanis. — Nie strasz, bo się naprawdę przestraszymy.

Ist das die selbe Jacke? Und das Loch in der Tasche ist wahrscheinlich nicht zugenahrt? — spytałem i przeszedłem na rosyjski: — Piątego czerwca na tym samym podwórku zgubił pan, Centaur, kastet Nie wyrzucił pan przecież tego kastetu z dębowym listkiem! Wypadł przez dziurę w kieszeni, a z tyłu słychać już było kroki i nerwy pana wtedy zawiodły...

•— „Za dużo mówię” — stwierdziłem w duchu i poprosiłem Krasuchina: — Bądźcie tak dobrzy sprawdzić, Krasuchin. Krasuchin wywinął kieszeń bluzy.

— Tu jest łata, towarzyszu starszy lejtnancie. Kieszeń brudna, a łata całkiem czysta.

Nie czułem żadnej satysfakcji. Przeciwnie — napięcie już minęło i ogarnęło mnie ogromne zmęczenie. Spojrzałem na

2\*9

ygarek. Była za trzy jedenasta. „Wlazłbym teraz pod prysznic” —

pomyślałem zupełnie nie na temat

Podjechał samochód.

Wsadzono do niego Czerkiza.

Wojtyn, którym zajął się Wilenkin, jęknął. Wałdmanis przy-łąkł obok.

— Już po wszystkim. Dlaczego pan nic nam nie powiedział,] /ojtyn?

— Chciałem to załatwić sam — odparł przez zaciśnięte! -eby.

— I co zamierzał pan zrobić?

— Bić tego łajdaka iak najdłużej, a potem oddać go wam.

— Człowieku, przecież to niepoważne.

— Wiem. Ale chciałem patrzeć na jego ból... F.ozumie pan, 'izyczny ból.

— Czy Iszczenko znał pańską historię? — spytał po c.iwili Wałdmanis. —

Ale może trudno jest panu mówić?

— Nie. Iszczenko jej nie znał.

— Jak pan trafił na Centaura?

— Jakiego znów Centaura?

— No, na lego — Wałdmanis wskazał samochód.

— Dzięki zapiskom.

— Które podarł Iszczenko? — spytał szybko Wałomanis.

— Tak. Rano wyszliśmy razem z hotelu i zapamiętałem, gdzie je wyrzucił

— na trawę za ławką. Wtedy niczego nie podejrzewałem, ale gdy

dor/iedziałem się o morderstwie, postanowiłem odnaleźć je i wam oddać

Nie było deszczu, zachowały się. Zebrałem te skrawki...

— Było w nich nazwisko?

— Iszczenko nie skończył pisania... Zrozumiałem tylko, że człowiek, który zdradził partyzantów i miejską organizację podziemną, pracuje jako kierowca na linii do Radzute. Zacząłem chodzić na dworzec autobusowy,

jeździłam do Radzute. Nikogo o nic nie pytałem — chciałem załatwić to sam.

55

— Jak pan się tutaj znalazł?

— Szedłem na rynek... Kiedy już wiedziałem, że to Czerki? pracował w dniu morderstwa — zgadzał się wiek, on sam byJ jakiś niespokojny — nawiązałem z nim rozmowę i dałem nr do zrozumienia, że wiem coś niecoś o jego przeszłości...

„Wyobrażam sobie, jakie to było naiwne” •— pomyślałem.

— Zaproponowałem mu, żeby porozmawiać bardziej serio Nie miał nic przeciwko temu. Powiedział, że najlepiej będzie spotkać się na rynku, a potem pójdziemy na bulwar, tam posiedzimy i spokojnie pogadamy. Fojęcia nie mam, powiedział, czego właściwie chcesz, ale co mi szkodzi z tobą pogadać.

— Jasne — rzekł Władmanis. — Przez pewien czas podejrzewaliśmy pana, bo żeby zejść do kiosku z papierosami, wystarczą trzy minuty, a nie dwadzieścia.

— W kiosku przed hotelem „Bielomory” były suche i wysypywały się. Poszedłem do następnego... Wczoraj na wszelki wypadek zostawiłem do was list w swojej walizce. Adresowany do milicji. Bo wy jesteście z milicji?

— Tak — potwierdził Władmanis. — Całe szczęście, że nie doszło do tego „wszelkiego wypadku”. Udało się panu.

— Dziękuję, ja sam — powiedział Wojtyn, odsuwając Wi-lenkina, który pomagał mu wstać.

— Wsadźcie go do samochodu i odwieźcie do szpitala — zadysponował

Wałdmanis. — My pójdziemy pieszo.

Wziął mnie pod rękę.

— Ale, ale, czy ustaliliście, dlaczego zmiennik Czerkiza prosił, żeby go zastąpić? — spytałem.

— Rozwikłaliśmy to dopiero dzisiaj. Czerkiz powiedział zmiennikowi, że w następnym tygodniu chce pojechać do Wilna na ślub siostrzeńca.

Tamten z dobrego serca zaproponował, żeby Czerkiz jeździł piątego, a zmiennik odrobi to w dniu ślubu. Resztę sam załatwił z dyspozytorem nie wdając się w szczegóły.

— Czerkiz sprytnie to obmyślił. Nie pojechał jako pasażer.

— Bo wolał uniknąć pytań, po co tu przyjeżdżał nie w swój

231

dzień. „Na łebka” to też było ryzyko, bo wszyscy kierowcy się znają.

— No jasne.

— Aha, prosiliście, żeby zająć się letnikiem Jewgienii Augustowny Stankene, tym adwokatem z Kijowa. Otóż jego samochód ma numer rejestracyjny 89-32. Z Radzute przyszedł meldunek, że na podmiejskiej szosie jakiś „Moskwicz” potracił rowerzystę. Numer „Moskwicza” kończył się na 32. Samochód nie zatrzymał się. Przy kierownicy siedziała kobieta.

— Rowerzysta wyszedł cało?

?— Szczęśliwie skończyło się na paru siniakach... Z Kijowa dostaliśmy wiadomość, że w ubiegłym roku Łojkę usunięto z zespołu adwokackiego za nieuczciwe metody pracy. Wywierał presję na świadków... A Stankene zorientowała się, że przyjechali z Radzute: spostrzegła w samochodzie<sup>^</sup> bardzo rzadko spotykaną odmianę bzu, który hoduje tam pewien ogrodnik.

Musieli wtedy przyznać, że przyjechali stamtąd, tłumacząc się niechęcią do tłoku

— Bardzo wam dziękuję, towarzyszu majorze.

— Możecie zwracać się do mnie Otto Rudolfowicz.

— Dziękuję wam bardzo, Ottonie Rudolfowiczu — powtórzyłem. — Mam do was jeszcze jedną małą prośbę. Wpłyńcie na dyrektora zarządu połowów dalekomorskich... Wojtyn jest marynarzem z bożej łaski. Ma znakomitą opinię jako fachowiec. A że pije? Trzeba człowiekowi pomóc, a nie pogrążyć go coraz bardziej.

— Sam o tym pamiętam — mruknął Wałdmanis.

### 31. KTO KIM JEST

Nie brałem udziału w dalszym śledztwie, bo po co na przykład Busch miałby na mój widok trącać znajomego: „Wiesz, gdzie ten młody człowiek pracuje?...”

Ale w przesłuchaniach Centaura uczestniczyłem.

232

Nie odbywały się w tym sympatycznym pokoju z półokrągłym sklepieniem i sielankowym pejzażykiem na ścianie. Za plecami Centaura stał uzbrojony konwojent, a stołek, na którym siedział przesłuchiwany, przyśrubowany był do podłogi. Początkowo Czerkiz symulował ataki hysterii i usiłował rzucić się na oficera śledczego. Po badaniach psychiatrycznych zamilkł, a kiedy przyparto go do muru dowodami, zrobił się pokorny, płaczliwy i przyznał się do wszystkiego.

Był agentem gestapo. W czterdziestym czwartym przeniesiono go z Mińska do Radzute. Potem tutaj. Wszędzie pracował jako płatny donosiciel.

Spytano go, dlaczego nie uciekł z Niemcami. „W czasie bombardowania zostałem ciężko ranny, obywatelu śledczy, długo leżałem w szpitalu, a kiedy odzyskałem przytomność, w mieście byli już nasi. Ale nie to było najważniejszą przyczyną, bo ja zawsze nienawidziłem faszystów, tych przeklętych morderców — oświadczył Centaur. — Nie miałem żadnych pretensji do władzy radzieckiej, obywatelu śledczy, przeciwnie, kocham moją ojczyznę jak matkę rodzoną. Spróbujcie to zrozumieć, znalazłem się w takiej sytuacji... nie miałem wyjścia... te bestie w ludzkiej postaci wydierały mi zeznania torturami, tylko torturami...”

Do lat dwudziestu dziewięciu nosił nazwisko Malin Konstantin Konstantinowicz. Wśród ludzi, których wydał Niemcom, był jego stryjeczny brat, noszący to samo nazwisko. Ten drugi Malin zlekceważył zasady konspiracji i nie poinformował członków kierownictwa organizacji podziemnej, że w opuszczonej szopie, przerobionej na warsztat, przechowuje krewnego, który ukrywa się przed niemieckimi łapankami (bo w ten sposób Centaur tłumaczył swój przyjazd). Malin mimowolnie naprowadził Centaura na trop organizacji i dlatego został zabity w pierwszej kolejności, żeby wykluczyć najmniejszą nawet ewentualność zdemaskowania agenta.

„Brat załatwił mi przez swoich znajomych dokumenty — opowiadał Centaur. — Mogłem więc bez przeszkód poruszać się po mieście, nie budząc jego podejrzeń swą odwagą. Wtedy właśnie spotkałem Iszczenkę. Zmieszał się, ponieważ zamiast munduru miał na sobie zniszczone cywilne ubranie, a ja wiedziałem przecież, że pracuje w policji w Radzute. Powiedział mi, że wykonuje specjalne zadanie. Uwierzyłem mu, bo robiłem to samo. Wstąpiliśmy do jakiejś knajpy, tam

sporo wypiliśmy. Dałem mu do zrozumienia, iż nie zbije kapitału na swoim zadaniu (sądziłem, że również tropi ludzi z organizacji), bo w najbliższych dniach podziemie zostanie zlikwidowane, a ja odegram w tym nieostatnią rolę. Iszczenko doskonale zdawał sobie sprawę, że skoro coś mówię, to na pewno tak jest. O mnie wiedział niejedno... Po dwu dniach spotkaliśmy się znowu. Tego właśnie ranka zaczęły się aresztowania. Dostałem zaliczkę za moją, że tak powiem, pracę, chodziłem w tych latach jak po ostrzu brzytwy, obywatelu śledczy. Popiliśmy znowu..."

Gęsta powoła scharakteryzowali Centaura bardzo trafnie —? był świetny, tylko za dużo gadał, kiedy się upił... Podczas okupacji Centaur nie widywał już więcej Iszczenki. Później dowiedział się, że Iszczenko zdezerterował z policji na kilka miesięcy przed ich spotkaniem.

Iszczenko pośrednio był odpowiedzialny za śmierć patriotów, ponieważ ze strachu o własną skórę nikogo nie uprzedził o akcji gestapo. W pewnym momencie uświadomił sobie, że może zostać oskarżony o zdradę, a w każdym razie mogą go spytać, dzięki czemu ocalał. Przez całe życie bał się tego pytania.

Nadal było niejasne, po co Iszczenko włożył marynarkę Puchalskiego.

Może dokuczały mu nerwicowe dreszcze? Ale miał przecież własną marynarkę z jasnej chesuczy. Jak zdołano ustalić, był w niej podczas pierwszego spotkania z Czerkizem. I/oże marynarka Puchalskiego miała służyć temu, by Czerkiz nie poznał go z daleka? A szantażowanej Bystryckiej wyznaczył rolę „obstawy”. Wszystko to okazało się daremne, był już skazany... Nie dowiemy się także nigdy, dlaczego tu przyje

chał. Sentymenty starzejącego się człowieka, które ciągną w znajome strony? Wszedł w lata, kiedy „rozmawia się z Bogiem” i wszystko staje się już obojętne? Miał nadzieję, że nie ocalał nikt, kto pamiętałby go z okresu służby w policji i partyzantki?... Tylko on sam mógłby udzielić odpowiedzi na te pytania.

Całe swoje życie spędził jakby w przechodnim podwórku. Wszystko było dla niego tymczasowe, ponieważ nieustannie towarzyszył mu strach. Nie miał dzieci ani z pierwszego, ani z drugiego małżeństwa. „Bał się mieć dzieci” — powiedziała Kławdia Iszczenko. Dzisiaj wiem dlaczego... Los zrządził, że Iszczenko zginął tak, jak żył — w przechodnim podwórku, pokrętnym i opustoszałym. Wierzył w Boga, w niebo i piekło. Na pewno miał nadzieję, że płatny agent Centaur wiecznie będzie płonął w piekielnym ogniu.

Do odlotu pozostawały dwie godziny i miałem ochotę coś wypić.

Ostatecznie nie jestem mnichem, a wypić można było z wieloma — z Wojtynem, który wyszedł już ze szpitala, z-Rają Bystrycką i Siemionem, z ostrożnym i niezbyt szczęśliwym Buschem, z Wałdr.amsem.. Kupiłem jednak dwie butelki wina i wybrałem się do dyrektora hotelu, Iwana Siergiejewicza, do jego pokoju z napisem „Służbowy”. Czułem się wobec niego winny, ponieważ moje podejrzania objęły również jego, choć nie miałem po temu najmniejszych podstaw. Po prostu kiedy byłem zdenerwowany, nie mogłem sobie wytłumaczyć niektórych jego postępów.

— Praca wre — powitał mnie Iwan Siergiejewicz — a studenci sobie spacerują.

Wypiliśmy, przedyskutowaliśmy dokładnie trudności związane z

kierowaniem hotelem i wymieniliśmy uwagi na temat remontu oraz upału, który trwał już dwa tygodnie.

— Doskonale zna pan niemiecki — powiedziałem. — Bardzo mnie pan tym zaskoczył.

235

— Bo od samego początku wojny byłem w-niewoli. Zostaliśmy okrążeni pod Kijowem... Wyzwolono nas w Stutthofie. Ja dużo mówię, ale nie sądzę, że jestem gadułą, zostało mi to po obozie, jakiś taki uraz... — Popatrzył na mnie z uśmiechem przeproszającym, płochliwym i niesłychanie ujmującym. — Słuchaj, nie gniewaj się, że nie zaprosiłem cię wtedy do domu. No, w tę niedzielę, kiedy spotkaliśmy się nad rzeką. Szedłem akurat do łaźni. Z gąbką, mydłem i tak dalej. W hotelu są prysznice, ale gdzie im do łaźni! Ja lubię łaźnię...

Potem poszedłem pożegnać się z Bystrycką.

— A ja sądziłam, że pan jest człowiekiem z charakterem — powiedziała z nutą rozczarowania. — Wyjeżdża pan nie osiągnąwszy celu? Przecież chciał pan pracować na morzu.

— Nic z tego nie wyszło, Rajeczko. Za długo trzeba czekać na załatwienie formalności, moje wakacje dobiegają końca... Co się zaś tyczy człowieka z charakterem, niech pani poszuka bliżej siebie. Moim zdaniem Siemion to bardzo wartościowy chłopak, tylko trzeba z nim postępować uczciwie.

— Sądzi pan? „Bystronogi” bardzo mi się podobał, aż płakałam przy czytaniu... Oj, pan nie zna najnowszej sensacji: złapano mordercę!

— Jakiego mordercę?

— Masz ci los! Tego, który zabił Iszczenkę! Sam pan chciał go przecież wytropić, tylko że się panu nie udało — przycięła mi złośliwie.

Oficer śledczy spytał Centaura, czy pierwszy raz spotkał Iszczenkę trzeciego czerwca. „Tak”. — „Proszę podać szczegóły”. — „Spotkanie nastąpiło na rynku koło autobusu, właśnie wysiadłem z szoferki i natychmiast poznaliśmy się nawzajem. Iszczenko wiedział więc, że pracuję na linii do Radzute jako kierowca. Było dla mnie oczywiste, że na mnie doniesie, choć nie od razu. Ten tchórz sam obawiał się przeszłości i potrzebował czasu do namysłu. Musiałem już wracać do Radzute. Powiedziałem, że powinniśmy się spotkać i wszystko spokojnie rozważyć. Jesteśmy przecież ludźmi, a nie bez

55

rozumnymi bydłętami. Dodałem, że od dawna zamierzam ujawnić wobec władz swoją okupacyjną przeszłość, ale nie starcza mi odwagi... Po tym spotkaniu całą noc nie spałem, bałem się, że Iszczenko doniesie na mnie wcześniej niż...” — „Dlaczego spotkanie miało odbyć się na rynku, a nie w jakimś bardziej ustronnym miejscu?” „On... bał się” — ponuro wyjaśnił Centaur. „Przechodnie podwórko odegrało rolę pułapki?” — „Tak. Pamiętałem, że mieszkał tutaj przed wojną, byłem więc pewny, że będzie szedł właśnie tamtędy, bo tak robią wszyscy ludzie stąd, gdy idą od strony śródmieścia. O jedenastej jest już upał, miasto pustoszeje. Bardzo na to liczyłem... Ale niech pan zrozumie, obywatelu śledczy, że nie miałem innego wyjścia. Zmieniłem się po wojnie. Zrozumiałem moją winę. Miałem już dość krwi, uciekłem od tej całej polityki. Stałem się uczciwym człowiekiem, chciałem o wszystkim zapomnieć...”

Kiedy w przechodnim podwórku odbywała się wizja lokalna, Malin-Centaur nagle zaszlochał. „Jestem bardzo zdenerwowany” — powiedział, wycierając oczy i nie ogolone policzki. Wyglądał strasznie.

—? I beze mnie go złapali — powiedziałem do Bystryckiej.

— Wie pan, byłam w milicji.

— No i co? Jakoś pani nie zjedli?

— Oberwałam od nich porządnie, że nie zgłosiłam się wcześniej, ale to fajne chłopaki. Podeszli do mnie po ludzku.

— Mówiłem przecież, że nic strasznego pani nie grozi. Potem pojechałem na lotnisko.

Wsiadając do samolotu, czułem się jak ryba wyjęta z wody, chociaż był poranek, a ja miałem świeżo ogolone policzki i czystą koszulę. Z trudem przestawiałem nogi i szurałem podszwami o chropowate stopnie. W ręce trzymałem starą „studencką” walizkę, nikt mnie nie odprowadzał, specjalnie o to prosiłem, tak było najlepiej, bo nikogo nie chciałem widzieć i nie umiałbym podtrzymać najprostszej rozmowy.

Postanowiłem się odprężyć. Wypadłem z szaleńczego rytmu,

237

w którym żyłem przez ostatnie dni, i przypominałem budzik z rozkręconą do końca sprężyną.

Przestałem być studentem Waraksinem, nie byłem także starszym lejtnantem, funkcjonariuszem organów bezpieczeństwa, Buczinkasem, lecz wyłącznie trzydziestoletnim spracowanym mężczyzną, który na przykład zbudował dom i teraz chce tylko odpocząć.

Po schodkach do samolotu wchodziłem sam.

Kilku pasażerów szło jeszcze bez pośpiechu przez lotnisko porośnięte trawą, dlatego zatrzymałem się na najwyższym stopniu i obejrzałem za siebie.

Dach maleńkiego dworca lotniczego — jednopiętrowego budynek z balkonikami i drabinami przeciwpożarowymi po bokach — był mokry.

„Niedawno padał deszcz" — pomyślałem. Normalna pogoda w naszej republice to chmury, po półgodzinie upał, potem ulewa i znów słońce na nieskończenie czystym niebie. W dali rozpościerało się miasto, w którym spędziłem siedem dni. Najpierw cztery, a później trzy, nim wszystko ostatecznie się wyjaśniło.

Odetchnąłem głęboko wilgotnym powietrzem i pochyłony minąłem drzwiczki samolotu.

## SPIS ROZDZIAŁÓW I

1. Nowe znajomości.....; "
2. Człowiek z fotografii . . . . 13
3. Pozdrowienia od Koli . . . . 24
4. Przesłuchanie w sąsiednim pokoju . . . . 28
5. Czy Busch kłamie . . . . 37
6. Wesoła wdówka . . . . 43
7. Delegowany z Saratowa . . . . 52
8. Jakie kto lubi papierosy . . . . 62
9. „Jak się nazywasz?" „Nijak" . . . . 65
10. Byłem prawie pewny, ale . . . . 73
11. Kto? . . . . 84
12. Znowu Surkin . . . . 93
13. Pani małego domu . . . . 96
14. Kastet z dębowym listkiem . . . . 101
15. Na plaży — ciąg dalszy..... 1P6
16. Czy to on? 112
17. Dwie filiżanki kawy..... 118
18. Przechodnie podwórko..... 125

19. Czyżby istniały dwa kastety? : . . 130
20. Hipotezy • - i43
21. Niezupełnie mijając się z prawdą . . . 154
22. Znowu Radzute ..... I58
23. Gdzie był Wojtyn?.....174
24. Kto kogo? . ... 181
25. „Kozłatko przywiązane do drzewa" . 189
26. Drugi Siemion..... I93
27. Wieczorem..... 2C5
28. Wojtyn pisze list..... 215
29. „Szafa gra"..... 221
30. Centaur ..... 2?6
31. Kto kim jest..... 232

Redaktor: HELENA MADANY Redaktor techn.: BARBARA WIERZBA

Korektor: MARIA ROWIŃSKA

Państwowe wydawnictwo „Iskry", warszawa 1973 r. Wydanie II. Nakład  
 BO 000 V 275 egz. Ark. wyd. 11,1. Ark. druk. 15. Papier druk. sat. kl. VII  
 60 g, rot. 75 cm. Druk ukończono w styczniu 1973 r. Zakłady Graficzne  
 „Dom Słowa Polskiego" — warszawa. Zam. nr 4555/72. R-13. Cena zł  
 20.—

— Coś się stało?

— To, że Tarasa Michajłowicza zabili.

— Jak to zabliłT

— Zwyczajnie. Stuknęli czymś po głowie w przechodnim podwórku i tyle.  
 Nie czymś, tylko kastetem. Kastet znalazł w pobliżu miejsca przestępstwa,

pod murem, staruszek wywożący śmiecie. Słyszał o morderstwie, odniósł go więc na milicję. Kastet był niemiecki, takich samych używali podczas wojny esesowcy.

Młody, wysportowany i dowcipny detektyw Waraksin od pierwszych stron książki zdobywa sympatię czytelnika, który z tym większym zainteresowaniem towarzyszy mu w poszukiwaniach mordercy.

Cena zł 20.